

A woman with dark hair pulled back, wearing a white strapless gown and a necklace, is the central figure. She is surrounded by multiple, semi-transparent, overlapping images of her own face and upper body, creating a dreamlike, ethereal atmosphere. The background is filled with white bubbles, suggesting she is in a bathtub. The overall color palette is soft, with whites, creams, and light pinks.

—
BIAŁA
RÓŻA

—
AMY EWING

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

Arkana milczą.

Wbijam wzrok w srebrny kamerton, leżący wśród rozsypanych na toaletce klejnotów. Słowa Garneta odbijają się echem w mojej głowie.

Wyciągniemy cię stąd.

Zmuszam umysł do pracy, odpycham od siebie lęk i próbuję ułożyć w całość kawałki układanki. Jestem więźniem we własnej sypialni w Pałacu Jeziora. Jakim cudem Garnet, syn Diuszesy, pani tego domu, wszedł w posiadanie Arkanów? Współpracuje z Lucienem, dwórką samej Wybranki i moim sekretnym wybawicielem? Ale dlaczego Lucien mi o tym nie powiedział?

Zamilczał też, że surogatki umierają przy porodzie. Nie mówi ci niczego poza tym, co jego zdaniem powinnaś wiedzieć.

Wyobrażam sobie zakutego w łańcuch, krwawiącego Asha i panika ściska mnie za gardło. Ash, towarzysz arystokratek, mężczyzna, który z miłości do mnie naraził życie. Ash, jedyna osoba w tym pałacu, która rozumie, jak to jest, być traktowanym jak rzecz.

Potrząsam głową. Jak wiele czasu spędziłam, gapiąc się na Arkana? Dziesięć minut? Dwadzieścia?

Coś musi się wydarzyć. Co? Nie wiem. Po tym, jak Diuszesa przyłapała nas razem w jego pokoju, Ash został pobity i wtrącony do lochu. Jeśli nikt mu nie pomoże, jeśli tam zostanie, umrze.

Przerażenie tkwi lepką kulą w moim gardle. Zaciskam oczy, wciąż jednak widzę tę samą scenę. Do sypialni Asha wpadają Gwardziści. Wyciągają go z łóżka. Krew pryska na jasną pościel, gdy jeden z żołnierzy okłada kolbą pistoletu twarz mojego kochanka. Diuszesa patrzy.

I Carnelian! Carnelian też tam jest. Dziwna, okropna siostrzenica Diuszesy. Zdradziła nas.

Przygryzam wargę, mrugam i spoglądam w lustro. Włosy mam w nieładzie, oczy czerwone i opuchnięte. Na dolnej wardze zaschły kropelki krwi, a kość policzkowa zaczyna sinieć. Opuszkami palców dotykam zranień. Wciąż pamiętam to uczucie, gdy Diuszesa spoliczkowała mnie wierzchem dłoni.

Znów potrząsam głową. Aż trudno uwierzyć, jak wiele wydarzyło się od dnia Aukcji. Tyle tajemnic, spisków, śmierci... Diuszesa kupiła mnie, bym urodziła jej dziecko. Dobrze pamiętam furję w jej oczach, gdy zobaczyła mnie i Asha w tym samym pomieszczeniu... W tym samym łóżku. Dziwka. Tak mnie właśnie nazwała zaraz po tym, jak Gwardziści wywlekli Asha z komnaty. Nie obchodzi mnie, co o mnie pomyślała. Obchodzi mnie tylko to, co stanie się teraz.

Lucien dał mi serum, które powinnam była zażyć dziś w nocy. Dzięki niemu sprawiałabym wrażenie martwej i Lucien mógłby wykraść mnie z Klejnotu i przetransportować gdzieś, gdzie nie dosięgłyby mnie długie ręce szlachty. Nie wzięłam go jednak. Oddałam serum Raven.

Gdzieś tam, za wysokim murem, w Pałacu Kamienia, jest moja przyjaciółka. Jej mistrzyni jest nawet gorsza od Diuszesy. Przeprowadza na Raven eksperymenty, których nawet nie potrafię sobie wyobrazić, torturuje ją i niszczy. Cel jest dla Hrabiny Kamienia wszystkim. Raven nosi w brzuchu jej dziecko. Czasem mnie nie poznaje. Jest ledwie cieniem dziewczyny, którą kiedyś znałam.

Nie mogłam jej zostawić. Nie mogłam pozwolić jej umrzeć. Nie w ten sposób.

To dlatego dałam jej serum.

Lucien nie będzie zachwycony, gdy się zorientuje, ale nie miałam wyboru. Będzie musiał to zrozumieć.

Drżącymi dłońmi podnoszę Arkana i siadam na krawędzi łóżka.

– Garnet? – szepczę do kamertonu. – Lucien?

Żaden z nich nie odpowiada.

– Garnet? – powtarzam – Błagam, powiedz coś.

Cisza.

Jak mieliby mnie stąd wyprowadzić, skoro przed drzwiami stoją Gwardziści? Jak można uratować Asha?

Boli mnie głowa i coraz ciężiej mi myśleć. Zwijam się na łóżku, przyciskając do piersi zaciśnięty w dłoni kamerton, zupełnie jakbym samą siłą woli mogła sprawić, że ktoś do mnie przemówi.

– Proszę – szepczę do nieczułego przedmiotu. – Proszę, nie pozwól mu umrzeć.

Ja przynajmniej mam coś, czego pragnie Diuszesa. Moje ciało może wystarczyć, by utrzymać mnie przy życiu. Ash nie ma niczego.

Zastanawiam się, jak to jest, umrzeć. Przypominam sobie tamtą dziką dziewczynę, surogatkę, która próbowała umknąć arystokratom i żyć w ukryciu. Tę, której egzekucję oglądałam kiedyś na placu tuż przed Bramą Południową, przed Magazynem, w którym spędziłam ostatnie lata. Pamiętam jej przedziwny spokój, gdy stanęła oko w oko z nieuniknionym. Pamiętam jej odwagę. Czy miałabym dość sił, by zachować godność, gdyby to moja głowa miała się za moment potoczyć? *Powiedzcie Kobaltowi, że go kocham* – poprosiła. Teraz ją rozumiem. Ja też umierałabym z imieniem Asha na ustach. Ciekawi mnie, kim był dla niej Kobalt. Musiała bardzo go kochać.

Słyszę jakiś hałas. Podrywam się tak szybko, że aż wiruje mi w głowie. Muszę za wszelką cenę ukryć gdzieś Arkana! To jedyne, co łączy mnie z ludźmi, którzy chcą mi pomóc. W mojej koszuli nocnej nie ma kieszeni, a nie chcę ryzykować pozostawiania kamertonu w pokoju. Nie wiem, czy Diuszesa nie każe gdzieś mnie przenieść.

Nagle coś przychodzi mi do głowy – bal Hierarchy! To wtedy Lucien dał mi kamerton. Garnet zrujnował mi fryzurę i Lucien się mną zajął. Wykorzystał sytuację, by ukryć niewielki przedmiot w moich gęstych włosach.

Czy już wtedy Garnet i Lucien współpracowali ze sobą? Czy syn Diuszesa wpadł na mnie celowo?

Nie mam czasu teraz się nad tym zastanawiać. Dopadam toaletki i otwieram szufladę, w której Annabelle, moja osobista dwórką i najbliższa mi w pałacu osoba, trzyma wstążki i spinki. Pospiesznie zwijam włosy w luźny węzeł nad karkiem i wsuwam do środka Arkana. Kilka szpilek wystarczy, by kamerton nie wypadł.

Ledwie zdążam wrócić na łóżko. Drzwi komnaty otwierają się na oścież.

– Wstawaj – rozkazuje Diuszesa.

Do towarzystwa ma dwóch Gwardzistów. Wygląda dokładnie tak samo jak godzinę temu, gdy zobaczyłam ją w komnacie Asha. Wciąż ma na sobie złocistą nocną koszulę, a rozpuszczone błyszczące czarne włosy opadają luźno na ramiona. Nie wiem, dlaczego czuję się zaskoczona.

Podchodzi do mnie. Jej twarz jest zimna, wyzuta z emocji. Przypomina mi się nasze pierwsze spotkanie i spodziewam się, że za chwilę zmierzy mnie ostrym, oceniającym wzrokiem, a potem znów uderzy.

Nie robi tego. Zatrzymuje się tuż obok łóżka, a chłód w jej oczach ustępuje miejsca furii.

– Jak długo? – pyta.

– Co takiego?

Spojrzeniem mogłaby rozpalić do czerwoności stal.

– Nie pogrywaj sobie ze mną, Violet. Od jak dawna sypiasz z towarzyszem?

Wzdrygnęłam się, słysząc, jak wymawia moje imię.

– Ja... Ja z nim nie spałam. – No cóż, częściowo była to prawda. Kiedy nas nakryto, naprawdę tego nie robiliśmy.

– Nie kłam.

– Nie kłamie.

Skrzydełka nosa Duszesa drgają.

– Dobrze więc. – Obraca się w stronę Gwardzistów. – Zwiążcie ją. I przyprowadźcie tę drugą.

Wojskowi chwytają mnie, nim zdążę zareagować. Wykręcają mi ramiona i związują mi je za plecami szorstkim sznurem. Krzyczę i wyrywam się, ale więzy są zbyt mocne. Mężczyźni przywiązują mnie do palika baldachimu. Drewno wbija mi się w kręgosłup, a lina ociera skórę. Po chwili Gwardziści wprowadzają kogoś do pokoju.

To Annabelle. Jej oczy są szeroko otwarte ze strachu. Ona również ma związane ręce. To oznacza, że nie może używać tabliczki, za pomocą której się porozumiewa. Urodziła się niema i kontaktuje się ze światem za pomocą pisma. Jej miedziane, zwykle upięte w schludny kok włosy, są w nieładzie, na jej twarzy wyraźniej niż zwykle odcinają się piegi. Czuję suchość w ustach.

– Zostawcie nas – rozkazuje Duszesa i Gwardziści wychodzą z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

– Ona... Ona o niczym nie wie – protestuję słabo.

Duszesa uśmiecha się cierpko.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Naprawdę! Przysięgam! – krzyczę, walcząc z więzami, bo narasta we mnie paskudna pewność, że za moment stanie się coś okropnego. Nie mogę pozwolić na to, by Annabelle płaciła za moje błędy. – Przysięgam na grób mojego ojca, ona o niczym nie wiedziała!

Duszesa patrzy na mnie jak na motyla w gąblocie. Na jej wargi wypływa okrutny uśmieszek.

– Nie – mruczy. – Nadal ci nie wierzę. – Jej dłoń z obrzydliwym płaskiem uderza w twarz Annabelle.

– Proszę! – zaklinam ją, gdy dwórka niemal traci równowagę. – Proszę, nie rób jej krzywdy!

– Och, przecież ja wcale nie chcę jej krzywdzić, Violet. Sama to robisz. Ból skończy się, gdy powiesz prawdę.

Otwarte do krwi nadgarstki palą mnie żywym ogniem, nie przestaję jednak walczyć z więzami. Nagle Duszesa zbliża się do mnie i chwytam mnie za podbródek. Jej palce są jak szpony, paznokcie wbijają się w posiniaczony policzek.

– Od jak dawna z nim sypiasz? – powtarza.

– To... Tylko raz. – Z trudem chwytam oddech. – Tylko raz to zrobiliśmy.

– Kiedy?

– Noc wcześniej... – Krzywię się z bólu. – W noc przed tym, jak doktor próbował drugi raz...

Nigdy wcześniej nie widziałam w jej oczach takiego gniewu.

– Powiedz mi, celowo pozbywałaś się tych ciąży?

Mrugam, zdumiona. Wiem, że szok wypisany jest na mojej twarzy.

– Ja... Nie! Jak mogłabym to zrobić?

– Och, nie wiem, Violet. Ale przecież pomysłowa z ciebie panienka. Jestem pewna, że znalazłabyś sposób.

– Nie – powtarzam.

Duszesa przygląda mi się przez chwilę, po czym puszcza mnie i podchodzi do Annabelle. Znow ją uderza.

– Błagam – jęczę. – Mówię prawdę.

Annabelle unosi jedno ramię, jakby chciała dotknąć nim obolałego policzka. Gdy nasze spojrzenia spotykają się na chwilę, widzę w jej oczach strach. Strach i zmieszanie. Dwórka marszczy brwi i wiem, że chce mnie o coś zapytać. Ale nie rozumiem, nie wiem, o co jej chodzi.

– Mam pewien dylemat, Violet – oświadcza Duszesa, chodząc przede mną tam i z powrotem. – Jesteś dla mnie bardzo cennym nabytkiem. Z wielką chęcią zabiłabym cię za to, co zrobiłaś, ale nijak by mi się

to nie przysłużyło. Mam plany, mam zobowiązania... Jak zapewne się domyślasz, od teraz twoje życie w pałacu będzie wyglądać inaczej. Żadnych balów, żadnej muzyki, żadnego... No cóż, niczego. Jeśli będzie trzeba, każę przywiązać cię do kozetki i resztę swojego pobytu tutaj przeleżysz w gabinecie. Napisałam do Hierarchy z prośbą o jak najszybszą egzekucję towarzysza, spodziewam się więc, że za kilka godzin będzie martwy. Powiedzmy, że to kara dla ciebie. Zastanawiam się jednakowoż, czy to wystarczy. Jak myślisz?

Staram się przełknąć ślinę i prawie się krztuszę. Diuszesa słyszy, jak się dławię i uśmiecha się.

– Wielka strata, prawda? Taki młody, przystojny mężczyzna. I z tego, co słyszałam, również utalentowany. Pani Promienia szalała za nim na przyjęciu zaręczynowym Garneta. Straszna szkoda, że nie zdążyłam osobiście go wypróbować.

Wstrząsa mną lodowaty dreszcz. Uśmiech Diuszesy staje się szerszy.

– Proszę, powiedz mi – ciągnie – co sobie wyobrażałaś? Że odjedziecie razem w kierunku zachodzącego słońca? Wiesz, z iloma kobietami sypiał? To wręcz odrażające. Można byłoby pomyśleć, że masz lepszy gust. Skoro już zachciało ci się romansu, dlaczego nie wybrałaś Garneta? Jego maniery bywają porażające, ale nie sposób odmówić mu urody. No i pochodzi ze znakomitego rodu.

Nie mogę się powstrzymać. Wybucham urywanym, gorzkim śmiechem.

– Pochodzi ze znakomitego rodu... Naprawdę uważasz, że kogoś poza arystokracją w ogóle to obchodzi? Wcale nie potrzebowalibyście surogatek, gdybyście nie byli tak zafascynowani tą kretyńską czystością krwi!

Diuszesa cierpliwie czeka, aż skończę.

– Sądziłam, że będziesz starannie dobierać słowa – oświadczam.

Gdy tym razem uderza Annabelle, skóra pod lewym okiem dziewczyny pęka. Krople krwi mieszają się ze łzami.

– Musisz wreszcie to zrozumieć – ciągnie Diuszesa. – Należysz do mnie. Doktor nie zaprzestanie prób, póki nie umieści w tobie mojego dziecka. Twój ból, twój lęk, twoje obiekcje, wreszcie twój stan psychiczny, wszystko to przestało mnie interesować. Od teraz jesteś dla mnie jednym z mebli. Jasne?

– Zrobię, co tylko chcesz, tylko proszę, nie bij jej już.

Diuszesa nieruchomieje, a jej wyraz twarzy łagodnieje. Wzdycha cicho.

– Dobrze.

Podchodzi do skulonej Annabelle i chwyta ją za włosy. Jednym płynnym ruchem stawia ją na baczność i odchyła jej głowę do tyłu.

– Wiesz, Violet – mówi dziwnie płaskim głosem – opiekowałam się tobą. Naprawdę mi zależało. – Kiedy spogląda mi w oczy, wydaje się być szczerze zasmucona. – Dlaczego mi to zrobiłaś?

Nawet nie widzę noża, tylko błysk srebra przemykający po gardle Annabelle. Oczy dziewczyny otwierają się szeroko bardziej z zaskoczenia niż z bólu, gdy w jej szyi pojawia się szkarłatna szczelina.

– NIE! – krzyczę. Annabelle patrzy na mnie i dopiero teraz odczytuję wypisane na jej bladej, łagodnej twarzy pytanie. Nie trzeba tabliczki.

Dlaczego?

Krew spływa w dół jej piersi i maluje na czerwono nocną koszulę. Po chwili jej ciało pada na ziemię.

Pokój zdaje się drzeć od ochryplego gardłowego jęku i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że dźwięk dobywa się z mojego gardła. Rozpaczliwie szarpie więzy, ignorując ból, którego właściwie już nie czuję. Wiem, że jeśli tylko uda mi się znaleźć przy Annabelle, wszystko naprawię. Jeśli chwycę ją w ramiona, przywołam ją na powrót. Musi być jakiś sposób, ona nie może być martwa, nie może...

Jej oczy, szeroko otwarte i upiornie puste patrzą na mnie, jakbym naprawdę mogła coś zmienić. Krew płynie coraz wolniej, wsiąka w dywan i pełźnie w moim kierunku.

– Musiałam cię ukarać za to, co zrobiłaś – oświadcza Diusza, wycierając nóż w rękaw szaty. – Ciebie i ją.

Spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło, przestępuje nieruchome ciało Annabelle i otwiera drzwi. Przez sekundę dostrzegam za nimi stojących na posterunku Gwardzistów, a potem drzwi zamykają się i zostają w komnacie sama ze zwłokami dziewczyny, która była moją pierwszą bratnią duszą w tym miejscu.

U suwam się na kolana.

Moje ramiona, wygięte w nienaturalnej pozycji, protestują, ale nic mnie to nie obchodzi. Nogi nie są w stanie mnie utrzymać.

W ciele Annabelle nie ma już więcej krwi. Patrzę na jej piękną, ufną twarz i wciąż widzę tę dziewczynę, która została ze mną w noc po Aukcji, choć nie powinna tego robić, dziewczynę, która trzymała mnie w ramionach, gdy po pogrzebie Dahlii darłam na strzępy suknie, dziewczynę, która zawsze ogrywała mnie w Halme, która co wieczór czesała moje włosy i jako pierwsza poznała moje imię.

Kochałam ją. A teraz ją zabiłam. To przeze mnie jest teraz martwa.

– Przepraszam – szepcę i łzy, które dotąd wstrzymywałam, spływają po moich policzkach jak dwie nieprzebrane rzeki. – Tak bardzo przepraszam, Annabelle.

Świadomość jej śmierci okrywa mnie całunem, pod którym duszę się z bezsilności i żalu. Płacz zamienia się w głuchy, rozdzierający moją pierś szloch. Wyję bezgłośnie tak długo, aż moje gardło jest otwartą raną, moje płuca pulsują bólem, aż nie ma we mnie niczego poza pustką, którą niegdyś wypełniała Annabelle.

Czas płynie.

W którymś momencie zdaję sobie sprawę, że palą mnie ramiona i to uczucie wytrąca mnie z katatonii. Nie mam jednak dość energii, by się ruszyć.

Wydaje mi się, że słyszę jakieś dźwięki za drzwiami. Stuknięcie i dwa stłumione uderzenia. Może Diuszesa wróciła. Ciekawe, kogo tym razem zabije na moich oczach.

Drzwi otwierają się i do komnaty wkracza Gwardzista. Dziwne, ale tylko jeden. Nie rozumiem. Zamyka za sobą drzwi i przez krótką chwilę patrzy w zdumieniu na leżące w plamie szkarłatu ciało. Potem podchodzi do mnie.

– Nic ci nie jest? – pyta. Nie słyszałam dotąd, byt którykolwiek z Gwardzistów Diuszesy mówił, głos jednak brzmi zadziwiająco znajomo. Jestem zbyt skołowana, by odpowiedzieć.

Mężczyzna odpina coś od pasa i nagle moje ramiona są wolne. Chwyta mnie w pól, bo opadam bezwładnie na podłogę, niezdolna, by wyciągnąć ręce i się podeprzeć.

– Violet – szepce nagle. – Jesteś ranna?

Skąd Gwardzista wie, jak się nazywam? Potrząsa mną lekko i dopiero wtedy dostrzegam jego twarz.

– Garnet? – Mój głos jest ledwie słyszalny. Gardło mam przerażająco suche.

– Chodź – ponagla mnie. – Musimy się stąd wydostać, nie ma za wiele czasu.

Brutalnie stawia mnie na nogi. Przechodzę kilka kroków i opadam na kolana przy ciele Annabelle. Czuję, jak krew z dywanu wsiąka w moją koszulę. Czułym gestem dotykam jej włosów i zakładam za ucho zbłąkany kosmyk.

– Tak mi przykro – szepcę i nieskończenie łagodnie zamykam jej oczy.

– Violet – mówi Garnet. – Musimy iść.

Całuję ją ostrożnie w czoło, tuż ponad uchem. Jej włosy pachną liliami.

– Żegnaj, Annabelle – mruczę.

Zmuszam się, by wstać. Garnet ma rację. Musimy iść. Ash wciąż żyje i jeszcze nie jest za późno, by go ocalić.

Garnet otwiera drzwi. Na podłodze w sąsiednim pokoju leży dwóch Gwardzistów. Przez sekundę

zastanawiam się, czy są martwi, czy tylko nieprzytomni, a potem dociera do mnie, że wcale mnie to nie obchodzi.

Przebiegamy przez gotowalnię i wychodzimy na korytarz. Pełen kwiatów hol świeci pustkami. Garnet prowadzi mnie na prawo, ku rzadko używanym schodom na tyłach pałacu.

– Lucien cię przysłał? – pytam cicho.

– Lucien nic na razie nie wie. Nie mogłem się z nim skontaktować.

– Dokąd idziemy?

– Przestań zadawać pytania – syczy. Pospiesznie schodzimy po schodach. Podłoga skrzypi pod moimi stopami.

Parter wydaje się być upiornie cichy. Drzwi do sali balowej stoją otworem. Przez wysokie okna wpada do środka światło księżycy i maluje na parkiecie srebrzyste smugi. Wciąż pamiętam, jak po raz pierwszy przemykałam się tędy nocą, zmierzając do sypialni Asha.

– Gdzie są lochy? – szepczę. Garnet nie zwraca na mnie uwagi, więc chwytam go za ramię. – Garnet, gdzie są lochy? – powtarzam. – Musimy wyciągnąć Asha.

– Przymkniesz się wreszcie? – warczy. – Ciebie musimy wyciągnąć, nie jego.

W nos uderza mnie znajomy zapach. Nie zastanawiając się ani chwili, otwieram drzwi do palarni Diuka i wciągam do środka Garneta.

– Co ty wyprawiasz? – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Nie zostawimy go tutaj – oznajmiam.

– Na coś takiego się nie umawiałem.

– Ale on tu zginie!

– I co z tego?

– Ledwie co patrzyłam, jak Annabelle wykrwawia się na śmierć! – Czuję nieprzyjemny ucisk w piersi. – Była jedną z najcudowniejszych, najmilszych osób, jakie poznałam i zginęła z mojego powodu. Co, gdyby to ona była w lochu? Zostawiłbyś ją tam, wiedząc, że czeka ją egzekucja? Widziałam was razem. Byłeś dla niej miły. Lubiła cię. Naprawdę by cię to nie obeszło?

Garnet wyraźnie się wzdryga.

– Słuchaj, to nie jest część zadania, które dostałem, jasne? Nie zjawiłem się tu po to, żeby doprowadzić do ponownego spotkania rozdzielonych kochanków i takie tam. Rozumiesz?

– Nie o to chodzi. Stawką jest czyjeś życie. Dlaczego po mnie przyszedłeś?

– Bo wiszę przysługę Lucienowi. Obiecałem, że ci pomogę.

– No to mi pomóż! – naciskam.

– O co ci w ogóle do licha chodzi?! – wścieka się. – To tylko towarzysz, takich jak on jest na pęczki.

– A Annebelle była tylko służącą. Ja jestem tylko surogatką. – W moim głosie pobrzmiewa gniew. – Mówisz, jak twoja matka!

Garnet sztywnieje.

– Popatrz! – Chwytam w dłonie przemoczoną krwią nocną koszulę. – To jej krew. Twoja matka ją zamordowała, Garnet. Kiedy to się skończy? Ilu jeszcze ludzi będzie musiało przez nią zginąć?

Milczy przez chwilę.

– Dobrze – mruczy. – Pomogę ci. Ale jeśli nas złapią, nie oczekuj, że będę chronić twój tyłek.

– Aż tak naiwna nie jestem – mamroczę pod nosem.

Wymykamy się z pokoju i wracamy przez hol i bibliotekę. Wreszcie zatrzymujemy się przed szerokimi drzwiami opatrzonymi masywnym zamkiem.

– Potrzymaj – mówi Garnet, podając mi coś, co wygląda jak kawałek czarnego marmuru mniej więcej wielkości jaja. Jego powierzchnia jest nienaturalnie gładka.

– Co to?

– Ogłuszy strażników – wyjaśnia. – Nie pytaj mnie jak, Lucien to zrobił. W ten sposób wyciągnąłem cię z komnat, nie wywołując alarmu.

Wyciąga zza pazuchy pęk kluczy i wsuwa jeden z nich, duży i żelazny, do zamka. Drzwi otwierają się ze stłumionym skrzypnięciem. Garnet obraca się ku mnie i zabiera mi marmur.

– Powiedziałbym, że panie przodem, ale w tej sytuacji lepiej chyba darować sobie zwyczajowe uprzejmości.

Korytarz przypomina tajne przejście do pokojów Asha; podłoga i ściany są wyłożone kamieniem, a kule świetlne sprawiają, że tunel tonie w mdłym świetle. Przede mną ciągną się schody, wąskie i długie. Idę wolniej niż powinnam, nasłuchując dźwięków, które nie są odgłosem kroków Garneta ani plaskaniem moich bosych stóp o lodowate stopnie. Kiedy schodzimy wreszcie na dół, drzę z zimna. Powietrze jest tu chłodne. Kolejne drzwi, grube, z ociosanego drewna z żelazną kratą umieszczoną na linii wzroku wydają się uchylone.

Garnet marszczy brwi.

– Co? – szepczę.

Popycham drzwi i nagle strach przed tym, że ktoś nas dojrzy, znika.

– Och! – wykrzykuję, niepomma na to, że powinnam być cicho.

Ash leży w celi, ledwie kilka jardów przede mną. Podbiegam do niego i opadam na kolana, zaciskając dłonie na zimnych prętach kraty.

– Ash – szepczę. Na jego twarzy i włosach widnieje zakrzepła krew. Kość policzkowa jest sinofioletowa, a na czole widać paskudne otarcie. Ma na sobie tylko spodnie od piżamy, stopy i klatka piersiowa są nagie. Na pewno jest mu potwornie zimno. A raczej byłoby, gdyby był przytomny.

– Ash – mówię głośniej. – Ash, obudź się. – Wyciągam dłoń, ale nie mogę go dosięgnąć poprzez kratę.

– Garnet, gdzie są klucze?

Garnet pojawia się u mojego boku.

– Nie wiem – odpowiada. – Na tym kółku nie ma kluczy do żadnej celi.

Wzbiera we mnie fala rozpacz, zaciskam jednak zęby i nie poddaję się jej. Nie czas tracić nadziei.

– Musi być coś, co możemy zrobić. Na pewno gdzieś tutaj są. Ash! – Szarpnię pręty. Na próżno. – Obudź się, błagam!

Serce zamiera mi w piersi, gdy z cienia za drzwiami wyłania się nagle Carnelian. W dłoni trzyma niewielki złoty kluczyk.

– Carnelian, coś ty zrobiła? – pyta Garnet, patrząc szeroko otwartymi oczyma gdzieś poza nią. Podążam za jego wzrokiem i dostrzegam ciała dwóch Gwardzistów leżące na podłodze za drzwiami obok pustej celi.

Carnelian unosi drugą dłoń i pokazuje Garnetowi strzykawkę.

– Wiesz, to zabawne, jak wiele możesz zrobić, kiedy nikt nie zwraca na ciebie uwagi – mówi cicho. – Możesz chodzić, gdzie chcesz. Możesz manipulować ludźmi. Doktor pokazał mi parę rzeczy, kiedy udawałam, że interesuję się medycyną. – Patrzy na igłę niemal z czułością. – Nie zabiłam ich – wyjaśnia. – Są sparaliżowani. No i nieprzytomni. Oni również mnie nie doceniali. Widziałam to w ich oczach. Biedna mała Carnelian. Biedna, brzydka, głupia Carnelian.

– Matka cię za to zabije – rzuca Garnet.

– Och... ciebie też – odpowiada dziewczyna. – Co robisz tu na dole i to na dodatek z nią?

– Otwórz celę – mówię.

Posyła mi mordercze spojrzenie.

– To nie ty miałaś z nim być. On powinien należeć do mnie. Dlaczego musiałaś mi go odebrać?

– Niczego ani nikogo ci nie odebrałam – warczę. – Ash nie jest szczeniakiem albo bransoletką. Jest człowiekiem.

– Wiem, kim jest – oświadczam. – Znam go lepiej niż ty.

– Szczerze w to wątpię.

– Zdradził mi rzeczy, o których wcześniej nikomu nie mówił. Sam tak powiedział. A ja... ja... – Na jej policzki występują krwawe plamy. – Zaufałam mu i zdradziłam mu moje sekrety. Miał ze mną zostać na zawsze.

– Carnelian, nigdy nie było żadnego *na zawsze*. Nie zostałyby z tobą. Odszedłby zaraz po twoich zaręczynach.

– Opracowywałam plan – upiera się Carnelian. – Na pewno znalazłabym jakiś sposób.

– No cóż, nic z tego nie ma teraz znaczenia, bo jeśli nie otworzysz tych drzwi, Ash zostanie stracony. – Klucz w jej dłoni przyciąga mój wzrok jak magnes. – Tego właśnie chcesz?

– Nie chcę, żeby był z tobą.

– Więc wolisz, żeby umarł?

Cichy jęk dobywający się z ust Asha obydwie nas ucisza.

– Ash! – Przyciskam twarz do prętów celi. Jego powieki drgają, raz i drugi, aż wreszcie unoszą się. Kiedy mnie dostrzega, na jego wargi wypływa uśmiech.

– Violet? – chrypi. – Gdzie jesteśmy? – Kręci powoli głową, by rozejrzeć się po pomieszczeniu. – Ach, no tak.

– Nie martw się. Przyszłam cię uratować. – Nie brzmię tak pewnie, jakbym chciała.

– To miłe – szepce Ash. Jego spojrzenie traci na chwilę ostrość, ale po chwili wraca do mnie. – Co się stało z twoją twarzą?

– Nic mi nie jest – zapewniam, gdy Ash z trudem siada na podłodze. Mruga i, krzywiąc się, dotyka opuchniętego policzka.

– No więc – mruczy, czołgając się w stronę drzwi celi – jak mam znaleźć się po drugiej stronie tej kraty?

Spoglądam za siebie i Ash po raz pierwszy zauważa, że nie jesteśmy w lochu sami. Widząc Garneta i Carnelian, marszczy brwi. Dziewczyna opuszcza strzykawkę.

– Carnelian ma klucz – oznajmiam, a potem wbrew sobie samej, podnoszę się i odchodzę kawałek dalej. Nie jestem w stanie przekonać Carnelian, by otworzyła drzwi, ale Ash może to zrobić.

Carnelian podchodzi do celi powoli, nie spuszczając wzroku z twarzy Asha. Staje przed kratą i osuwa się na kolana dokładnie w tym samym miejscu, z którego ledwie się podniosłam.

– Tak mi przykro – szepce, obejmując dłonią jego zaciśniętą na pięcie dłoń. – Myślałam, że jeśli się jej pozbędę, będziemy razem.

Ash zmusza się do kolejnego uśmiechu.

– Wiem.

– Myślałam... Miałam plan...

– Wiem – powtarza Ash. – Ale on by nie zadziałał.

Carnelian ze smutkiem kiwa głową.

– Bo choćby nie wiem, co się stało, nie możesz ze mną zostać.

– Nie – odpowiada miękko. – Nie mogę.

– Mogę zadać ci jedno pytanie? – Carnelian wsuwa klucz do zamka.

– Oczywiście.

– Czy cokolwiek, co było między nami, było... prawdziwe?

Ash zbliża twarz tak blisko twarzy Carnelian, że mam ochotę wrzeszczeć. Szepce coś, czego nie jestem

w stanie usłyszeć i nagle twarz dziewczyny rozjaśnia się. Po chwili puszcza kratę, przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. Błyskawicznie przyskakuję do Asha i pomagam mu wstać. Carnelian patrzy na mnie nienawistnie.

– Robię to dla niego – oświadcza. – Nie dla ciebie.

Nie mam szans odpowiedzieć, bo wcina się Garnet.

– No tak, tak, oglądałem to małe przedstawienie z prawdziwym ukontentowaniem – sarka – ale chyba najwyższa pora stąd iść.

– Wszystko w porządku? – szepczę do Asha. Przez cienki jedwab mojej koszuli czuję, jak lodowatą ma klatkę piersiową, jednak uścisk jego ramion jest silny i kojący.

– Zabierajmy się stąd – odpowiada cicho.

– Rozchmurz się, kuzynko – rzuca Garnet. Carnelian przygląda się Ashowi i mnie z na poły gniewnym, na poły smutnym grymasem. – Pomyśl o minie matki, gdy odkryje, że te gołąbeczki znikły.

Kącik jej ust unosi się lekko.

Garnet kiwa głową.

– Dzięki za pomoc – mówi i macha do niej ręką. Potem odwraca się w naszą stronę. – A teraz naprawdę stąd znikajmy.

Wbiegamy po schodach tak szybko i cicho, jak tylko jesteśmy w stanie.

Korytarze są puste. Jedną ręką Ash trzyma się za żebra po lewej stronie, drugą ściska moją dłoń.

– Nic ci nie jest? – pyta, wskazując brodą moją koszulę. Krew Annabelle prawie już wyschła. Kolana i łydki pokrywają ciemnoczerwone plamy. Żal znów ściska mnie za gardło.

– To nie moja krew – szepczę.

Oczy Asha rozwierają się szeroko.

– Kto...

Potrząsam głową. Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

Mijamy jadalnię i wchodzimy w przeszklony korytarz prowadzący do wschodniego skrzydła, gdzie znajdują się komnaty Asha. Mam wrażenie, jakby ta noc rozgrywała się raz jeszcze, tym razem od końca. On tu jest, muszę o tym pamiętać. Mocniej ściskam jego rękę.

– A ten co tu robi? – szepce mi do ucha, spoglądając na Garneta.

Wzruszam ramionami.

– Ten usiłuje wyprowadzić was z tego pałacu w jednym, a właściwie w dwóch kawałkach – odpowiada Garnet. – Więc, z łaski swojej, przymknijcie się i trzymajcie blisko mnie.

– Dokąd idziemy? – pytam.

– Potrzebujemy transportu.

– Acha. To jaki jest plan?

– No naprawdę, Violet... – parska Garnet i przystaje na moment. – Czy ja wyglądam, jakbym miał na podorędziu jakąś instrukcję? No wiesz, strona 15, ucieczka z Pałacu Jeziora? Wymyślam na bieżąco. Więc jeśli masz jakiś lepszy pomysł...

– Nie, nie – zapewniam pospiesznie. – Zdajemy się na ciebie.

– Wie, jak masz na imię – mruczy pod nosem Ash, gdy przemykamy przez korytarze,

– Lucien – wyjaśniam. Ash mówi coś, ale zbyt cicho, bym mogła usłyszeć.

Mijamy dawne kwatery Asha, skręcamy w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Jesteśmy dalej we wschodnim skrzydle niż kiedykolwiek wcześniej.

– Skąd znasz tak dobrze tę część pałacu? – pyta Ash Garneta. – To skrzydło służby.

Garnet unosi brew i patrzy na mnie z paskudnym uśmiechem.

– Bywam tutaj.

Krzywię się, myśląc o tych wszystkich naiwnych pokojówkach, na które Garnet mógł urządzać polowania, ale na Ashu pełne samozadowolenia słowa nie robią żadnego wrażenia.

– Nieprawda – mówi.

Garnet prychnął pogardliwie.

– Skąd miałbyś wiedzieć?

– Skądś – odpowiada Ash. – I, uwierz mi, wiem.

Gdy docieramy do końca korytarza, Garnet z szyderczym grymasem ściąga z siebie kurtkę gwardzisty.

– Będzie ci potrzebna – oznajmia, rzucając mi ją.

Ubieram się. Rękawy są dużo za długie i natychmiast przypomina mi się szlafrok mamy, to, jak wielki zdawał mi się, gdy nosiłam go po domu, jeszcze w Bagnie, wtedy, gdy najstraszliwszą rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić, był wyjazd do Magazynu Południowej Bramy.

Garnet otwiera drzwi i w twarz uderza mnie podmuch lodowatego powietrza. Natychmiast zaczynam szcząkać zębami. Obracam się, by zaoferować okrycie Ashowi, który nie ma nawet koszuli, ale na widok mojego gestu on jeszcze mocniej opatula mnie kurtką. Jestem boso, zmarznięta trawa chrupie mi pod stopami i po chwili nie mam już w nich czucia. Zachmurzyło się i ani gwiazdy, ani księżyc nie oświetlają nam drogi. Na szczęście Garnet zdaje się doskonale wiedzieć, dokąd idzie. Z ciemności wyłania się czarny, kanciasty kształt jakiegoś budynku. Gdy podchodzimy bliżej, Garnet szuka przez chwilę właściwego klucza.

Słysząc chrobot i po chwili zamieniamy lodowatą noc na chłodne, ciche pomieszczenie.

Drzwi zamykają się za mną i zapala się światło. W pomieszczeniu, jeden obok drugiego, stoją wypolerowane do połysku automobile. Dostrzegam biały, którym jechałam z Diuszesa na pogrzeb Dahlii w pałacu Hierarchy, oraz czarny, używany zwykle z okazji balów, ale jest ich więcej – jeden czerwony, drugi srebrny, kolejny jasnoniebieski i jeszcze jeden, cytrynowożółty.

Garnet podchodzi prosto do czerwonego samochodu i otwiera bagażnik.

– Wskakujcie – mówi.

Nigdy nie sądziłam, że któregoś dnia zgodzę się, a właściwie to zapragnę wejść do czyjegoś bagażnika.

– Nie sądzisz, że ktoś może zauważyć, jeśli samochód zniknie? – mamrocze Ash, układając się w ciasnej przestrzeni. Staram się wypełznąć głębiej, by zrobić mu miejsce.

Na usta Garneta wypęła charakterystyczny, bezczelny uśmiech.

– Ten jest mój. To nie będzie pierwszy raz, gdy wymknąłem się nim na nocną przejażdżkę.

Zatrząskuje klapę z hukiem.

Panika atakuje mnie z wściekłością, która odbiera mi dech. Wszędzie ciemność, nazbyt bliska i namacalna. Duszę się. Z całych sił uderzam dłońmi w klapę bagażnika, ale ta nie chce ustąpić. Nagle czuję na twarzy zimne dłonie Asha.

– Violet, spokojnie – szepce. – Oddychaj.

Moje płuca wreszcie reagują i nagle przygniata mnie świadomość tego, co się stało. Z rozpaczą wtulam się w Asha, a po policzkach płyną mi łzy. Garnet odpala silnik. Całym ciałem czuję jego wibracje. Słyszę stłumiony dźwięk otwierającej się i zamykającej bramy garażu i po chwili samochód gwałtownie rusza. Wpadam na Asha. Pojazd skręca i ten ruch wbija mnie na powrót w ścianę bagażnika, a Ash niemal mnie zgniata.

– Wiesz co? – jęczy. – On się chyba świetnie bawi.

Mój szloch zamienia się w histeryczny śmiech. Od tej wymuszonej absurdalnej wesołości aż boli mnie brzuch. Ash również zaczyna chichotać, ale parsknięcia szybko przechodzą w kaszel.

– Wszystko w porządku? – pytam, całując jego twarz.

– Tak, tak... Auć! – stęka, gdy dotykam wargami pokiereszowanego policzka. – Co dokładnie się wydarzyło? Pamiętam tylko, że Diuszesa wpadła do mojej sypialni.

Opowiadam mu o przemawiającym głosem Garneta Arkanach, o tym, jak związali mnie Gwardziści i jak Annabelle...

– Zostawiłam ją tam – szepczę. – Samą.

– Musiałaś – mówi cicho Ash. – Violet, musiałaś to zrobić.

Milczymy przez chwilę. Poczucie winy, ból i żal, które udało mi się odepchnąć od siebie na czas ucieczki z pałacu, wracają. Widzę jej twarz w ciemnościach, czuję zapach jej włosów.

– To moja wina – wyznaję łamiącym się głosem. – Gdybym nie... Gdybyśmy...

– Nie. – Wypowiedziane ostrym, autorytarnym tonem słowo zdaje się wypełniać ciasną przestrzeń. – To Diuszesa zabiła Annabelle, Violet. Nie ty. Nie ja.

Kładę głowę na jego ramieniu i składam sobie w duchu obietnicę. Nigdy nie zapomnę Annabelle. Tylko w ten sposób mogę utrzymać ją przy życiu.

– Wiesz, dokąd jedziemy? – pyta Ash.

– Nie. – Teraz, kiedy wyjechaliśmy już na drogę, automobil porusza się płynnie. Wyplątuje się z kurtki i narzucam ją na Asha.

– Violet, ja nie...

– Obydwoje z niej skorzystamy – oznajmiam, po czym przyciskam się do niego najbliżej, jak tylko mogę. Ma lodowatą skórę.

Ash głaszcząc moje włosy. Stłumiony pomruk silnika działa dziwnie uspokajająco.

– Ocaliłaś mi życie – szepce Ash i jego ciepły oddech omiata mi czoło.

– Nie mogłam cię tam zostawić.

Śmieje się cicho.

– Doceniam to.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie.

Zdaje się, że mija cała wieczność nim samochód wreszcie się zatrzymuje. Garnet otwiera bagażnik. Wypogodziło się, bo widzę jego sylwetkę osrebrzoną światłem księżyca.

– Miło się jechało? – pyta z kpiarskim uśmiechem.

Ash wygrzebuje się z bagażnika i pomaga mi zrobić to samo. Zarzuca mi kurtkę na ramiona.

– Gdzie jesteśmy?

Rozglądam się. Stoimy w jakiejś ciemnej uliczce, w mroku mającej dwa przysadziste, pozbawione ozdób budynki.

– Kostnica – odpowiada Garnet.

Wstrząsa mną dreszcz.

Prowadzi nas do żelaznych, pomalowanych pod kolor ścian drzwi. Biała fasada robi niepokojące wrażenie.

– Nie jest zamknięta? – zdumiewam się.

– To kostnica dla służących i surogatek – wyjaśnia Garnet.

– No tak – mruczę pod nosem.

W budynku jest chłodno i sterylnie. Garnet odpina od paska niewielką latarkę i oświetla kilka długich korytarzy. Pomalowane na chorobliwą zieleń, cuchnące antyseptykami wyglądają upiornie. Stopy lepią mi się do wypastowanej podłogi.

– Dokąd idziemy? – szepczę.

Garnet kieruje snop światła najpierw na lewo, potem na prawo.

– Dobre pytanie – parska. – Lucien nie powiedział ci przypadkiem, gdzie dokładnie masz się z nim spotkać?

– Miałam tak jakby nie żyć – przypominam.

– Racja.

– Tu są jakieś oznaczenia – zauważa Ash. Stoi na rogu dwóch krzyżujących się korytarzy i wpatruje się w ścianę. – Garnet, poświeć tutaj.

Garnet kieruje latarkę we wskazane miejsce i oświetla niewielką tabliczkę.

SUROGATKI -->

DWÓRKI <--

SŁUŻĄCY ^

Idziemy więc w prawo, mijamy podwójne, kołyszące się na zawiasach, przeszkłone drzwi i wchodzimy w kolejny korytarz. Ash sprawdza jeden z pokoiów.

– Zamknięte – mówi cicho, zdejmując dłoń z klamki.

Ciemność w tym upiornym grobowcu jest po stokroć gorsza niż ciemność w bagażniku automobilu.

Przyciskam czoło do chłodnej powierzchni i próbuję udawać, że jestem gdzieś indziej, że Ash jest tu ze mną, albo że to wszystko to tylko zły sen i za moment obudzę się w domu w Bagnie.

Lampy w pokoju się zapalają.

Błada żółć ledwie przesącza się do mojej kryjówki. Wewnątrz nie ma klamki, zostawiłam więc niewielką szparę w drzwiczkach. Głosy dwóch mężczyzn docierają do mnie stłumione.

– ... żeby ktokolwiek zauważył, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– A kogokolwiek by to w ogóle obeszło? Ile surogatek zeszło w ostatnich latach? Dwadzieścia?

– Nie twój interes, kolego. Robimy, co nam każą. – Ten głos jest zdecydowanie starszy, brzmi szorstko, chrapliwie. – Mówią: Dom Kamienia o północy, więc jedziemy do Domu Kamienia o północy.

Dom Kamienia! Przywieźli Raven! Mam ochotę zapłakać z ulgi.

Znów słyszę ten dziwny skrzypiący dźwięk, a potem otwiera się jedna z szuflad. Mężczyźni majstrują przy torbie z ciałem.

– Niezbyt ciężka, nie? – rzuca pierwszy głos.

– Żadna z nich nie jest ciężka, kolego. Sam się przekonasz.

Plastik trze o metal i szeleści. Drzwiczki się zamykają.

– A teraz – oznajmia pierwszy, burkliwy głos – pora wracać do łóżka. Miejmy nadzieję, że nie będzie dziś więcej wezwań.

Odchodzą. Ich buty lepią się do posadzki i odrywają od niej z cichymi plaśnięciami. Światło gaśnie.

Staram się trwać w bezruchu i oddychać jak najciszej. Czekam i czekam, obawiając się, że mężczyźni wrócą. Wreszcie nie mogę już tego wytrzymać. Rozpaczliwie skrobię paznokciami drzwiczki i po chwili otwieram je na oścież. Najszybciej jak się da, wygrzebuję się z ciasnej szuflady i upadam na podłogę. Gdy Ash i Garnet otwierają swoje grobowce, wstaję i podciągam rękawy kurtki. Gorączkowo przesuwam dłońmi po ścianie, aż udaje mi się znaleźć włącznik.

Długo leżałam w ciemnościach i jasne światło rani moje oczy. Biały jak płótno Ash z wysiłkiem dźwiga się na nogi. Garnet opiera się ciężko o jedną z szafek i w roztargnieniu przygląda jasne włosy. Nigdy nie widziałam go tak poruszonego.

– Ona tu jest – mówię do Asha.

– Wiem – odpowiada.

Na moją twarz wypływa uśmiech. Otwieram kolejne drzwiczki gnana jednym pragnieniem. Odrzucam Garneta i zaglądam do szuflad, póki nie znajduję tej, która wcześniej była pusta.

Z całych sił szarpie metalowy stół i ukryte pod grubym plastikiem ciało przyjaciółki wreszcie się wysuwa. Ash i Garnet podchodzą bliżej. Odpinam suwak i otwieram torbę.

Twarz Raven jest tak samo zimna i pozbawiona życia jak twarze innych dziewcząt w kostnicy i przez jedną koszmarną chwilę myślę, że moja najlepsza przyjaciółka naprawdę nie żyje. Jej piękna karmelowa skóra wygląda jak wosk, a błyszczące zazwyczaj włosy są matowe i poplątane. Jest naga. Pospiesznie ściągam kurtkę i okrywam nią jej ciało. Straszliwie wychudła. Przypomina obciążony skórą szkielet, dokładnie widać każde żebro, a kości biodrowe sterczą jak ostrza po obydwu stronach lekko zaokrąglonego brzucha.

Przyciskam dłoń do jej policzka. Jest lodowaty.

– Raven – mówię łamiącym się głosem. Czekam na ruch rzęs albo drgnienie warg, ale jej twarz pozostaje zupełnie nieruchoma, śmiertelnie spokojna. – Raven, to ja – szepczę. – Violet. – Przełykam z trudem. – Proszę, obudź się. Uratowałam cię. Błagam, wróć do mnie.

Cisza przygniata mnie jak głaz, łamie mnie na małe kawałeczki.

– Może ona naprawdę... – zaczyna Garnet, ale nie daję mu dokończyć. Obracam się i uderzam rękoma w jego pierś, odpychając go od siebie.

– Ona nie umarła – syczę. Dopadam do Raven i potrząsam nią. Jej głowa bezwładnie opada w tył. – Obudź się, Raven. No dawaj, przecież wzięłaś serum. Wiem, że to zrobiłaś, więc, do licha, obudź się!

Uderzam ją w twarz. Nic się nie dzieje.

Ash ostrożnie kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Tam mi przykro – mówi cicho.

Odrzucam jego dłoń. Nie chcę współczucia, nie teraz.

– Ona...

Powieki Raven gwałtownie się unoszą. Jej ciało wygina się w łuk, a oczy o mało nie wyskakują jej z orbit. Nagle przechyla się na bok i wymiotuje. Ash i Garnet odskakują, gdy jej drobnym ciałem wstrząsają konwulsje. Pochyliłam się nad nią i obejmuję ją mocno. Raven kaszle i dławi się, a ja głaszczę ją po włosach i kładę czoło na jej ramieniu, wdzięczna za to, że oddycha, rusza się, żyje. Po chwili, dysząc ciężko, przetacza się na plecy. Rozgląda się w panice, aż wreszcie jej wzrok pada na mnie.

– Violet? – skrzeczy. Po policzkach płyną mi łzy, ale nie zawracam sobie głowy ocieraniem ich.

– Jestem tutaj – zapewniam. – Jesteś bezpieczna.

Spogląda na sufit.

– Widziałam mamę – mówi. – Cesała mi włosy. Potem obdarli ją ze skóry.

– Co? Twoja mama żyje i mieszka w Bagnie.

– Obdarli ją ze skóry – powtarza Raven. – Pokazali mi kości.

Jej spojrzenie traci ostrość, a mięśnie wiotczeją. Nieruchomieje.

– Raven? – szepczę. Dotykam opuszkami palców jej policzka. Oddycha, ale mam wrażenie, jakby ktoś po prostu zgasił w niej światło.

– Co oni jej zrobili? – mówi ściszym głosem Ash.

– Oni... Nie wiem. – Przesuwam dłonią po jej głowie i wyczuwam niewielką, może półcalową bliznę.

A potem kolejną. I jeszcze jedną.

– No cóż – rzuca Garnet i klaszcze w dłonie. – To była zaprawdę niezwykła noc, godna wspomnienia w annałach, ale choć bardzo chciałbym zostać z wami i popatrzeć jak Lucien dostaje szału, to chyba najwyższa pora, żebym się stąd zabrał.

– No pewnie – mruczy Ash.

– Hej, ocaliłem wam życie. Co jeszcze, według ciebie, mam zrobić? – odcina się Garnet.

– Zupełnie nic.

– Jasne. To powodzenia z ucieczką i tak dalej.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma sprawy. – Garnet kładzie dłoń na kłamce, gdy nagle Raven siada. Ruch jest tak gwałtowny i niespodziewany, że ledwie udaje mi się przytrzymać na jej ramionach kurtkę.

– Jesteś tchórzem – mówi Raven, patrząc wprost na Garneta. Jej spojrzenie wciąż nie jest do końca ostre, jakby koncentrowała się na dwóch rzeczach jednocześnie.

Gapimy się na nią skonsternowani.

– Raven? – pytam niepewnie.

– On jest tchórzem – powtarza. – Łamie niewłaściwe zasady. Tylko te, które łatwo złamać. Boi się. –

Jej ciało rozluźnia się, w oczach pojawia się skupienie. – Jestem zmęczona. Jeszcze za wcześnie na lekarza.

Opada z powrotem na stół i zaczyna szeptać coś do siebie. Większości jej słów nie rozumiem, wyłapuję jednak, że czasem powtarza własne imię.

Garnet przygląda się jej przez chwilę, po czym potrząsa głową.

– Chrzanić to – mruczy. – To wasz problem.

Żegna nas machnięciem ręki i wychodzi na korytarz. Przykładam dłoń do czoła Raven, ale ona już wróciła do pustki, z której wyłoniła się ledwie na moment. Znów patrzy w sufit.

– Co teraz? – pyta Ash.

– Teraz czekamy na Luciena – odpowiadam. – Na pewno przyjdzie.

Mijają godziny.

Albo tak mi się tylko wydaje. Nie ma jak sprawdzić. Dla bezpieczeństwa wyłączyliśmy światła. Siedzimy z Ashem na podłodze pod ścianą i obejmujemy się ciasno dla zachowania ciepła. Od chwili, gdy Garnet znikł, Raven nie poruszyła się ani nie odezwała.

Zastanawiam się, co się stanie, gdy Diuszesa odkryje, że znikłam. I że znikł Ash. Ciekawe, czy Garnetowi uda się dopilnować, by Carnelian siedziała cicho. Właściwie to on sam może nas zdradzić. Nie jest wobec nas lojalny, nie wydaje się również człowiekiem godnym zaufania – nie mam pojęcia, dlaczego Lucien wybrał akurat jego. Co do Carnelian, to mogę przynajmniej liczyć, że nie zrobi niczego, co mogłoby zagrozić Ashowi.

Pamiętam, jak rozmawiali w lochu.

– Co jej powiedziałaś? – pytam. Już tyle czasu siedzimy w milczeniu, że mój głos brzmi ochryple. Odzywam się głośniej niż zamierzałam.

– Mmm? – mruczy Ash w moje włosy. Oparł policzek o czubek mojej głowy.

– Kiedy Carnelian zapytała cię, czy coś było prawdziwe. Co jej powiedziałaś?

Nie spodziewałam się po nim wahania. Unosi głowę i odwraca ją. Nie patrzy na mnie.

– To prywatna sprawa, Violet.

– Masz zamiar mieć przede mną tajemnice?

– A ty jak wiele tajemnic ukrywałaś przede mną?

Przygryzam wargę.

– To nie to samo – protestuję. – Musiałam. Obiecałam Lucienowi.

– A co z obietnicami, które ja złożyłem?

– Przecież wynajęto cię, żebyś je składał. To nie tak samo, jak z nami.

– Wiem. – Ash patrzy w górę, jego profil jest czarną plamą w otaczającej nas ciemności. – Ale czy muszę zdradzić jej zaufanie dlatego, że jej nie lubisz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Chyba zakładałam że nie cierpi Carnelian tak samo jak ja.

Ash wzdycha.

– Nie chodzi tylko o zachowanie tajemnicy. Carnelian jest... smutna. Bardzo smutna i bardzo nieszczęśliwa. Ten smutek przekształcił się w gorycz i złość. Zraniło ją wielu ludzi, a ja nie chcę być kolejny, choćby nawet miała się nigdy nie dowiedzieć, że dotrzymałem obietnicy.

Splątam palce z jego palcami.

– Nie musisz być taki szlachetny.

– Nie, w ogóle... Ale... Trochę ją rozumiem.

– No cóż, kiedyś będziesz musiał mi o niej opowiedzieć.

Słyszę na zewnątrz kroki. Podrywamy się na nogi, ale mamy za mało czasu, by znaleźć jakąś kryjówkę. Pokój zalewa jasne światło.

Do środka wchodzi Lucien. Ma na sobie zwyczajową białą szatę z wysokim koronkowym kołnierzem, a na głowie schludny węzeł kasztanowych włosów, który symbolizuje jego status dwórki. Ten status oznacza dla niego coś innego niż dla kobiet, mężczyźni pełniący tę rolę są eunuchami, kastruje się ich, by mogli bezpiecznie pracować z arystokratkami.

Lucien na ramieniu niesie dużą torbę. Patrzy na mnie, na Asha, na Raven i znów na mnie. Nie wydaje się zaskoczony, najpewniej rozmawiał już z Garnetem.

Zamyka drzwi i swobodnym krokiem podchodzi do Asha. Nagle chwyta go za gardło i popycha na ścianę.

Ash z hukiem uderza głową w drzwiczki jednej z szuflad.

– Lucien! – wrzeszczę.

– To prawda? – pyta kipiącym od gniewu głosem. Ash wygląda na skołowanego. I przyduszonego. Chwytam Luciena za wolną rękę i ciągnę.

– Przestań!

Lucien wbija we mnie wzrok.

– Wiesz, co mówią? – syczy. – Że ten kawał gówna cię zgwałcił.

– Co? – Zdumienie odbiera mi dech.

Ash wreszcie przytomnieje. Błyskawicznym ruchem chwyta Luciena za nadgarstek. Mężczyzna wydaje okrzyk zaskoczenia i bólu, ale Ash wykręca mu ramię na plecy. Lucien odruchowo pochyła się do przodu.

– Coś ty powiedział? – warczy Ash. Nigdy wcześniej nie widziałam, by używał przemocy.

– Puść mnie – odszczekuje Lucien.

– Ash! – krzyczę.

– On w to wierzy. Rozumiesz, Violet? On w to wierzy! – Jeszcze mocniej wykręca mu rękę.

– A dlaczego miałbym nie wierzyć? – pyta Lucien. – Wiem, co robisz, co naprawdę robisz. Towarzysze, o tak, urocze uśmiechy i paskudne myśli. Nie powinienem był pozwolić, byś się do niej zbliżył.

Ash napiera na Luciena całym ciężarem ciała.

– Niczego o mnie nie wiesz – charczy.

– Wiem, że w ciągu roku śpisz z większą liczbą kobiet niż inni mężczyźni przez całe życie.

– I myślisz, że mi się to podoba? Czy jesteś zazdrosny, że mogę?

Na te słowa Lucien wydaje z siebie gardłowy okrzyk i wyrывa się z uścisku. Ale Ash jest zbyt szybki. W ułamku sekundy rzuca Luciena na ścianę i dociska przedramię do jego szyi.

– Ash, robisz mu krzywdę – mówię. Obraca głowę i patrzy mi w oczy. – Proszę, przestań. Puść go.

Powoli i niechętnie Ash opuszcza rękę i cofa się o krok. Lucien opiera się o ścianę i rozmasowuje obolałe ramię.

– Ash nie dotknąłby mnie bez mojej zgody, Lucienie – wyjaśniam.

– Cóż, łudziłem się, że nie jesteś tak głupia, by sama mu na to pozwolić.

– Dasz wreszcie spokój? – wcina się Ash, podchodząc bliżej. Twarz ma zaczerwienioną i siniec na jego kości policzkowej stał się jeszcze bardziej widoczny. Natychmiast staję między nimi. Nie chcę dopuścić do tego, by znów zaczęli się bić. – Nie jesteś jej ojcem. Nie masz prawa oceniać tego, co robi.

– Myślę, że nieco lepiej niż towarzysz wiem, co jest dla niej najlepsze – odcina się Lucien.

– Gdybyś jeszcze nie zauważył, nie jestem już towarzyszem. – Głos Asha jest zimny.

– Dość – oznajmiam i odciągam Luciena kawałek dalej. – Możecie sobie walczyć do upadłego, ale po tym, jak się stąd wydostaniemy. To jest teraz najważniejsze. Jaki jest plan?

Lucien strąca moją dłoń, podchodzi do torby i niedbale mi ją rzuca.

– W środku są ubrania. Przebierz się, szybko. Mieliśmy pojechać pociągiem, ale to już nie wchodzi

w grę.

Odpinam torbę i znajduję trzy pary brązowych wełnianych spodni, trzy swetry i trzy pary butów. Są również woda, latarki, bandaże i maść. Zużywam część wody, by zmyć z nóg krew Annabelle i przemyć rany na czole i policzku Asha. Oko wciąż ma opuchnięte, smaruję więc okolice maścią.

– Ty też – mówi Ash i rozprawdza odrobinę specyfiku na mojej rozciętej wardze. Trochę szczypie.

Kiedy jesteśmy już ubrani, odwracam się w stronę Raven. Wciąż gapi się w sufit.

– Czy... – zaczyna Ash.

– Nie, ja to zrobię. – Patrzę na niego, a potem na Luciena. – Odwróćcie się – proszę. Może Raven nie jest w pełni przytomna, wiem jednak, że nie chciałaby, by dwóch obcych mężczyzn oglądało ją nago. Udaje mi się jakoś naciągnąć jej spodnie, jest strasznie chuda, a jej kończyny przypominają gałązki, ale ze swetrem mam problem.

– Och, Raven, mogłabyś usiąść? – mruczę, bez specjalnej nadziei, że mnie posłucha. Kiedy siada, z trudem hamuję okrzyk zaskoczenia.

– Violet? – pyta. Jej oczy są pełne blasku, jak kiedyś.

– Załóż to – mówię, podając jej sweter.

– Nigdy wcześniej nie byłam w tym pokoju – zauważa, gdy zakładam jej buty i pomagam zejść z metalowej płyty. – Bardzo błyszczący.

– Domyślałam się, że to przyjaciółka, o którą pytałaś – mówi Lucien. – Surogatka Hrabiny Kamienia?

– To Raven – przedstawiam ją.

– Jestem Raven – powtarza za mną Raven.

– I dałaś jej serum, które dla ciebie zrobiłem.

Prostuję plecy.

– Tak.

Lucien przewraca oczami.

– Ze wszystkich surogatek na Aukcji... – mruczy sam do siebie. – Zostaw kurtkę, wrócę po nią. Zresztą i tak będę musiał posprzątać. – Rzuca okiem na wymiociny na podłodze i potrząsa głową. – Byłoby naprawdę o wiele łatwiej, gdybyś mnie posłuchała.

Ash upycha nasze stroje nocne w torbie i przewiesza ją sobie przez ramię. Wychodzimy z pokoju. Lucien prowadzi nas pustym korytarzem do kolejnych drzwi. Są masywne i widnieje na nich napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO. WSTĘP WZBRONIONY. To dziwne, ale nie są zamknięte na klucz. Lucien z łatwością je otwiera.

W jednej chwili uderzają we mnie fala gorąca i zapach spalenizny. Pomieszczenie jest puste, jeśli nie liczyć ogromnej, opatrzonej wielkimi wrotami konstrukcji.

– A oto, co się stało – mówi Lucien niemal konwersacyjnym tonem. – Zauważono waszą ucieczkę. Z jakichś powodów, zapewne przez wzgląd na własne interesy, Diuszesa nie ujawniła, że znikłaś, Violet. Zamiast tego oskarżyła go – wskazuje brodą Asha – o gwałt. Jeśli towarzyszysz śpi z niewysterylizowaną kobietą, popełnia przestępstwo. Jeśli ta kobieta jest surogatką... No cóż, arystokracja dostała szału. Wszystkie pociągi wjeżdżające lub wyjeżdżające z Klejnotu zostały wstrzymane. Wszyscy nieoddelegowani do jakichś specjalnych zadań Gwardziści przeczesują ulice w poszukiwaniu gwałciciela. Za kilka godzin listy gończe z jego portretem będą wisieć w całym mieście.

Czuję się dziwnie pusta w środku.

– To co zrobimy?

Lucien przekręca gałkę w masywnych drzwiach konstrukcji i otwiera je. W środku tańczą wysokie płomienie. W pomieszczeniu robi się jeszcze goręcej.

– Spalarnia łączy się bezpośrednio z systemem ściekowym – wyjaśnia. – Tunelami możecie dostać się

do Banku. Niższe kręgi mają oddzielny system. W torbie jest mapa. Zaznaczyłem drogę na czerwono. Ktoś będzie czekał na was w Banku, stamtąd przerwucimy was dalej.

– Jak poznam twojego człowieka?

– Powiedz mi, żeby pokazał klucz.

– Jaki klucz?

– Będiesz wiedziała, kiedy go zobaczysz. – Milknij na chwilę. – Nie stał się przypadkiem cud i nie zabrałaś ze sobą Arkanów?

– Zabrałam! – Sięgam dłonią do luźnego koka. – Mam je we włosach.

Lucien uśmiecha się ciepło. To prawdziwy, życzliwy uśmiech.

– Grzeczna dziewczynka. Dzięki niemu będę mógł cię namierzyć.

– Ale... – spoglądam w płomienie. – Jak mamy dostać się na dół?

Jego uśmiech blednie.

– Musisz użyć Augurii, by stłumić ogień.

– Co takiego? – Przez moment gapię się na niego oniemiała, z nadzieją, że to tylko kiepski dowcip. – Jak?

– Nie wiem. Ale wiem, że możesz to zrobić.

– Lucienie, nie do tego służą Augurie. To znaczy, nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć.

– Posłuchaj mnie. – Kładzie mi dłonie na ramionach. – Można to zrobić. To nie będzie pierwszy raz.

Ze zdumienia otwieram usta.

– Co? Kto to był?

– Teraz nie ma to najmniejszego znaczenia. Musisz to zrobić. W innym razie... – Przenosi wzrok ze mnie na Raven, a potem, z wyraźną niechęcią, na Asha. – W innym razie wszyscy jesteście martwi.

Podchodzę do pieca, czując, jak rozgrzane powietrze pieści moją twarz. Na linii włosów i pod pachami zbiera się pot. Czuję delikatny dotyk na nadgarstku.

– Poczekaj – prosi Ash. Patrzy to na mnie, to na Raven. – Te Augurie... To przez nie Raven jest chora?

Kiwam głową, przypominając sobie, jak Raven zwymiotowała krwią i zakończyła tym samym proszony lunch Diuszesy.

– Tobie też zaszkodzą?

Waham się.

– Prawdopodobnie. – Nie ma sensu kłamać. – Tak.

Ash wygląda jakby miał zamiar protestować, ale unoszę dłoń, by go uciszyć. Muszę pomyśleć.

Zastanawiam się, której Augurii powinnam użyć, Koloru, Kształtu czy Wzrostu. Na pewno nie Koloru, bo i jak zmiana barwy płomieni mogłaby nam pomóc? Kształtu? Powinnam jakoś zmienić konstrukcję ogromnego pieca? Nie, problemem są płomienie, a nie palenisko. Myślę o doktorze Blythcie, który zajmował się mną w pałacu i o wielkim dębie w ogrodach Diuszesy. Któregoś dnia doktor zabrał mnie do niego, by przetestować moją siłę. Nalegał, bym zmusiła wiekowe drzewo do rośnięcia. Pomyślałam, że nigdy mi się to nie uda, bo dąb był wielki i bardzo, bardzo stary. A jednak to zrobiłam.

Podchodzę jeszcze bliżej. Gorąco szczypie mnie w policzki. Nie mogę dotknąć płomieni, ale może wystarczy, że dotknę spalarni. Jej powierzchnia jest gorąca, ale nie parzy. Kładę dłoń na chropawym żelazie.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrępuj go.

Nie umiem wymyślić, do czego mogłabym przywiązać płomień. Wyobrażam sobie ciemną, chłodną i pustą przestrzeń, ale nic się nie dzieje. Nawet nie zaczęłam używać Augurii.

– Nie umiem... – Gardło mi się zaciska. – Nie wiem, co robić.

Lodowato zimna dłoń wsuwa się w moją. Tuż obok mnie staje Raven. Znowu wygląda prawie jak kiedyś.

– On musi umrzeć, Violet – mówi. Nie puszczając mnie, kładzie drugą rękę na piecu. – To nie Wzrost. To Śmierć.

Nagle widzę to tak, jakby istniało naprawdę. Płomienie stają się coraz słabsze i mniejsze, zupełnie jakby ktoś dusił je wielką poduszką. Czuję ich opór, ich walkę o życie, ale niewidzialna poduszka jest silniejsza, pod jej naporem ogień słabnie, aż wreszcie zostaje po nim tylko żałosna smużka dymu.

Z nosa kapie mi krew. Głowę mam ciężką, ale nie w ten okropny, bolesny sposób, a skóra w miejscach, w których dotykam Raven, jest gorąca.

– Zrobiliśmy to razem? – pytam.

Raven zgina się w pół, z ust tryska jej fontanna krwi i obryzguje piec. Szkarłatne strużki płyną też po brodzie Raven.

– Ash, daj mi moją koszulę – krzyczę. Jednym ramieniem obejmuję Raven w pasie i trzymam ją, gdy krztusząc się i kaszląc, wypluwa więcej krwi. Jedną dłoń wciąż trzymam na spalarni. Mam paskudne przeczucie, że gdy tylko ją zabiorę, ogień wybuchnie na nowo.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzam.

Odwracam się i widzę, że Ash patrzy na wygaszony piec z wyrazem kompletnego niedowierzania na twarzy.

– Ash! – powtarzam i wreszcie otrząsa się z osłupienia.

– Jak to...

– Daj mi koszulę.

– Krwawisz – zauważa, podbiegając z torbą.

– Nic mi nie jest, zresztą już przechodzi. Właściwie nawet przeszło. – Ocieram nos rękawem swetra. –

Nie było tak źle. Pomóż Raven.

– To bywa jeszcze gorzej? – Patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

Raven przestała kaszleć. Ash delikatnie ociera jej twarz.

– Tak dużo krwi – mamrocze Raven. – Zawsze tak dużo krwi.

– Musicie iść – przerywa nam Lucien. – Już.

Próbuje brzmieć rozkazująco, ale jego oczy są szeroko rozwarte, a głos nieco drżący.

– Widziałam cię wcześniej – odzywa się do niego Raven. – Ale nie pamiętam, czy jesteś prawdziwy...

– Przyciska grzbiety dłoni do oczu. – Dlaczego zawsze jest tak dużo krwi?

Teraz, kiedy ogień wygasł, widzę w głębi pieca prostokątny tunel wiodący w ciemność.

– Ash, weź Raven i idźcie – mówię. – Będę zaraz za wami.

– Nigdzie się bez ciebie nie ruszę – protestuje.

– Proszę. Boję się, że jeśli nie będę tego dotykać, to ogień znów zapłonie. Musisz sprowadzić Raven na dół. Upewnij się, że nic jej nie będzie. – Spoglądam na brzuch przyjaciółki, niewielkie wybrzuszenie ukryte pod swetrem.

Ash dotyka delikatnie mojego policzka, a potem wchodzi do spalarni i pomaga Raven.

– Ash się tobą zajmie – mówię do niej. Patrzy na niego, a potem na mnie, ale się nie odzywa.

Znikają w tunelu, który ochłodził się znacznie od chwili, w której znikły płomienie.

Obracam się do Luciena. Czuję kłębiącą się w piecu energię. Ogień jest jak serce, które tylko czeka, by ponownie zabić.

– Kiedy znów się spotkamy? – szepczę.

– Niedługo – odpowiada. – Obiecuję.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

Uśmiecha się.

– Przeżyj.

Chcę się zaśmiać, ale brzmi to bardziej jak czkawka.

– Dobrze.

Lucien całuje mnie w czoło.

– Idź.

Wspinam się do spalarni, nie odrywając od niej dłoni. Ślizgam się na gładkiej powierzchni i pomagam sobie, chwytając krawędź drugą ręką. Ostatni raz oglądam się na Luciena.

A potem zanurzam się w mrok.

Tunel jest stromy.

Nie wiem, dokąd zmierzam, ale zmierzam tam bardzo szybko. Ześlizguję się w zawrotnym tempie i podmuchy ciepłego powietrza targają moimi włosami. Koncentruję się na tym, by wciąż dotykać ściany. Pędzę, a pozornie gładka powierzchnia boleśnie ociera mi wnętrze dłoni. Kusi mnie, by zawołać Asha, ale obawiam się, że jeśli otworzę usta, zwymiotuję.

W którymś momencie jeszcze bardziej przyspieszam. Serca o mało nie wyskoczy mi z piersi.

Gdzieś przede mną widzę błysk światła.

A potem spadam.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że zawisłam w powietrzu. Gdy tylko moje palce odrywają się od żelaznego korytarza spalarni, wybucha w niej ogień i omiata mnie fala rozgrzanego powietrza.

Siła uderzenia o podłogę wydusza mi z płuc całe powietrze. Bolą mnie plecy, a każda komórka w ciele domaga się tlenu. Gdy wreszcie udaje mi się zaczerpnąć tchu, niemal zaczynam się dławić.

– Violet? – Ash obejmuje mnie od tyłu i przyciąga do siebie. W jednej dłoni trzyma latarkę. W padającym z niej świetle widzę stopy Raven.

Udaje mi się stłumić kaszel.

– Nic mi nie jest – chrypię.

Pomaga mi wstać, a potem obydwójce patrzymy w górę, na sporych rozmiarów ziejącą płomieniami dziurę w suficie.

– Lucien mówił, że schował mapę – przypominam sobie i wskazuję palcem torbę. Po chwili Ash wyciąga z niej złożoną kartkę papieru i podaje mi ją. Przyglądam się niebieskim liniom, które krzyżują się ze sobą i łączą, tworząc labirynt tuneli.

– Widziałam to wcześniej – mrużę. To właśnie ten schemat oglądał Lucien w zamkniętym pokoju w bibliotece Diuszesy. Tamtego dnia wyjawiał, że może pomóc mi uciec z Klejnotu. – Przez cały ten czas musiał wiedzieć... A może podejrzewał...

– Co takiego?

– Że możemy potrzebować alternatywnego planu ucieczki – wyjaśniam. – Ale skąd wiedział o spalarni? I o tym, że jej zawartość ląduje w tunelach?

– Nie sądzę, żeby w tym momencie to było najważniejsze – zauważa trzeźwo Ash.

– Nie lubię tego miejsca – oświadcza nagle Raven.

– Ja też nie. – Na mapce jest długa i zawiła czerwona linia prowadząca od punktu A do punktu B. Obracam papier, aż wreszcie stwierdzam, w którym miejscu jesteśmy. – Musimy iść... tędy. – Wskazuję wiodącą na lewo odnogę.

Ash oświetla tunel i ruszamy. Nie zachodzimy zbyt daleko, gdy coś z upiornym chrzęstem zapada się pod moją stopą.

– Co to było? – szepczę. Ash bierze mnie za łokieć i kieruje promień latarki w dół. Z podłogi wystaje jakaś dziwna klatka o zakrzywionych prętach, poczerniała i nadpalona. Nie mogę dostrzec drzwiczek.

– Dlaczego ktoś miałby wyrzucać tu klatkę? – pytam.

– Violet – głos Asha jest dziwnie łagodny. – Nie sądzę, że to klatka.

Nagle rozumiem już, na co patrzę. To żebra.

Podskakuję nerwowo, gdy Raven chwytą mnie za ramię.

– Wszyscy umarli – mówi.

– Nie my – odpowiadam. – My żyjemy.

Raven patrzy na mnie, jakby ta myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. Co zrobiła jej Hrabina Kamienia? Kim jest ta skorupa dziewczyny, którą kiedyś znałam? Nawet nie chcę myśleć, skąd wzięły się liczne blizny na jej głowie. Muszę zaprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Tylko to jest ważne.

Nagle przypominam sobie, że Raven jest w ciąży. Czy w ogóle istnieje dla niej jakieś bezpieczne miejsce?

Bierze mnie za rękę i odpycham od siebie czarne myśli. Tu i teraz jest żywa. Potrzebuje mnie tak, jak ja potrzebowałam jej w Bramie Południowej. Pamiętam dzień, w którym pomogła mi nauczyć się pierwszej Augurii. Pamiętam, jak nie zgodziła się mnie zostawić, póki nie nauczę się zmieniać tego idiotycznego klocka z niebieskiego na żółty. Nie opuszczę jej.

Ash stoi tuż obok mnie. We troje idziemy w głąb tunelu. Zaciskam zęby, starając się nie słyszeć trzasku kości pod stopami, ale i tak na każdy głośniejszy dźwięk nerwowo mrugam. Ciekawe, czy właśnie tutaj

trafiają surogatki po krótkim pobycie w zimnych metalowych grobowcach. Być może depczę właśnie surogatkę Pani Szklą. Może idę po szczątkach Dahlii.

Zdaje się, że koszmarny marsz trwa całą wieczność, wreszcie jednak udaje nam się dojść do miejsca, z którego rozchodzi się więcej tuneli. Powietrze jest ciężkie i cuchnie zepsutym jedzeniem, cieszę się jednak, czując pod stopami twarde gruntu.

– Którędy? – pyta Ash.

Drżącymi dłońmi rozkładam mapę i wnikliwie się jej przyglądam.

– Na lewo – mówię, unosząc wzrok i starając się przebić nim ciemność. Mocniej zaciskam palce na rękę Raven.

Ruszamy tunelem, brodząc niemal po kostki w czymś, co musi być najbrudniejszą wodą w całym Klejnocie. Światło latarki zdaje się odbijać od mętnej powierzchni. Nikt się nie odzywa. Raz na jakiś czas słychać popiskiwanie i skrobanie szczurów. Raz i drugi Ash oświetla mapę, byśmy mogli sprawdzić, czy idziemy właściwą drogą, niestety, na planie nie ma żadnych oznaczeń poza czerwoną linią, nie wiemy więc, czy lewo, w które skręciliśmy, to właściwe lewo i które skrzyżowanie jest które. Dwa razy kierujemy się nie tam, gdzie powinniśmy i musimy zawracać ze ślepego korytarza.

– Myślicie, że to tędy? – pytam, po szóstym sprawdzeniu mapy. Nie jestem pewna, gdzie jesteśmy.

– Nie wiem – odpowiada Ash. W mroku nie widzę wyrazu jego twarzy.

– Czujecie? – rzuca nagle Raven.

– Ścieki?

– Nie. – W głosie przyjaciółki słyszę znajomy cień zniecierpliwienia. – Światło.

Ze zdumioną miną spoglądam na Asha. A przynajmniej tam, gdzie, jak sądzę, stoi.

– Światło? – pytam niepewnie.

– Violet, nie mów mi, że tego nie czujesz – irytuje się Raven. – Jest takie czyste. Chodźcie.

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Jak można wyczuć światło węchem? Nie sprzeciwiam się, gdy pociąga mnie za rękę i zaczyna prowadzić jednym z tuneli. Po raz pierwszy od chwili, gdy się przebudziła, wykazuje entuzjazm. Ledwie zdążam rzucić okiem na plan, a Raven skręca w lewo i kilka sekund później stajemy naprzeciwko ściany.

– Oh, Raven – wzdycham. – Wybraliśmy złą drogę. Spodziewałam się tego, ale rozczarowanie i tak mnie ogarnia.

– Nie bądź śmieszna – fuka i po raz kolejny mam wrażenie, że moja stara przyjaciółka wróciła. – Teraz musimy iść na górę.

Ash kieruje latarkę na ścianę. W górę, w mrok biegną szczeble metalowej drabinki. Gdzieś wysoko ponad naszymi głowami, niczym samotna gwiazda, mruga nagle światło.

Nie czekając na nas, Raven zaczyna się wspinać.

– Czekaj! – wykrzykuję i chwytam ją za kostkę. – Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem – prycha. – Przecież chcecie się stąd wydostać, prawda?

– No tak, ale... Skąd wiesz, że to tu?

– Po prostu wiem i tyle.

Ash oświetla na chwilę swoją twarz. Usta ma zaciśnięte, a w oczach błyszczy determinacja. Kiwa głową.

Chowam mapę do torby i idę w ślady Raven. Za mną wchodzi Ash, wciąż trzymając zapaloną latarkę.

Metalowe szczeble zdają się ciągnąć bez końca. Zaczynają boleć mnie ramiona i mięśnie ud, a w żołądku burczy z głodu, zmuszam się jednak, by nie przystawać i nie myśleć, jak wysoko już się wspięłam. Z każdym kolejnym krokiem jestem dalej od ziemi.

Milczymy. Światło nad naszymi głowami staje się jaśniejsze. I większe. Wygląda jak kwiat ze

światlistymi płatkami wyrastającymi z okrągłego wnętrza.

Raven zatrzymuje się nagle i uderzam głową w podeszwę jej buta.

– Już – mówi.

– Co? – pytam, masując czubek głowy.

– Koniec.

Bardzo ostrożnie przechylam się w bok i, kurczowo trzymając się szczebli, spoglądam w górę. Ujście tunelu blokuje okrągły metalowy włącznik z kwiatowym prześwitem. Raven wsuwa palce w jeden ze światlistych płatków.

– Jak to otworzymy? – pyta.

Staram się oddychać powoli i spokojnie, bo myśl o tym, że miałabym teraz złączyć z powrotem do kanału ściekowego, jest trudna do wytrzymania.

– Musi być jakiś sposób – mruczę.

Raven wciąż obmacuje dziurę, gdy nagle cała płyta przechyliła się na lewo.

– Och! – Stopa Raven ześlizguje się ze szczebli. Łapię jej but jedną dłonią. Serce podjeżdża mi do gardła, a w skroniach łomocze krew.

Ktoś otworzył pokrywę i wpadające do tunelu jasne słoneczne światło w pierwszej chwili zupełnie mnie oślepia. Mrugam oczyma, starając się powstrzymać łzawienie, ale przez kilka sekund widzę tylko upiorną biel. Źrenice muszą mieć jak łebki od szpilek. Wreszcie w polu widzenia pojawia się jakaś sylwetka i pochyla się nad włącznikiem. Mija kolejnych kilka sekund, nim wreszcie ją rozpoznaję.

– Udało wam się – mówi z uśmiechem Garnet. – Witamy w Banku.

Co ty tutaj robisz? – pytam, gdy Garnet chwytą Raven za ręce i pomaga jej wyjść na zewnątrz.

– Zabieram was w bezpieczne miejsce. – Garnet ma na sobie uniform Gwardzisty, znalazł widocznie nową kurtkę. Wydostają się z dziury. Po chwili na powierzchnię wylania się również Ash.

Jesteśmy w jakiejś bocznej uliczce, ale ta w niczym nie przypomina upiornych okolic kostnicy. Po obydwu stronach wznoszą się budynki z bladoczerwonego kamienia. Jest dość chłodno, ale słońce stoi wysoko na czystym, błękitnym niebie. Jakies pięćdziesiąt stóp dalej uliczka wypada na tętniącą życiem ulicę. Widzę, jak przejeżdża nią elektryczny dyliżans.

– Myślałem, że umyłeś już od nas ręce – zauważa Ash.

Garnet wzrusza ramionami.

– Uznałem, że wciąż mogę się przydać. – Rzuca Raven wyzywające spojrzenie. – To oczywiście nie oznacza, że miałaś rację.

Raven marszczy brwi.

– Kim jesteś? – pyta skonfundowana.

– On nam pomaga – wyjaśniam. Nie umiem wyrazić, jak bardzo bym chciała umieć naprawić to, co w niej popsuli. Ta czarnowłosa dziewczyna wcale nie jest Raven. Raven pamiętałaby Garneta.

– Włażcie – komenderuje Garnet, wskazując wnękę w ścianie jednego z budynków. Stoi tam kilka pustych pojemników na śmieci. – Musicie znów się przebrać.

Obok metalowych koszy leży wielka płócienna torba. Rozpinam ją i wyciągam ze środka dwie suknie z brązowego materiału. Podaję jedną z nich Raven, której oczy znów są zupełnie puste. Zaciska w dłoniach materiał i bezmyślnie wpatruje się w ścianę. Pospiesznie zmieniam ubranie i podchodzę do niej, by jej pomóc.

– Pora na lekarza? – pyta z przerażoną miną.

– Nie. Żadnych lekarzy – odpowiadam, odgarniając jej włosy z twarzy. – Zobacz, musisz to na siebie włożyć.

Ash zamienia sweter na koszulę z kołnierzykiem, tweedową marynarkę i czapkę z daszkiem, która nie do końca ukrywa siniec na jego policzku. Na szczęście oko Asha nie jest zbyt opuchnięte. Krew spłynęła w dół i utworzyła widowiskowy, sinoczarny siniec nad kością policzkową.

– Weź je – mówi Garnet, podając mu naręczne gazet. Ash umieszcza pakunek na ramieniu i ukrywa za nim twarz. Świetny pomysł, może uchodzić za pierwszego lepszego gazeciara.

– Nie możemy iść wszyscy razem. Zgłosiłem się na ochotnika do jednej z ekip szukających go w Banku – wyjaśnia, wskazując brodą Asha. – Tylko tak mogłem się z wami spotkać. Matka prawie umarła z szoku.

– Wiedzą, jak uciekłem?

– Cokolwiek Carnelian podała Gwardzistom, wypaliło im w pamięci piękną dziurę. Nie przypominają sobie nawet, jak zamknęli cię w celi. – Garnet uśmiecha się złośliwie. – A wiecie, że ona jest w sumie całkiem inteligentna? Gdyby była czystej krwi, zostałaby wspaniałą Diuszesą Jeziora.

– Świetnie – rzucam, życząc sobie w duchu porzucić temat Carnelian na rzecz bardziej palących spraw. – Dokąd mamy iść?

– Niezbyt daleko stąd. Mam tylko adres, nie wiem, z kim macie się spotkać, ani co będzie później.

– Wydaje mi się, że mamy w końcu wylądować na Farmie.

Tak mówił Lucien. Że zabierze mnie w bezpieczne miejsce, a Farma, czwarty i największy krąg Samotnego Miasta, jest najbezpieczniejsza. Niestety, w tej chwili mam wrażenie, że równie dobrze mogłaby być na innej planecie.

– Nie wiem, gdzie mieliście wylądować – sarka Garnet. – Myślisz, że Lucien o wszystkim mi mówi? Dostałem adres, więc możecie z niego skorzystać albo kombinować na własną rękę. Do tej pory zdążyłaś się już chyba zorientować, że ten gość ma obsesję na punkcie tajemnic.

– Taa, wiem – mruczę pod nosem.

– Pójdę pierwszy. Za mną niech idzie towarzysz.

– On ma na imię Ash – przypominam.

Garnet mnie ignoruje.

– Potem wy dwie. O rany, załóżcie kapelusze! – rozkazuje. Przetrzęsam torbę i wyciągam zeń dwa białe, obszyte koronką czepki.

Garnet rusza w dół ulicy, ale Ash chwyta go za ramię.

– Poczekaj. W którym kwartale jesteście?

– We wschodnim. Niedaleko granicy z południowym.

Ash mamrocze pod nosem wiązaną przekleństw.

– Co się stało? – pytam.

– Niedaleko jest moja Sztuba Towarzyszy – wyjaśnia. – Ktoś może mnie rozpoznać.

Sztuba Towarzyszy to coś w rodzaju Magazynu, miejsce, gdzie szkolono Asha w sztuce spełniania zachcianek młodych dam z Klejnotu.

– Nikt cię nie rozpozna – przekonuje Garnet. – Masz twarz jak kawał mięcha. No cóż, przynajmniej wiesz, gdzie jesteś. Idźcie na ulicę Plentham 46 na 22, zapamiętajcie to na wypadek, gdybyśmy zostali rozdzieleni. Tam macie trafić.

Wyłazimy z wnęki i, trzymając się cienia, ruszamy uliczką. Po kilkunastu krokach Garnet zatrzymuje nas uniesieniem ręki.

– Poczekaj pięć sekund – przykazuje Ashowi. – Potem ruszaj za mną. Potem wy czekacie pięć sekund i idziecie za nim. Jasne?

Przytakuję. Garnet wychodzi na ulicę, skręca w prawo i znika nam z oczu. Liczę po cichu do pięciu, ale wymawiam właśnie „trzy”, gdy nagle Ash obejmuje mnie w talii i składa na moich wargach pocałunek. Zaskakuje mnie to, ale i dodaje odwagi.

Nim zdążę się odezwać, znika.

Znów zaczynam liczyć.

– On cię pocałował – zauważa Raven.

– Tak. Chodź. Trzymaj się blisko mnie, dobrze?

Raven uśmiecha się, jakby usłyszała coś zabawnego.

– A co innego mogłabym zrobić?

Biorę głęboki oddech i wychodzimy z zaułka na zalaną słońcem ulicę.

Przez prawie trzy miesiące żyłam w sercu Klejnotu i Bank nie powinien mnie onieśmielać. To drugi krąg miasta, zamieszkały przez kupców, miejsce bogate, ale nie tak ociekające przepychem jak Klejnot.

A jednak odzwyczaiłam się od ludzi. Otaczający mnie tłum jest przytłaczający. Na chwilę zapominam o tym, że powinnam iść za Ashem i Garnetem, zapominam, że powinnam nisko pochylić głowę i nie zwracać na siebie uwagi. Tylu ludzi... Są wszędzie. Wychodzą z czerwonych kamienic o wąskich frontonach, przechadzają się po tętniących życiem chodnikach. Wielu kobietom towarzyszą młode dziewczęta w brązowych sukniach, które idą kilka kroków za nimi, niosąc owinięte w bury papier pakunki i pudła z kapeluszeniami. Kilka prowadzi na smyczy smukłe psy o długiej, wypielęgowanej sierści.

Jedna z kobiet – na jej głowie pyszni się ekscentryczne nakrycie z żywych kwiatów, a w ramionach trzyma małą – przepycha się obok mnie.

– Naprawdę mam nadzieję, że szybko go złapią – mówi do koleżanki. – Wreszcie udało mi się dostać zaproszenie do Królewskiego Teatru. Przedstawienie jest w ten weekend. Jeśli Klejnot wciąż będzie zamknięty, nie będę mogła pójść!

Rozglądam się w poszukiwaniu Asha. Jest kilka kroków przed nami. Naręcze gazet podskakuje, gdy pewnym krokiem idzie ulicą. Wszędzie są Gwardziści, plamki czerwieni w wielobarwnym tłumie. Nie wiem, który z nich to Garnet, postanawiam więc trzymać się Asha. Nerwy mam napięte jak postronki. Wyczerpanie po długiej wspinaczce znikło, zastąpione przez adrenalinę. Jesteśmy na widoku! Idę szybko, trzymając ramiona sztywno wyprostowane i cały czas spodziewam się, że nagle poczuję uścisk na ramieniu i ktoś krzyknie: tu jest!

– Nie ciebie szukają, upominam się. Niestety, nijak nie poprawia mi to nastroju.

Podskakujące gazety przechodzą przez jezdnię i skręcają w lewo, w kolejną ulicę. Raven mało nie wpada pod elektryczny dyliżans. W ostatniej chwili łapię ją za rękę i ściągam z drogi. Kierowca wrzeszczy na nią, żeby patrzyła, gdzie łązi.

Wzdłuż ulicy, którą wybrał Ash, ciągną się sklepy. Na przeszklonych wystawach widać najróżniejsze, modne ostatnio towary, od wystawnych sukien po oprawione w złote ramy obrazy przedstawiające misy owoców i baletnice. Z aksamitnych poduszczek mrugają na nas diamenty. W oknie sklepu ze zwierzętami dokazują szczeniaki. W jednej z witryn stoi wielki czerwony szeslong, nad nim zaś wisi tabliczka z hasłem: WYPRZEDAŻ!

W każdym z okien, na każdych drzwiach i każdej latarni przyklejono list gończy z wizerunkiem Asha i wielkim, rzucającym się w oczy napisem: POSZUKIWANY. ZBIEG.

Mam wrażenie, jakbym znów zsuwała się w dół pieca, w płucach brakuje mi powietrza i wiruje w głowie. Na zdjęciu Ash wygląda na młodszego o rok czy dwa i ma włosy zaczesane na bok, a nie zmierzwiłone jak teraz. Jednak podobieństwo jest nadal uderzające.

Nagle cały nasz plan wydaje mi się naiwny i bezsensowny. Co się stanie, jeśli go złapią?

Serce niemal staje mi w piersi, gdy przychodzi mi do głowy, że Lucien mógł zaaranżować wszystko celowo. Żeby pozbyć się Asha, nie narażając przy tym mnie.

Po chwili przypominam sobie jednak, co Lucien mówił o kluczu. Nawet nie przyszło mi do głowy prosić Garneta o okazanie znaku. Może to właśnie on wciągnął nas w pułapkę? Może wcale nie pracuje dla Luciena?

– Wszystko w porządku, miłe panie?

Jeden z Gwardzistów zastępuje nam drogę. Jest mniej więcej w wieku Garneta, strasznie wysoki, z szopą kręconych ciemnych włosów. Obcina mnie wzrokiem w taki sposób, że nie pogardziłabym dodatkową warstwą materiału do okrycia. Albo dziesięcioma.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć, więc dygam. W Klejnocie to zawsze działało.

Gwardzista wydaje się zadowolony.

– Zauważyłem, że o mały włos nie przejechał was dyliżans. Musicie być bardziej ostrożne. – Jego spojrzenie przesuwają się na mój posiniaczony policzek. – Nie chcesz chyba zarobić kolejnego. – Wyciąga dłoń, jakby naprawdę zamierzał dotknąć mojej twarzy. Kulę się instynktownie. Mężczyzna parska śmiechem. – Nie skrzywdzę cię. Jestem tu, by was chronić. – Nadyma się lekko, wypowiadając te słowa. – Słyszałyście o towarzyszu, prawda?

Potakuję sztywno.

– Niebezpieczny gość. Ale nie martwcie się, niebawem go znajdziemy. – Mruga do mnie. – Mówił ci już ktoś, że masz absolutnie niesamowite oczy?

Wreszcie odzyskuję głos.

– Musimy wracać do domu – mówię. – Nasza pani na pewno zastanawia się, gdzie jesteśmy.

– Z chęcią was odeskortuję i...

– Nie, dziękuję. – Wymijam go pospiesznie, ciągnąc za sobą Raven, która mruczy coś pod nosem. Nie słucham jej i nie oglądam się za siebie. Przeciskamy się między ludźmi i tak bardzo koncentruję się na oddaleniu się od Gwardzisty, że dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że straciłam z oczu Asha. Zwalniam, rozglądając się za znajomą stertą gazet. Tłum opływa nas z każdej strony i wylewa się wprost na sporych rozmiarów plac, z którego odchodzi mnóstwo bocznych uliczek.

Na placu jest wielkie targowisko z mnóstwem stoisk. Na wielu piętrzą się wiklinowe kosze ze świeżymi warzywami, marchewką, dymką, żywozielonymi brokułami, ziemniakami, dyniami, burakami i kabaczkami. Od kramu piekarza bije w naszą stronę woń świeżo wypieczonego chleba. Brzuchaty mężczyzna głośno zachwala złocący się w szklanych baniakach cydr.

– Nie mogę go znaleźć – szepczę. – Raven, widzisz go gdzieś?

Nie możemy stać w miejscu, boję się, że Gwardzista poszedł za nami. Najlepiej, jeśli poszukam Asha, idąc. Przerazona, rozglądam się za Garnetem, ale na placu jest wielu Gwardzistów i wszyscy wyglądają podobnie. Spacerujemy powoli między stoiskami. Słyszę strzępy rozmów, większość dotyczy Asha. W głosach ludzi pobrzmiwiają szok i gniew, wyczuwam jednak, że mieszkańcy Banku w głębi duszy uwielbiają tę historię. Co za smakowita plotka, towarzysz i surogatka. Ciekawe, czy ktokolwiek z nich zna Asha osobiście. Czy wśród tych ludzi są jacyś jego przyjaciele, albo, co bardziej prawdopodobne, były klientki.

– No dawaj – mruczę do siebie pod nosem. – Gdzie jesteś?

Nagle Raven zatrzymuje się w pół kroku. Jej twarz blednie, a oczy znów przybierają ten dziwny wyraz, jakby widziała coś, czego nie widzą inni.

– Co się dzieje? – pytam.

– Ona go zna.

– Co takiego?

Raven bez słowa zrywa się do biegu.

– Raven! – krzyczę, próbując chwycić ją za ramię. Za późno. Pędzę za nią, roztrącając ludzi. Nie patrzę pod nogi i w pewnej chwili potykam się o kosz kapusty. Upadek odbiera mi dech. Ocieram sobie ręce do krwi. Wokół mnie toczą się liściaste zielone główki.

– Wszystko w porządku, panienko? – pyta właściciel stoiska. Nie zwracam na niego uwagi. Podnoszę się i ruszam przed siebie. Nie mogę jej zgubić! Nie mogę zgubić Raven. Co mam zrobić bez nich obydwójga?

Nagle czas jakby zwalnia. Dostrzegam Asha w odległym zakątku targu. Raven jest ledwie kilka kroków od niego. Nie mam pojęcia, skąd wiedziała, gdzie go szukać. Nagle patrzy w lewo. Podążam za jej spojrzeniem i widzę jakąś kobietę, która rozmawia z Gwardzistą, wskazując ręką w stronę Asha.

Mam wrażenie, jakby przez moją pierś przeleciał nagle podmuch lodowatego wiatru. Słowa Raven odbijają się echem w moim umyśle.

Ona go zna.

Raven dopada Asha dokładnie w tym samym momencie, w którym ponad placem rozbrzmiewa przeraźliwe wycie gwizdka.

– Tam jest! – krzyczy ktoś.

Na placu wybucha chaos.

Gwardziści są wszędzie. Wpadają między ludzi i wywracają stoiska. Zewsząd słychać gwizdki. Ktoś zbija mnie z nóg. Gdy udaje mi się wstać, nigdzie nie mogę dostrzec ani Asha, ani Raven. W morzu

czerwonych kurtek nie sposób rozpoznać Garneta.

Jestem sama.

Przepycham się w kierunku skraju placu, walcząc z ogłupiałym tłumem, który nie może się zdecydować, w którą stronę ma iść.

– Widziałaś go?

– Jest tutaj?!

– Złapali go?

– W samym środku Kupieckiej Przystani, nieprawdopodobnie!

Wreszcie udaje mi się wyminąć ostatnie trzy stoiska i znaleźć w wąskiej uliczce. Jestem tak spanikowana, że z impetem wpadam na jakąś drobną blondynkę.

– Och! – wykrzykuję, gdy obydwie lądujemy na ziemi. Który to już raz dzisiaj?

– Przepraszam, ja... – Dziewczyna mruga i wytrzeszcza oczy. – Violet? – wydusza z siebie.

Nieznajoma, na którą wpadłam, to Lily.

Gdy tylko się podnosimy, Lily zarzuca mi ręce na szyję.

Ostatni raz widziałam ją w pociągu, którym jechałyśmy na Aukcję. Pamiętam, jak śpiewała piosenkę z Bagna. Ma taki ładny, słodki głos. Była podekscytowana nowym życiem w roli surogatki.

– Co ty tutaj robisz? – pyta. – Dlaczego jesteś ubrana jak służąca? I co ci się stało w twarz?

Lily ma na sobie prosty szary płaszcz i uroczy fioletowy kapelusz z żółtą wstążką. Wygląda na zadbaną i zdrową. Najchętniej trzymałabym ją w ramionach całą wieczność. Wciąż nie wierzę, że to naprawdę ona.

Ale nie mogę tu zostać.

– Pomóż mi – proszę rwanym głosem.

– Oczywiście. Zgubiłaś się? Nie możesz znaleźć swojej mistrzyni? Och, Violet, myślałam, że nigdy więcej cię nie spotkam! Mieszkasz w Klejnocie, prawda? Na pewno! Wiem, że kupił cię ktoś z arystokracji. Pani zabrała cię na zakupy? O rany, a może widziałaś Raven? Ona też jest w Klejnocie, prawda? Jejku! A słyszałaś o towarzyszu?

Zapomniałam już, jaką gadułą jest Lily. Coś narasta mi w piersi, dziwne uczucie, jak mieszanina radości i irytacji.

– Lily – przerywam jej, gdy nabiera tchu. – Potrzebuję kryjówki.

Marszczy brwi.

– Przed czym chcesz się chować?

W tej samej chwili mija nas grupka Gwardzistów.

– Przeszukać boczne uliczki! – krzyczy jeden z nich.

Kurczę się w sobie. Najchętniej wtopiłabym się w ścianę.

– Przed nimi – szepcę.

Lily patrzy to na odbiegających Gwardzistów, to na mnie. Coś w jej twarzy się zmienia. Chwilę później bierze mnie za rękę.

– Chodź ze mną – mówi.

Spieszymy wąskimi uliczkami, które zlewają się ze sobą w smugę różu, szarości i ceglastej czerwieni. Mijamy drzewa z pięknie uformowanymi, nagimi teraz koronami i rozświetlone przeszklone okna. Im dalej od placu, tym domy stają mniejsze i prostsze. Wreszcie Lily zatrzymuje się przed bladożółtym budynkiem wciśniętym między dwa podobne, czerwony i szary. Dom ma tylko dwa piętra, ale na pomalowanych na niebieski kolor drzwiach wisi wieniec z ciemierników.

– Szybko – popędza mnie, wbiegając po schodach i wyciągając klucz. Wślizgujemy się do pomieszczenia, które wygląda jak skrzyżowanie holu z salonem – pełno tu niedobrych mebli, a wokół niskiego drewnianego stolika po lewej stoi kilka różnych foteli i krzesel. Naprzeciwko drzwi są schody.

– Tędy – mówi Lily, prowadząc mnie na górę. Na pierwszym piętrze jest prosty, wyłożony znoszonym czerwonym dywanem korytarz. Wszystkie drzwi są zamknięte. Lily wyciąga rękę w górę, co wydaje mi się bez sensu, póki nie dostrzegam zwieszającej się z sufitu liny. Nagle nad naszymi głowami otwiera się kłapa i na dół z cichym zgrzytem zjeżdża drabina.

– Na górę, już, już – komenderuje Lily. Wspinam się w mrok, spodziewając się, że pójdzie za mną, kiedy jednak się odwracam, Lily wciąga drabinę.

– Wróć nocą – mówi, a potem zamyka kłapę, nim mogę jej podziękować, zapytać o coś, albo jęknąć

rozpaczliwie, że za moment umrę z głodu.

Tak oto ląduję na strychu w zupełnie obcym domu w Banku.

Sama jak palec.

Jestem tak wyczerpana, że zasypiam pomimo bólu żołądka i dławiącego mnie lęku.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałam. Na pewno nie w ciągu ostatniej doby. Mój organizm rozpaczliwie potrzebuje snu, ale nawet kilka godzin odpoczynku nie sprawia, że czuję się lepiej.

Budzę się zupełnie zdezorientowana. Przez sekundę wydaje mi się, że jestem w lochu w Pałacu Jeziora. Dopiero po chwili dociera do mnie, że leżę na starej, zapadniętej sofie. Moje oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności i odzyskuję pamięć.

Na poddaszu cuchnie pleśnią. W jednej ze ścian, nisko nad podłogą, półokrągłe okienko wychodzi na ulicę. Po przyćmionym świetle poznaję, że jest już wieczór. Stryzek musi być swego rodzaju graciarnią. Pod ścianą leży kilka zrolowanych dywanów, a za kanapą, na której spałam, piętrzy się sterta nadjedzonych przez mole materiałów. W półmroku dostrzegam również zepsutą lampę, kilka pudeł z książkami i starymi fotografiami, pustką klatkę dla ptaków oraz rozrzucone bez ładu i składu pozółtkę gazety. Dach jest spadzisty, muszę więc kucnąć, by dojść do okna.

Zastygam w bezruchu, na dźwięk dochodzących z dołu głosów. Najpierw odzywa się kobieta, potem mężczyzna. Odruchowo zakrywam usta dłonią, jakbym chciała się upewnić, że na pewno się nie odezwę.

Nie rozróżniam słów. Para musi być na parterze. Głosy stają się coraz bardziej stłumione, aż wreszcie milkną. Pewnie ludzi przeszli do odleglejszej części domu.

Sofa skrzypi ostrzegająco, gdy na niej siadam. Trzęsę się. Boli mnie głowa i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z tego, że zaciskam zęby tak mocno, że aż zgrzytają.

Samotność staje się nagle trudna do zniesienia. Gdzie są Raven i Ash? Czy zostali złapani? Pusty żołądek zwija się w supeł, gdy przez głowę przebiega mi myśl o Ashu ponownie wtrąconym do lochu. O Ashu kładącym głowę pod ostrze gilotyny. O Raven odesłanej z powrotem do Domu Kamienia. Albo nawet gorzej – klęczącej tuż obok Asha w oczekiwaniu na śmierć.

Zaciskam powieki i siłą woli przepędzam obmierzłe obrazy. Nie wiem, co się wydarzyło, a myślenie o najgorszym na pewno w niczym nie pomoże. Przyciskam grzbiety dłoni do oczu tak długo, póki w ciemności nie rozbłysną tabuny iskier.

Moja potylica zaczyna wibrować.

Przez chwilę mam przerażające wrażenie, że zwariowałam ze stresu, ale potem przypominam sobie o Arkanach. Tłumię okrzyk i drżącymi rękoma usiłuję rozplątać kok, który upięłam kilka żyć wcześniej, w zamierzonych czasach, gdy Annabelle wciąż żyła, a ja mieszkałam w pałacu Diuszesy.

Szarpię mocniej i wreszcie udaje mi się wyrwać Arkana razem z pokaźną garścią włosów. Prawie nie czuję bólu. Kamerton zawisa w powietrzu kilka cali przed moją twarzą.

– Lucien? – szepczę.

Natychmiast odpowiada.

– Gdzie jesteś?

– Ja... Hmm... – Nie wiem, co odpowiedzieć, bo nie mam bladego pojęcia, gdzie jestem. –

W Banku.

– Co się stało? Dlaczego nie dotarłaś do kryjówki razem z resztą?

– Bo... Och, Lucienie, Raven i Ashowi nic nie jest? Są bezpieczni?

– Tak, tak, ale co się stało z tobą? – W głosie Luciena pojawia się zniecierpliwienie.

Raven i Ash są cali. Nic im nie grozi. Opadam z ulgą na sofę.

– Zostaliśmy rozdzieleni – wyjaśniam. – Wpadłam na przyjaciółkę, inną surogatkę. Kogoś, kogo znam z Magazynu. Chowam się u niej na poddaszu. – Mam ochotę wziąć Arkana w dłonie i przytulić je do

piersi, nie wiem jednak, czy nie zerwałabym w ten sposób połączenia albo nie zepsuła wyglądającego na dość delikatny przedmiotu.

– Co masz na myśli? Kto to jest?

– Dosłownie na nią wpadłam. Przewróciłyśmy się. Nawet nie wiedziałam, że tu mieszka. Ale...

Lucienie, ona jest dobrym człowiekiem. Pomogła mi. Możemy jej ufać.

– Violet, nie wiemy, komu można zaufać – stwierdza chłodno Lucien.

– No cóż, była moją przyjaciółką, a teraz mam tylko ją.

– Nie ma klucza. Zawsze musisz pytać o klucz.

– Garnet nie ma klucza.

– A pytałaś go o niego?

Przełykam ślinę.

– Nie.

Lucien przez długą chwilę milczy.

– Jak ma na nazwisko twoja przyjaciółka? – pyta wreszcie.

– Deering – odpowiadam. – Nazywa się Lily Deering.

– Lily Deering – powtarza powoli. – Dowiem się, gdzie jesteś – oświadcza kwaśno.

– Postępowaliśmy zgodnie z planem – przekonuję. – Ktoś rozpoznał Asha.

– Cieszę się, że nic ci nie jest. – Wyczuwam, że Lucien nie mówi tego, co chciał powiedzieć i po raz kolejny martwię się, że byłby szczęśliwszy, gdyby Asha aresztowano. Boję się, że tak to sobie zaplanował. – Niedługo porozmawiamy.

– Poczekaj! – Po tym wszystkim, co przeszłam, mam już dość tajemnic. Zasluguję na kilka odpowiedzi.

– Wypełniałam twoje polecenia, robiłam to, co chciałeś, ale nie dałeś mi żadnego konkretnego powodu, bym cię słuchała. Dlaczego to takie ważne? Dlaczego ja jestem ważna?

Lucien znów milczy.

– Podoba ci się, jak zarządzane jest to miasto, Violet? – pyta po dłuższej chwili.

– Masz na myśli arystokrację? Chyba wiesz, co o niej sędzę.

Wzdycha ciężko.

– Nie dostrzegasz szerszego obrazu. Nie chodzi tylko o surogatki. Chodzi o wszystkich ludzi, którzy żyją tylko po to, żeby zaspokajać potrzeby niewielkiej garstki wybrańców. Z każdym kolejnym rokiem jest gorzej. Masz moc, ogromną moc, z której wciąż jeszcze nie zdajesz sobie sprawy. Staram się pomóc ci zrozumieć, jak możesz wykorzystać ją w dobrym celu.

– Ale wciąż nie mówisz mi, czego chcesz, ani czym jest ta moc, ani w jaki sposób mogłabym komuś pomóc. Lucienie, pozwól mi coś zrobić.

– Naprawdę uważasz, że Augurie służą tylko temu, żeby arystokracja miała dzieci?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Nie lubię używać Augurii, nie zastanawiałam się więc, do czego można byłoby je wykorzystać. Ale przecież zgasłam ogień w spalarni. No, z pomocą Raven.

Lucien bierze moje milczenie za odpowiedź.

– No właśnie. Jesteś silniejsza niż ci się wydaje, ale to nie ja pokażę ci, co możesz zrobić z własną mocą.

– A kiedy już dowiem się, co mogę zrobić?

– Pomożesz mi. Pomożesz mi zburzyć te ściany, które nas od siebie oddzielają. Pomożesz mi ocalić nie tylko surogatki, ale wszystkich, którzy żyją pod butem szlachty. Dwórki. Służących. Pracowników fabryk, którzy umierają na czarne płuco, rolników, którzy żywią arystokrację, a sami nie dojadają. Dzieci umierające w Bagnie z powodu braku podstawowych artykułów medycznych. Nie tylko ja uważam, że

czas arystokracji dobiegł końca. Wszyscy byliśmy z nimi związani. Wszyscy z ich powodu cierpieliśmy. – Ostatnie słowa wypowiada tak miękko, że ledwie go słyszę. – Zasługujemy na wolność.

Myślę o słodkiej i łagodnej Annabelle. Znow widzę krwawą szczelinę w jej szyi. Przełykam ślinę, bo narasta we mnie szloch. Jaką zbrodnię popełniła? Żadną. Była moją przyjaciółką. Nie zasłużyła na śmierć. Nikt nie poniesie kary za zamordowanie jej. Diusza wciąż będzie żyć jak dawniej, jakby nic się nie stało.

Myślę również o Hazel. Jak długo jeszcze będzie mogła chodzić do szkoły? Kiedy podzieli los Ochre'a i pójdzie do pracy, by utrzymać rodzinę przy życiu?

Ile ma jeszcze czasu, nim zmuszą ją do badań krwi, żeby stwierdzić, czy nie jest surogatką? Na tę myśl żołądek podjeżdża mi do gardła. Wyobrażam sobie, jak odbierają ją rodzinie, jak, samotna i przestraszona, trafia do Magazynu. Oczyma duszy widzę, jak krwawi z nosa, ucząc się Augurii, jak stoi w wyznaczonym miejscu w Domu Aukcyjnym. Hazel nie może być surogatką.

Wciąż jednak nie wiem, w jaki sposób mogłabym komukolwiek pomóc. Nienawidzę tego, że bezradna tkwię zamknięta na dusznym poddaszu.

– Nie spodziewam się, żebyś wszystko teraz zrozumiała – mówi Lucien, jakby wyczuwał moje zwątpienie. – Trzymaj Arkana przy sobie. Ktoś po ciebie przyjdzie.

Otwieram usta, by się z nim sprzeczać, ale jestem zbyt zmęczona.

– Dobrze.

– I spróbuj się przespać, kochanie. Miałaś ciężki dzień. – Waha się przez chwilę. – Pamiętaj, nie ufaj nikomu, póki nie pokaże ci klucza.

Arkana nieruchomieje i opada w moje wyciągnięte dłonie. Mam więcej pytań niż wcześniej. Wzdycham cicho i wpinam kamerton we włosy.

Jestem pogrążona w półśnie, kiedy na strych zagląda Lily.

Jest bardzo późno. Tylko nikły poblask księżyca wpadający przez okienko i osrebrzający kawałeczek podłogi troszkę rozjaśnia mrok. Leżę na kanapie, niezdolna walczyć z ponurymi myślami o spalarni, umierającym ogniu, Annabelle i listach gończych, gdy z cichym skrzypnięciem uchyla się kłapa.

Siadam tak szybko, że zaczyna wirować mi w głowie. W otworze pojawia się Lily, wspina się na stryszek, niosąc drewnianą tacę z dwoma słoiczkami, szklanką wody, grubą białą świecą i, gdy to dostrzegam, zaczyna mi burczeć w brzuchu, nakrytym talerzem, od którego dobiega nikła woń jedzenia.

– Cześć – szepce Lily, stawiając tacę na podłodze.

Tak strasznie pragnę coś zjeść, że, sięgając do talerza, niemal spadam z kanapy. Lily przyniosła mi kilka plastrów pieczeni w gęstym ciemnym sosie i zimne już, gotowane ziemniaki. Z chęcią zignorowałabym sztucce i posłużyła się rękoma.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – pyta.

– Nie pamiętam – bełkoczę z ustami pełnymi ziemniaków.

Lily czeka w milczeniu, aż wyczyszczę talerz. Gdy ostatni kawałek mięsa znika, pozwalam sobie na jęk ukontentowania i opadam z powrotem na sofę.

– Dziękuję – mruczę, biorąc wielki łyk wody.

Lily odsuwa tacę.

– Przyniosłam to na zranienia – mówi, odkręcając słoiczki.

Środek, który wciera mi w siniec na policzku, przyjemnie chłodzi i przynosi natychmiastową ulgę. Lodowa maść. Pamiętam, jak Cora, dwórka Diuszesy, użyła jej, gdy jej pani uderzyła mnie po raz pierwszy. Zawartość drugiego słoiczka ma ostry, nieprzyjemny zapach. Czuję pieczenie, gdy Lily nakłada trochę na moją rozciętą wargę.

– I już – mówi. – Siniec powinien do jutra zniknąć.

Na powrót zakręca pojemniczki i przykrywa pusty talerz. Potem siada na piętach patrzy na mnie szeroko rozwartymi błękitnymi oczyma.

– No więc – rzuca tonem, który świetnie znam, bo słyszałam go tysiące razy: ilekroć przybył nowy numer „Dziennika Klejnotu”, kiedy podano numery na Aukcję albo gdy Magazyn obiegrała jakaś wyjątkowo smakowita plotka. – Co się stało?

Jestem pełna po uszy, wyczerpana i mam po dziurki w nosie kłamstw. Opowiadam jej o wszystkim. No, prawie o wszystkim. Nie zdradzam imienia Luciena, tylko daję Lily do zrozumienia, że ktoś z Klejnotu pomógł mi uciec. Nie wyjaśniam też, dokąd się udaję. Zresztą sama tego nie wiem. Mówię jej o Raven i o tym, jak oddałam jej przeznaczone dla mnie serum. Kiedy wyjaśniam, że kupiła mnie Diuszesa, Lily wydaje z siebie ściszony okrzyk.

– Dom Założycieli? Och, Violet!

Potem opowiadam jej o Ashu.

– Ciiii! – syczę, gdy otwiera usta do kolejnego okrzyku.

– To ty jesteś tą surogatką? – szepce Lily. – Ale... Ale wszyscy mówią, że on cię zgwałcił!

– To kłamstwo – stwierdzam stanowczo.

– Ale czy ty... To znaczy ty nie...

Kiwam głową.

Lily wzdycha i kładzie dłonie na sercu.

– To jak... O rany... Jak najbardziej zakazany romans w historii. Lepszy nawet niż romans Hierarchy i Wybranki!

Uśmiecham się, bo w ustach Lily wszystko wydaje się takie proste.

– Później dokładnie ci opowiem – obiecuję. Czuję się ociężała po jedzeniu i oczy same mi się zamykają. – Gdzie właściwie jesteśmy?

– Ulica Piekarzy numer trzydzieści cztery. Nie jest to najbardziej reprezentacyjna część Banku, ale i tak ładniej tu niż w Bagnie, prawda? Niektórzy nazywają ten teren Tanimi Ulicami. – Lily żałośnie pociąga nosem. – Uważam, że jest tu miło.

– A z kim mieszkasz? – pytam. – Są w porządku?

– Och, są cudowni – ożywia się Lily. – Reed i Calipher Haberdash. Calipher jest fantastyczną mistrzynią, nie jest już młodziutką, ma prawie trzydzieści lat. Razem z mężem od bardzo dawna oszczędzali na surogatkę. Nie może mieć własnych dzieci. – Jej twarz chmurnieje. – To znaczy nie tak, jak arystokratki nie mogą, po prostu coś jest nie tak z jej ciałem. Strasznie ją to smuci. – Spogląda na mnie. – Sprzedano mnie za dziewięć tysięcy siedemset diamentów. Możesz to sobie wyobrazić? A ile dano za ciebie?

Zakłopotana, poprawiam się na kanapie.

– Nie pamiętam – kłamię. Nie mam ochoty rozmawiać o cenie za moje ciało. Jakie ma znaczenie, czy ktoś kupił mnie za sześć milionów czy sześćset diamentów? Żadne. Jest coś ważniejszego, co muszę jej powiedzieć.

– Lily. Nie możesz zajść w ciążę.

Przez chwilę wygląda, jakbym ją uraziła, potem wybucha śmiechem.

– Oczywiście, że mogę! Co ty opowiadasz? Przecież po to tu jesteśmy.

– Nie, to znaczy... – chwytam ją za nadgarstek i mocno ściskam. – Nie pozwól im cię zapłodnić.

– Violet, robisz mi krzywdę – mówi cicho, starając się uwolnić rękę.

– Lily – zaczynam znowu, wściekła, że nie pomyślałam o tym wcześniej, że głód i wyczerpanie przesłoniły mi wszystko inne. – Jeśli zajdziesz w ciążę, umrzesz. To dlatego surogatki nigdy nie wracają do domów. Poród nas zabija.

Przez długą chwilę Lily patrzy mi w oczy.

– Nie – wydusza wreszcie i potrząsa głową. – To niemożliwe. Calipher nie zrobiłaby czegoś takiego.

Opiekuje się mną. Powiedziała, że chce, żebym po porodzie wciąż mieszkała z nimi.

– Kłamie – oświadczam ostro.

Lily nieruchomieje. Wiem, że ją zraniłam.

– Calipher by mnie nie okłamała – stwierdza cicho. – Nie skłamałaby o czymś tak ważnym.

– Ja... Przepraszam, ale to prawda. Widziałam kostnicę, do której trafiają ciała surogatek. Ktoś powiedział mi prawdę. Ktoś, kto wie.

Coś zmienia się w twarzy Lily. Niedowierzenie ustępuje miejsca determinacji i akceptacji.

– To już nie ma znaczenia – szepce. – Wczoraj byłam u lekarza.

– Ale wciąż jeszcze nie wiesz?

Łagodnym gestem zakłada mi za ucho kosmyk włosów.

– Wyglądasz na wyczerpaną – zauważa. – Prześpij się. Przyjdę jutro, gdy wszyscy wyjdą.

– Powiedz mi.

Przygryza wargę i kiwa głową.

Lily jest w ciąży. Lily nie żyje.

– Nie! – wystękuje. – Nie, tylko nie to...

– Ciiii – szepce. – Jest dobrze, Violet. Naprawdę.

– Nie! – Wykrzykuję i zniżam głos, nim ktoś na dole się obudzi. – Nie, nie jest dobrze, Lily. Nic nie jest dobrze. Nie powinno tak być. Nie możesz... Nie możesz...

Lily ujmuje moje dłonie i mocno je ściska.

– Posłuchaj mnie – prosi. – Chcę tego. Jestem szczęśliwa.

– Umrzesz!

– Nie wiesz tego na pewno. Ja... – Wskazuje drabinę i zejście na piętro. – Ja to kocham. Kocham ten dom i tych ludzi. Chcą tego dziecka. W przeciwieństwie do ciebie i Raven, ja również go chcę. Zawsze chciałam.

– Ale ono nie jest twoje – protestuję słabo.

Lily wzdycha.

– Nie – odpowiada. – Nie jest. Ale ci ludzie stali się moją rodziną. Przecież wiesz, Violet, wiesz, jak to u mnie wyglądało. Wiesz, jacy byli moi rodzice. – Ściska mnie mocniej. – Czyż nie mówiłaś mi, jak ważna jest wolność wyboru? Nie opowiadałaś, jak, mimo niebezpieczeństwa, wybrałaś miłość? Jak zaryzykowałaś, by pomóc Raven. A ja? Mnie nie wolno wybrać? Nie mogę być wolna tak samo jak ty? Sama podjąć decyzji? Możliwość dokonania wyboru jest wolnością, Violet.

Potrząsam głową.

– Wszystko przekreślasz. Nie możesz wybrać śmierci.

Na ustach Lily pojawia się znajomy uśmiech, taki sam, jak wtedy, gdy w Bramie Południowej szłyśmy do łóżek.

– Powinnaś się przespać. To był długi dzień.

Chcę wciąż z nią walczyć, chcę ją przekonać, że to, co robi, nie ma sensu, ale pełny brzuch i uczucie sytości sprawiają, że coraz trudniej mi unosić powieki. Układam się wygodniej na sofie i poprawiam wystrzępioną poduszkę.

– Nikomu nie powiesz, że tu jestem, prawda? – mruczę.

Lily całuje mnie w czoło tak samo, jak całowała mnie Annabelle, nim nie opuściłam jej po raz ostatni. Brakuje mi jej. Poczucie straty, ukryte za ostatnimi wydarzeniami, za piecem, kanałami i targiem, kąsa mnie jak jadowity wąż. Czuję dławienie w piersi i narastający gdzieś w głębi szloch.

– Nie – szepce łagodnie Lily. – Nikomu nie powiem. Dobrze znów cię widzieć.

Łzy są blisko, zbierają się za zaciśniętymi powiekami.

– Dobranoc, Lily – chrypię.

Podnosi tacę i wychodzi. Ciche stuknięcie klapy w podłogę mówi mi, że zostałam sama.

Myślę, że płaczę nawet przez sen.

Sporą część kolejnego dnia spędzam, powstrzymując się przed chodzeniem od ściany do ściany.

Trudno mi tkwić w bezruchu. Słyszę przytłumione, dochodzące z dołu głosy rozmawiających ze sobą ludzi. W pewnej chwili docierają do mnie również łagodne dźwięki skrzypiec.

Ach, więc pozwalają tu Lily grać. Miłe. Nieważne jednak, jak dobrze właściciele tego domu nie traktowałiby Lily i jak miłą parą by nie byli, skazali ją na śmierć.

Późnym popołudniem głosy milkną i w domu zapada cisza. Na palcach zakradam się do okna i wyglądam na zewnątrz. Ulicą idą mężczyzna z kobietą, on jest wysoki i odziany w długi płaszcz, ona ma na głowie biały kapelusz. Niedługo znikają mi z oczu. Ulica Piekarzy jest zupełnie pusta, jeśli nie liczyć młodego, potarganego mężczyzny wyprowadzającego na spacer sześć psów. Zwierzęta szczekają i biegają w kółko, a nieznajomy z rozpaczą stara się rozplątać smycze. Patrzą na niego, póki nie skręca za róg.

Wracam na kanapę i upewniam się, że Arkana nadal spoczywają bezpiecznie w moich włosach. Wracam pamięcią do wczorajszej rozmowy. O co chodziło Lucienowi z kluczem? I kto dokładnie ma mnie uświadomić, co za moc posiadam? Zniechęcona, przecieram oczy. Mam już dość tych aluzji i niedopowiedzeń, dość trwania w niepewności. Zaufałam mu, najwyższa więc pora, by i on zaufał mnie.

Podrywam się na dźwięk dzwonka do drzwi. Krew łomocze mi w skroniach. Wydaje mi się, że słyszę, jak Lily otwiera i mówi coś... Potem zapada cisza, która zdaje się ciągnąć i ciągnąć.

Nagle kłapa na strych otwiera się i zamieram, kurczowo trzymając w rękach poduszkę.

– 197? – Głos nie należy do Lily. Jest męski. Wzdrygam się, słysząc swój aukcyjny numer.

Podchodzę do włazu i spoglądam w dół. Stojący u stóp drabiny mężczyzna ma siwiejące włosy i okulary w złotych oprawkach. Przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Kim jesteś? – pytam.

– Przysłano mnie po ciebie.

Przypominają mi się słowa Luciena. *Pamiętaj o kluczu.*

– Pokaż mi klucz – żądam. Cieszę się, że w moim głosie nie słychać niepewności, choć nie mam pojęcia, czego się spodziewać.

Czuję się jeszcze bardziej niewyraźnie, gdy mężczyzna rozpina tweedową kurtkę i majstruje przy guzikach koszuli. Kiedy rozchyła kołnierzyk, widzę, że na skórze, tam, gdzie obojczyk przechodzi w ramię, ma niewielki tatuaż.

– Pracuję dla Sprzysiężenia Czarnego Klucza – wyjaśnia.

– Czym jest Czarny Klucz?

– Nie czym, a kim. Czarny Klucz to nasz przywódca.

Ach, jasne. Lucien nie powstrzymałby się przed wymyśleniem sobie pseudonimu.

– Chodź ze mną, 197 – ponagla mężczyzna. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

Zapina koszulę, a ja w tym czasie schodzę po drabinie.

– Nie nazywaj mnie tak więcej – mówię, gdy idziemy korytarzem. – Mam imię. Nazywam się Violet Lasting. – Dość mam bycia określaną przydomkami, które nie mają ze mną nic wspólnego. – A jak ty się nazywasz?

Mężczyzna zaciska usta.

– Możesz mi mówić Szewc.

– Od jak dawna... Och!

Skulona Lily leży u stóp schodów.

– Coś ty zrobił? – Podbiegam do niej, unoszę jej głowę i niemal mdleję z ulgi, czując jej oddech na policzku.

– Nic jej nie jest – mówi Szewc. – Obudzi się za kilka minut. Musimy iść.

– Co jej zrobiłeś? – powtarzam. – Pomogła mi.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Niezbędne środki ostrożności.

Wstaję gwałtownie. Mam wrażenie, że krew gotuje mi się w żyłach.

– To nie czas, by rozpaczać nad jedną dawką serum – oświadcza Szewc. – Mamy robotę. – Podnosi z ziemi leżącą obok drzwi, sporą, opakowaną w brązowy papier paczkę. – Weź to. Idź dwa kroki za mną i trzymaj głowę pochyloną.

– Poczekaj. – Jestem potwornie zmęczona słuchaniem poleceń. Nie znam tego człowieka, a on nie zna mnie. Nim za nim podążę, chcę zrobić jeszcze jedną rzecz. Klękam przy Lily i układam ją w nieco wygodniejszej pozycji. – Dziękuję – szepczę. Potem wstaję, biorę paczkę i patrzę Szewcowi prosto w oczy. – Dobrze. Chodźmy.

Pilnuję, by jak najlepiej wypełniać jego instrukcje i grzecznie trzymam się z tyłu. Jest chłodniej niż wczoraj. Zaciskam zęby, by nimi nie szczekać. Żałuję, że nie pożyczyłam od Lily jakiegoś płaszcza.

Przechodzimy przez Kupiecką Przystań; na placu wciąż widać ślady wczorajszych wydarzeń. Na ziemi walają się szczątki koszy i kilka zgniecionych główek kapusty. Na latarniach wiszą listy gończe, część podarta i poplamiona. Jakaś kobieta targuje się o cenę ziemniaków, ledwie zwracając uwagę na towarzyszące jej małe dziewczynki. Kiedy je mijamy, jedna z nich mówi:

– Wczoraj byłam surogatką! Daj mi dziś zagrać arystokratkę.

Zasycha mi w ustach. To tak się bawią dzieci w Banku?

Rozproszona przez kłócące się dziewczynki, niemal tracę z oczu Szewca, który skręcił za róg. Muszę podbiec, by go dogonić.

Ulica, którą teraz idziemy, jest szersza i ładniejsza niż ta, przy której mieszka Lily. Chyba rozumiem, dlaczego jej dzielnicę niektórzy nazywają Tanimi Ulicami. Och, pewnie, jakby cokolwiek w Banku było tanie... Tutaj domy nie tulą się do siebie. Jest między nimi przestrzeń, a ogródki oddzielone są żywopłotami albo kamiennymi murami w niczym nie przypominającymi tych, budowanych w Klejnocie. Tutejsze płoty nie są zwieńczone ostrymi kolcami, sprawiają wrażenie przyjaznych i są całkiem ładne. Wiele budynków ma trzy albo cztery kondygnacje, a także szerokie tarasy i piękne balkony. Tu i tam widać również miniaturowe wieżyczki, jakby właściciele chcieli upodobnić się do arystokratów.

Ludzie również wyglądają inaczej, bardziej wyrafinowanie i dostojnie. Mężczyźni noszą cylindry i eleganckie wierzchnie okrycia, niektórzy mają zakończone srebrnymi gałkami laski. Kobiety odziane są w wielobarwne jedwabne i aksamitne suknie, szyje otulają futrzanymi etolami, a na rękach mają rękawiczki z miękkiej skórki. Za nimi spieszą służące jak brązowe ruchliwe ogonki. Jedna z nich niesie klatkę z wielką zieloną papugą. Jej mistrzyni przystaje na widok Szewca.

– Właśnie szłam do twojego sklepu – mówi. – Potrzebuję nowych butów, muszą pasować do sukni, którą kupiłam na gałę w Magistracie.

– Oczywiście, pani Firestone – odpowiada mężczyzna. – Dostarczę tylko tę przesyłkę, a potem z przyjemnością się panią zajmę.

– Przyjdź do mojego domu – komenderuje kobieta. – To specjalne zamówienie. I nie podsyłaj mi swojego ucznia, bardzo proszę. Chłopak jest niezdarny.

Ramiona Szewca spinają się, ale mężczyzna kiwa głową.

– Jak sobie pani życzy.

Kobieta przechodzi obok nas. Służąca stara się dotrzymać jej kroku.

– Wydaje się naprawdę urocza – mamroczę pod nosem.

Szewc rzuca mi chłodne spojrzenie.

– Jest lepsza niż większość.

– Czy to dlatego pracujesz dla... – Gryzę się w język, nim wypowiadam imię Luciena. – Dla niego?

– Nie czas na pytania – ucina. Zaciskam palce na pudle tak mocno, aż bieleją mi knykcie. Nie cierpię tego słyszeć.

Mężczyzna rusza przed siebie. Nie mam innego wyjścia, idę więc za nim.

Wreszcie opuszczamy szeroką ulicę pięknych domów i zagłębiaamy się w labiryncie wąskich alejek. Mijamy teatr ze złotym szyldem głoszącym: *DŁUGI POWRÓT: NOWA SZTUKA FORRESTA VALE'A. OSTATNIE DWA PRZEDSTAWIENIA!* oraz restaurację z przeszklonym frontem i eleganckimi, nakrytymi białymi obrusami stołami.

Wchodzimy w niepozorną, brukowaną uliczkę, przy której stoją duże, kanciaste budynki o metalowych dachach i brudnych, zakratowanych oknach. Przed jednym z nich stoi wóz, z którego dwaj mężczyźni wyładowują wielkie poćcie mięsa pod czujnym nadzorem odzianego w poplamiony fartuch rzeźnika. Mężczyzna raz po raz spogląda na trzymaną w dłoniach podkładkę z jakimiś papierami.

– Cztery diamanty od funta więcej niż w zeszłym miesiącu – mamrocze do siebie. – I czemu niby mają służyć kolejne podatki?

Nagle orientuje się, że mówił głośno i z lękiem na twarzy spogląda na wyładowujących wóz mężczyźni. Zdaje się, że niczego nie usłyszeli, zajęci targaniem gigantycznej porcji żeber.

Szewc zatrzymuje się przed niewielkim magazynem. Budynek pokryty jest łuszczącą się zieloną farbą, a do jego wnętrza prowadzą przesuwane metalowe drzwi.

– Tu się rozstajemy – mówi, biorąc ode mnie paczkę. – Mam nadzieję, że Czarny Klucz się co do ciebie nie myli.

– Dlaczego to robisz? – wyrzucam z siebie. – Dlaczego mi pomagasz? Dlaczego pomagasz... jemu?

Szewc spogląda gdzieś w bok.

– Zabrali mojego syna – odpowiada głucho. – Bo był wysoki i silny. Lubił robić buty, ale to ich nie obchodziło. Chcieli zrobić z niego Gwardzistę. Teraz należy do nich. – Obraca głowę i patrzy mi w twarz. W jego oczach widzę zapiekły gniew, stratę i desperacką potrzebę nadziei. – Ich czas się skończył.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, jak Gwardziści zostają Gwardzistami. Chyba wyobrażałam sobie, że zgłaszają się sami. Och, tak, jakby cokolwiek w tym mieście było dobrowolne.

– Przykro mi – mówię.

Krzywi się z niechęcią.

– Niepotrzebnie. Nie potrzebuję twojego współczucia, chcę odzyskać syna. – Odsuwa drzwi. – Ktoś po ciebie przyjdzie. Nie ufaj mu, póki nie zobaczysz klucza.

Odwraca się i bez słowa rusza tam, skąd przyszliśmy.

– Violet? – głos Raven odrywa mnie od podziwiania pleców Szewca. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi.

Raven rzuca mi się w ramiona. Obejmuję ją, czując pod palcami ostre krawędzie wystających łopatek. Jej zaokrąglony lekko brzuch przyciska się do mojego.

– Jesteś prawdziwa? Najprawdziwsza? – szepce mi Raven do ucha.

– Tak, najprawdziwsza – odpowiadam cicho.

Odrywa się ode mnie.

– Powiedział, że jesteś prawdziwa, że byłeś przy mnie i że wrócisz, ale nie chciałam uwierzyć. Tak wiele razy mnie okłamano... Nie chcę być okłamywana. Nigdy więcej.

Spoglądam ponad jej ramieniem na Asha. Jest cały i zdrowy i uśmiecha się do mnie. Nie chcę zostawiać Raven, wyciągam więc do niego rękę. Ujmuje ją.

– Udało ci się – mówi z wyraźną ulgą.

– Wciąż nie ufasz Lucienowi? – pytam cierpko.

– Że cię uratuje? Absolutnie. Że przyprowadzi cię do mnie? W żadnym razie.

– Kim jest Lucien? – chce wiedzieć Raven. Marszczy brwi, jakby bardzo starała się skoncentrować. –

On był... Czy on... – Patrzy na Asha.

– Jestem Ash – przypomina jej łagodnie Ash. Mam niepokojące wrażenie, że mówi to nie pierwszy raz.

– Lucien jest dwórką. Spotkałaś go w... – mam zamiar powiedzieć „w kostnicy”, ale nie wiem, czy używanie tego słowa to najlepszy pomysł. – W pokoju z ogniem – kończę.

Raven mruga.

– Tak, pamiętam ogień. Razem go zgasiliśmy. – Robi się blada jak ściana. – Ale on i tak spłonął. Spłonął żywcem. – Ukrywa twarz w dłoniach. – Nie, nie, nie...

– Raven – mruczę, wyciągając do niej rękę. Odskakuje, cofa się pod ścianę i zwija się w kłębek. Obejmuje kolana rękoma i, kiwając się, powtarza to, co wcześniej mówiła w kostnicy. Teraz rozróżniam słowa.

– Jestem Raven Stirling – mamrocze. – Siedzę pod ścianą. Jestem prawdziwa. I jestem silna. – Unosi dłoń i knykiem kciuka trzy razy uderza się w czoło. Potem powtarza mantrę.

Ruszam w jej stronę, ale Ash obejmuje mnie w pasie.

– Nie martw się – mówi cicho. – Czasem tak robi. Wtedy lepiej ją na chwilę zostawić.

Niemal topnieję w jego ramionach. Obracam się, by mu się przyjrzeć i przesuwam palcami po skórze policzka, na której niedawno widniał paskudny siniec.

– Garnet mnie poskładał – wyjaśnia Ash i dotyka opuszką kciuka mojej wargi. – Wygląda na to, że tobie również ktoś pomógł.

Kiwam głową.

– Gdzie się podział Garnet?

Ash wzrusza ramionami.

– Pewnie wrócił do Klejnotu. I tak jestem zaskoczony, że się tu pojawił.

– Jak udało ci się uciec? Było tak wielu Gwardzistów.

Ash spogląda na Raven.

– Ona nas ocaliła. Nie wiem, w jaki sposób, chyba tak samo, jak wtedy, w kanałach, gdy znalazła wyjście. Ona... Ona czasem jakby wiedziała. Jakby wyczuwała. Gwardzista jeszcze nie skończył gwizdać, a ona już ciągnęła mnie w boczną alejkę. Było tam zejście na dół, do tunelu, który łączył piwnice kilkunastu sklepów. Straszny śmietnik, prawdę mówiąc, ale Raven świetnie wiedziała, dokąd iść, kiedy się zatrzymać i gdzie się ukryć. Zostaliśmy tam do zmroku. Potem znalazła wyjście ledwie pięćdziesiąt jardów od placu targowego. Jakoś udało mi się trafić pod adres, który podał nam Garnet. Moja znajomość okolic jednak wyszła nam na dobre. – Uśmiecha się. – Garnet był zdumiony, że nam się udało. Nie, żeby w jakikolwiek sposób nam pomógł.

– Co ta baba jej zrobiła? – burczę pod nosem. Oczyma wyobraźni widzę Hrabinę Kamienia z jej spasionymi ramionami i okrutnymi oczyma.

– Nie wiem, ale cokolwiek to było... – Ash zaciska zęby. – Czasem Raven jest gdzie indziej, a raczej tak się jej wydaje. Spotkała ją krzywda. Często wspomina kogoś imieniem Crow, to chyba jej brat, i on płonie. Mówi też, że wykłuto ci oczy, Violet. Nie mogę tego słuchać. Poza tym obdzierają ze skóry jej

matkę. – Wzdryga się. – Dla niej to jest rzeczywiste.

Nie wiem, co dokładnie planuje Lucien, ale mam zamiar upewnić się, że Hrabina Kamienia zapłaci za swoje zbrodnie.

Metalowe drzwi odsuwają się nagle i zamieram w bezruchu, widząc zagląającego do środka Gwardzistę. Na szczęście to tylko Garnet.

– Och, świetnie, że jesteś – mówi, zamykając drzwi. – Mamy problem.

– No to rzeczywiście miła odmiana – sarka pod nosem Ash.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nic. – Garnet podaje mi manierkę. Upijam łąpczywie kilka łyków i przekazuję ją Ashowi. – Pociągi nadal odwołane. Gwardziści przeszukują Bank metr po metrze. Mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu Lucien nie wie, co robić.

– Więc co? Mamy tu zostać? Przeczekać?

Garnet wzrusza ramionami.

– Innej opcji nie widzę.

– Ale tu nie jest bezpiecznie. Jeśli Gwardziści naprawdę przykładają się do poszukiwań, to wreszcie nas znajdą.

– Nie jestem Lucieniem – zauważa Garnet. – Nie mam planów awaryjnych.

– To co tutaj robisz? – rzucam gniewnie podniesionym głosem. – Jeśli nie chcesz nam pomóc, to zabieraj się stąd.

Nie miałam zamiaru krzyczeć i przelewać na Garneta mojej frustracji. Ale chciałabym już ruszać tam, gdzie mamy się znaleźć. Najlepiej natychmiast. Błada twarz Garneta oblewa się rumieńcem.

– Myślisz, że nie chcę wam pomóc? – warczy. – Jak myślisz, co robiłem przez cały ten czas? Ratowałem cię. Ach, no tak, ratowałem też twojego chłopaka. Okłamywałem matkę. Tańczyłem wokół Carnelian. Na litość Hierarchy, pozwoliłem, żeby jeden z ludzi Luciena mnie wytatuował. – Gwałtownym gestem obnaża pierś i pokazuje nam tatuaż, podobny do tego, który miał Szewc. Klucz czerni się tuż nad jego sercem.

Zdumiona, gwałtownie wciągam powietrze.

– A co, jeśli zobaczy go twoja matka?

Garnet wygląda na zmieszanego.

– Nie zobaczy. A nawet jeśli przypadkiem tak się stanie, uzna, że przegrałem jakiś kretyński zakład albo coś w tym stylu. Nie weźmie tego na poważnie.

– Myliłam się co do ciebie – mówi nagle Raven. Nie spostrzegłam, że nam się przysłuchuje. Wbija w Garneta spojrzenie ciemnych jak studnie oczu. – Nie jesteś tchórzem. – Jej spojrzenie znów staje się szkliste, jakby była w dwóch miejscach jednocześnie. Tak, chyba o to chodzi. – Nigdy nie miałeś prawdziwych przyjaciół. Potrzebujesz po prostu czegoś, o co mógłbyś walczyć.

Chyba po raz pierwszy w życiu Garnet czuje się zakłopotany komplementem.

– Jasne – mruczy. – Jak sobie chcesz.

Raven wciąż na niego patrzy.

– Jeśli przyznasz się, że potrzebujesz ludzi, możesz ich stracić. – Znów wydaje się być skoncentrowana na rzeczywistości. – Ale to pragnienie może ocalić ci życie.

– Musimy się dostać na Farmę – przypominam. Skoro do tej pory ufałam Lucienowi, powinnam też ufać jego słowom, że Farma będzie bezpieczna. – Wszyscy jesteśmy częścią tej grupy... – Przypominam sobie słowa Szewca. – Sprzysiężenia Czarnego Klucza, tak? Choć trzy osoby nie mają tatuaży.

– Przepraszam, co takiego? – wtrąca się Ash.

– Później wyjaśnię, ja albo Lucien, on chyba powinien zrobić to lepiej. W każdym razie musimy

pomyśleć. Nie możemy tu zostać.

– Macie jakieś propozycje? – pyta Garnet. – Zamieniam się w słuch.

– Tak właściwie – oświadcza Ash, podchodząc bliżej – to chyba jedną mam.

Znam ten Krąg – przypomina nam Ash. – Na pewno lepiej niż ktokolwiek z was. I myślę, iż jest pewien pociąg, którego moglibyśmy bezpiecznie użyć.

– Gdzie? – dopytuję. – Wszystkie pociągi zostały zawieszane.

– U Madame Curio. I ten jeden pociąg jeździ zawsze.

Imię brzmi dziwnie znajomo. Na pewno zna je Garnet, bo na wzmiankę o Madame otwiera szeroko usta.

– Odbiło ci? – pyta z niedowierzaniem.

– Kim jest Madame Curio? – chcę wiedzieć.

– Kim i czym. Madame Curio to moja Sztuba Towarzyszy, no wiesz, nazywa się Sztuba Towarzyszy Madame Curio, w skrócie Madame Curio. – wyjaśnia. – A ona jest... no cóż, była, moją panią. Mówiłem ci kiedyś o niej, pamiętasz? To ona mnie w to wciągnęła.

Elementy układanki wskakują na swoje miejsca. Racja, to Madame Curio spotkała Asha, gdy zabrał swoją siostrę do bezpłatnej kliniki. Cinder miała czarne płuco i dlatego Ash został towarzyszem. *Na pewno doprowadzasz dziewczęta do szafu.* To były słowa Madame Curio.

– A co ona... eee... Czym się zajmuje?

Garnet prychnął z niesmakiem.

– Prowadzi sztabę – wyjaśnia Ash. – Nadzoruje towarzyszy, dba o ich edukację oraz trening i pośredniczy w kontaktach z klientami.

Po szyi Asha pełźnie blad różowy rumieniec. Mam wrażenie, że nie mówi mi wszystkiego.

– W każdej sztabie jest prywatna stacja kolejowa – kontynuuje, zmieniając jednocześnie temat. – Te pociągi nie są monitorowane, tak jak publiczne. Jeśli zdołamy wsiąść do pociągu, powinniśmy dotrzeć na Farmę.

– Momencik. Czyli mamy wpaść do twojej dawnej sztaby i zapytać grzecznie, czy możemy skorzystać z pociągu? – pyta Garnet. – O rany, myślałem, że kształcą was w tej szkole. To najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałem.

Ash rzuca mu ostre spojrzenie.

– Na teren sztaby można się dostać nie tylko frontowym wejściem.

– Ale, Ash... – zauważam niepewnie – naprawdę w pociągu nie będzie żadnych Gwardzistów?

– Pewnie będą. Ale to nie ma znaczenia.

– A dlaczego? – wcina się Garnet.

– Bo nie wszyscy, którzy pracują w sztabie, są towarzyszami. Wielu z nich nie znalazło się tam z własnej woli.

– Co masz na myśli? Że zostali porwani? – dopytuję. – Dlaczego?

– Chłopców sprowadza się tam do walki wręcz, fechtunku, walki na miecze, prac fizycznych, co tylko przyjdzie do głowy Madame. – Wizja Asha wymachującego mieczem jest co najmniej dziwna. – Dziewczęta zaś... – Ash odkaśluje. Rumieniec dopełził już do jego policzków. – Dziewczęta są potrzebne do ćwiczeń. – Wbijają oczy w Garneta, wyraźnie unikając mojego wzroku.

Garnet drwiąco unosi jedną brew.

– Moment, czyli...

Ash nie daje mi dokończyć.

– W pociągach są sekretne kryjówki. W ten sposób przemycają ludzi. Z nich właśnie możemy skorzystać.

Przez długą chwilę milczymy. Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich porwanych dziewczynach, siłą sprowadzonych do szuby towarzyszy i przetrzymywanych tam wbrew ich woli. Sama doświadczyłam czegoś podobnego.

– No więc, jak zamierzacie się dostać do tego pociągu? – Garnet pierwszy przerywa ciszę.

– Musimy poczekać do zmroku – mówi Ash. – I przydadzą nam się nowe ubrania.

Ash daje Garnetowi całą listę rzeczy do załatwienia.

Możemy tylko czekać. Siadam obok Raven, która wciąż tkwi pod ścianą, a Ash lokuje się na drewnianej skrzynce nieopodal drzwi i pogrąża się w myślach.

– Jak się czujesz? – pytam Raven.

Przyjaciółka spogląda na mnie z łagodną miną.

– Już nie jestem w tamtym pałacu. Od bardzo dawna tak dobrze się nie czułam. – Mruga. – Podziękowałam ci?

– Za co?

– Za uratowanie mi życia.

Uśmiecham się.

– Nie ma za co.

Splata swoje palce z moimi. Mam wrażenie, że ściskam same kości, boję się, że jeśli nacisnę mocniej, połamię się jak suche patyczki.

– Dziękuję – szepce. Po chwili spogląda na swój brzuch. – Czasem o tym zapominam – mówi, kładąc dłoń na ledwie co widocznym pod suknią wybrzuszeniu. – Kiedyś cały czas bolało.

– Kiedy to się stało? – pytam.

Raven zamyka oczy.

– Ja... Nie wiem. Emile, moja dwórka, zabrał mnie któregoś popołudnia na spacer po ogrodzie. Chciałam sprawdzić, czy nie przysłałaś mi czegoś, ale nic nie było. Potem poszłam do doktora... – Po policzkach spływają jej łzy. – Sprawili, że rosło tak szybko. Pożerało mnie od środka. Bolały mnie kości, kurczyłam się w sobie, a ono rosło, rosło i rosło i nie chciało przestać.

To musiało się stać trzy do czterech tygodni wcześniej.

– Jakim cudem? – szepcę z zgrozą.

Otwiera oczy.

– Użyli kiedyś na tobie pistoletu ze stymulantem?

Kiwam głową.

– Raz.

Stymulant wynaleziono po to, aby pobudzać Augurie wbrew woli surogatki. Wciąż pamiętam tę niewyobrażalną agonię, gdy doktor użył go na mnie. Pamiętam nieporównywalny z niczym, oślepiający ból i grube zielone pędy sunące po szpitalnym łóżku i wspinające się na ścianę. Echo słów lekarza odbija się echem w mojej głowie. *Pistolet ze stymulantem wzmacnia twoje możliwości, ale osłabia cię fizycznie. Nadużywanie go daje mnóstwo paskudnych efektów ubocznych.*

Uśmiech Raven przypomina pęknięcie w twarzy.

– Doktor ciągle go używał, zwłaszcza po tym, jak zaszłam w ciążę. Trzy, cztery razy dziennie. Hrabiny nie obchodziło, ile krwi zwymiotuję albo jak głośno będę krzyczeć. Chciała rezultatów. – Krzywi się na jakieś wspomnienie. – Dostała, czego chciała. Lekarz powiedział... Powiedział, że jestem dwanaście tygodni naprzód... A może czternaście? Nie pamiętam, nie chciałam tego słuchać.

– Więc próbowała zmusić cię, żebyś urodziła dziecko wcześniej – mówię. – Tego samego chciała ode

mnie Diuszesa.

– Hrabina kocha eksperymenty – oznajmia zimno Raven. – Chciała zobaczyć, gdzie leżą granice możliwości. Chciała pociągać za sznurki, mieć absolutną kontrolę nad moim umysłem, pamięcią, Auguriami, nad wszystkim.

– Czy to stąd... – Przełykam ślinę. – Stąd masz te blizny?

Raven przesuwa dłonią po głowie.

– Uwielbiała mnie ciąć, uwielbiała we mnie grzebać. Chciała, żebym widziała rzeczy, których nie ma.

– W jej oczach pojawia się tak dobrze znany mi, złośliwy błysk. – Ale nie wiedziała o szeptach. Któregoś dnia próbowali czegoś nowego. Doktor powiedział, że to będzie „ciekawny eksperyment”. Nacięli mnie w innym miejscu i uznali, że nie ma żadnych efektów. Właśnie wtedy zaczęłam słyszeć głosy.

Waham się, przyglądając się jej. Nie wiem, czy jeśli zacznę naciskać, nie sprawię jej bólu.

– Co mówią te głosy?

– Różne rzeczy. Słyszę, kiedy ktoś się boi, albo gdy udaje sympatię do kogoś, choć naprawdę go nienawidzi. Wiem, kiedy ktoś kłamie, albo w kimś się kocha. Szepty mi to mówią. Przychodzą i odchodzą. Hrabina ma mroczny umysł, czarne myśli. O swojej matce. O swoim mężu. O surogatkach. – Raven pociera oczy.

– Tak jakby Hrabina niechcący dała ci dodatkowy zmysł albo coś w tym rodzaju – zauważam.

– Wiedziałam, że ten blondyn wróci – ciągnie. – Lubi nas. Czuje się z nami związany. A... – Spogląda na Asha i marszczy brwi. – Ash – mówi wreszcie. – On się nazywa Ash?

Potakuję.

– On nienawidzi siebie samego.

Czuję gulę w gardle. Nie wiem niczego o życiu Asha w Sztubie Towarzyszy. Nigdy mi o nim nie opowiadał.

– Nie chcę być tą osobą, Violet. – Twarz Raven łagodnieje. Przyjaciółka odchyła głowę do tyłu. – Emile był dla mnie dobry. Czasem przemyślał dla mnie jedzenie. No i często zabierał mnie do ogrodu, żebym mogła wysyłać ci wiadomości. Wiele mi mówił. Powiedział, że Hrabina co roku kupuje surogatkę. Nie zależy jej na potomkach, chce wiedzieć, do czego jesteśmy zdolne. Jak wiele możemy znieść. – W jej oczach pojawia się smutek. – Emile pewnie myśli, że nie żyję.

– Jestem pewna, że nic mu nie będzie – odpowiadam sucho.

– Nie rozumiesz – mówi Raven. – W tym pałacu miałam tylko ciebie i jego. Trzymałam się nadziei, że jesteś bezpieczna, że Diuszesa cię nie torturuje, nawet gdy mnie zamykali w klatce, kiedy Frederic dźgał mnie bronią albo gdy nakładali mi kaganiec. Gdy Hrabina zaczęła mnie ciąć, zrobiło się gorzej. Odebrała mi wspomnienia i użyła ich przeciwko mnie. Nie umiałam powiedzieć, co jest realne, a co jest tylko majakiem. Emile mi pomógł. Przypominał mi. Czasem, gdy zapominałam, wymawiał twoje imię. – Samotna łza powoli spływa po jej policzku. – Nie mógł wymówić mojego imienia, ale twoje tak.

– Ona za to zapłaci. Obiecuję, że zapłaci, Raven.

– Jak, Violet? Jak mamy to zrobić? Spójrz tylko na mnie. – Przesuwa dłonią wzdłuż swojego ciała. – Jestem zepsuta. Nigdy już nie będę tą osobą, którą byłam. Jestem jak roztrzaskana porcelanowa lalka, której nie da się już posklejać.

Przyklękam i spoglądam jej prosto w oczy.

– Posłuchaj mnie – proszę. – Byłaś przy mnie, kiedy w Bramie byłam słaba i przerażona. Dałaś mi odwagę. Jeśli wydaje ci się, że nie zrobię tego samego dla ciebie, to przemyśl to jeszcze raz. Byłaś ze mną każdego dnia w Pałacu Jeziora. Byłaś moją siłą. Pozwól mi być twoją. – Kładę jej dłoń na ramieniu. – Pomogę ci wydobrzeć. I będę cię chronić.

Raven znów dotyka dłonią brzucha.

– A możesz ochronić mnie przed tym?

Spoglądam w dół. Gula w gardle jest tak wielka, że trudno mi oddychać.

Raven opiera policzek o moje palce.

– Jestem taka zmęczona, Violet – szepce. – Mogę się przespać?

– Oczywiście. – Mój głos jest niski i schrypnięty.

– Ale mnie nie zostawisz, prawda? – pyta z odcieniem paniki.

– Nie. Będę tuż przy tobie.

Siadam i wyciągam przed siebie nogi, by mogła użyć ich jako poduszki. Kilka minut później jej oddech uspokaja się, a ciało rozluźnia. Odgarniam jej włosy z twarzy. Wygląda jak Raven, którą kiedyś kochałam.

Nadal nią jest, upominam się.

– Wszystko z nią w porządku? – pyta łagodnie Ash, nie wstając ze skrzyni.

– Nie wiem.

Światło powoli mętnieje i gaśnie, a dzień ustępuje nocy. W magazynie robi się ciemno i zimno. Obejmuję się rękoma, żeby zachować resztki ciepła, ale niewiele to daje. Ash siada obok mnie i otacza mnie ramieniem. Przytulam się do niego, wdzięczna zarówno za jego obecność, jak i za ciepło.

– Ocaliłaś sporo ludzi – mówi.

– Jeszcze nie – protestuję.

– Mam wrażenie, że trochę się nie doceniasz.

Nie odpowiadam. W tej chwili nie czuję się ani dumna, ani bohaterska.

– Twój plan zadziała? – pytam. – Naprawdę możemy wydostać się z Banku pociągami towarzyszy?

– Nie wiem, Violet. Ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Jak mówiłaś, nie możemy tu zostać.

Kiwam głową i pogrążamy się w milczeniu. Pewnie powinnam się przespać, ale w głowie kłębią mi się tabuny myśli, takich, które odrzuciłabym jak najdalej. Raven w klatce, Lily w ciąży, Annabelle leżąca bez życia na podłodze w sypialni...

– Jak to wyglądało? – pytam po chwili Asha. – W sztabie towarzyszy. Nigdy o tym nie mówiłeś.

Jego ciało sztywnieje. Wiem, że wolałby, żebym nie drążyła tego tematu.

– Było miło – odpowiada sztywno. – Bardzo o nas dbano.

Uśmiecham się.

– Kłamiesz. – Poprawiam pozycję. – Mówisz tym charakterystycznym tonem, tonem towarzysza, z przesadną uprzejmością. Zawsze tak robisz, gdy mijasz się z prawdą.

Milczy przez chwilę, a potem szepce:

– Było koszmarnie.

Siadam prosto tak, by patrzeć mu w twarz. Przyćmione światło sprawia, że jego oczy zdają się zacienionymi jamami. Ash unika mego spojrzenia, ale nie daje za wygraną. Sekundy ciągną się jak melasa.

– Nie chcesz wiedzieć – mówi wreszcie. – Zaufaj mi.

– Gdybym nie chciała wiedzieć, to bym nie pytała. Mówisz o porwanych chłopcach i dziewczętach używanych jak manekiny i mam wrażenie, że jest cały wielki rozdział twojego życia, którego nie rozumiem. Co się wydarzyło?

Ash sztywnieje.

– Chcesz wiedzieć, jak wygląda życie w Sztabie Towarzyszy? – Jego głos jest ostry jak brzytwa. Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił. – Dobrze. Miałem czternaście lat, gdy sprzedałem się Madame Curio. Przez pierwszy rok trenowałem, uczyłem się sztuki, historii, matematyki, muzyki, fechtunku... Na

początku było całkiem miło. A potem, w dniu moich piętnastych urodzin, Madame Curio wezwała mnie do swojego pokoju i nauczyła kilku rzeczy, których dotąd nie poznałem. Wtedy po raz pierwszy uprawiałem seks.

Po kręgosłupie przebiega mi nieprzyjemny dreszcz.

– Potem lekcje nieco się zmieniły. Zaczęto przyprowadzać do mnie dziewczęta. Madame powiedziała, że mam je zaspokoić. Nie chciałem, były przerażone. Ja też byłem przerażony. Ale nie wolno się sprzeciwiać Madame. Nauczyciele patrzyli. Oceniali, co robię i instruowali mnie. To było upokarzające. Potem wysłano mnie w świat, żebym czarował piękne i młode arystokratki, a nocami sypiał z ich matkami. Spałem z kobietą, która mogłaby być moją babką. A wszystko to dlatego, że Madame Curio zobaczyła mnie na zewnątrz kliniki i uznała, że jestem przystojny.

Ash podrywa się gwałtownie i zaczyna chodzić po magazynie w tę i z powrotem. Usta wykrzywione ma w dziwnym grymasie, pięści zaciśnięte.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, jak bardzo nienawidzę mojego wyglądu, mojej twarzy? – pyta gorzko. – Wiesz, ile razy przykładałem sobie brzytwę do oka i zastanawiałem się, czy jej nie użyć? Tylko myśl o Cinder sprawiała, że nie oszalałem. Cinder mnie potrzebowała. Gdybym zepsuł sobie twarz, straciłbym pozycję, a wraz z nią i pieniądze na leki. Och, wiele razy widziałem coś podobnego. Wiesz, jaki jest odsetek samobójstw wśród towarzyszy? Nikt nie wie, bo o tym się nie mówi. Po co? Kogo to obchodzi? Znałem sześciu chłopaków, którzy odebrali sobie życie. To znaczy, znałem ich osobiście. Ci, którzy nie popełniają samobójstwa, zaczynają się ciąć, ale nie tam, gdzie ktoś mógłby to zobaczyć. Głównie w zagięciu kolan albo między palcami. Niektórzy ćpają opiaty, coraz więcej i więcej, aż wreszcie nie mogą ukryć uzależnienia i, napiętnowani, lądują na ulicy. Część skacze w ten syf na główkę – nabierają paskudnych upodobań, gwałcą dziewczyny w szubie albo zadają się ze zwykłymi prostytutkami. Na każdego przyjaciela, którego zyskujesz, tracisz trzech. Nieważne jak, nieważne dlaczego. Zawsze są nowi chłopcy, a ty jesteś tylko jednym z setek sobie podobnych i można się ciebie pozbyć jak niemodnego już kapelusza. – Patrzy na mnie z jadowitym uśmiechem, którego nigdy wcześniej nie widziałam. – No więc właśnie tak to wygląda.

Brakuje mi słów, jestem niema. Próbuje przywołać na twarz jakąś łagodną, wyrażającą pełnię zrozumienia minę, ale mięśnie nie chcą mnie słuchać. Myślałam, że Sztuba Towarzyszy to coś podobnego do Magazynu... Ale narkotyki? Wyuzdany seks? Samobójstwa?

– Ale przecież ty jesteś zupełnie inny – mówię cicho.

– Taki właśnie jestem! – Ash unosi głos do krzyku. Hałas budzi Raven. – Nie chcesz o wszystkim wiedzieć, Violet.

– Proszę, nie walczcie ze sobą – jęczy Raven, chowając twarz w dłoniach.

– Nie walczymy – uspokajam ją. – Ash i ja... rozmawiamy.

Obecność Raven uspokaja nieco Asha.

– Przepraszam – mówi do niej. – Nie chciałem cię obudzić.

– Nie chcesz tam wracać – stwierdza Raven, trąc zaspane oczy. – Jesteś przerażony.

Zapada pełna niedowierzania cisza. Raven zwraca się w moją stronę, ale mnie nie widzi. Mam wrażenie, że wpatruje się w jakiś odległy punkt.

– On cię kocha, nie widzisz tego? Kocha cię i nienawidzi siebie samego. Nigdy nie będzie wystarczająco dobry, ani dla ciebie, ani dla swojej rodziny, ani w ogóle dla nikogo. Ukradli go, zabrali daleko i wypaczyli, a wszystko, co było w nim czyste, zgniło i rozsypało się w proch. Czuję wstyd. – Wraca do terażniejszości i spogląda na Asha. – Wszyscy mamy coś, czego się wstydzimy.

Asz gapi się na nią oczyma jak spodki.

– Jakim cudem... – zaczyna, ale w tej samej chwili drzwi otwierają się z hukiem. Wszyscy

podskakujemy.

– Mam! – oznajmia Garnet, rzucając na podłogę wielką płócienną torbę i zamykając za sobą magazyn. – Wszystko, czego chcieliście. – Omiata wzrokiem pomieszczenie, mnie z Raven na podłodze i stojącego nad nimi Asha, który ciągle nie może pozbyć się zszokowanego wyrazu twarzy. – W czymś wam przeszkodziłem?

– Nie, nie – mówię, wstając.

– To przebierajcie się i spadamy – rzuca Garnet. – Powiedziałem Lucienowi i jest niezbyt...

Ukryte w moich włosach Arkana bzyczą. Lucien zaczyna mówić, nim udaje mi się wyplątać je z koka.

– Nie podoba mi się ten plan – oświadcza.

– Ja również nie jestem nim zachwycona, Lucienie, ale tak się składa, że nie bardzo mamy wybór. Chcesz, żebym bezpiecznie dotarła do Farmy? To najlepszy sposób.

– Nadal mi się nie podoba.

Wyrzucam w górę ręce.

– No cóż, ty robisz wiele rzeczy, które nie podobają się mnie – stwierdzam zgryźliwie. – Ale nadal ci ufam. Teraz ty musisz zaufać mnie.

– Ufam ci. Ale jemu nie ufam.

– Jeśli masz na myśli Asha, to możesz się nie martwić.

– Violet, kiedy znajdziecie się na terenie sztuby, nie będę w stanie ci pomóc. Będziesz sama.

Patrzę na Raven, a potem na Asha.

– Nie – protestuję. – Nie będę.

– Wiesz, co mam na myśli.

Wzdycham ciężko.

– Tak, wiem. I nie chcę się z tobą kłócić, Lucienie. Próbuję tylko zrobić to, czego ode mnie chciałeś.

Pozostać przy życiu.

Milczy przez chwilę.

– Tak, słońce, wiem – mruczy łagodnie.

– Co się dzieje w Klejnocie? – pytam. – Jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Czuję, że Lucien się uśmiecha.

– No cóż... – zawiesza głos. – Diuszesa cieszy się niezwykłą popularnością. Wydaje się, że gwałt – mrugam, słysząc to słowo – oraz brawurowa ucieczka towarzysza przed Gwardzistami przysporzyły jej tylko rozgłosu. Wszyscy pragną audiencji u Diuszesy.

– A co się stało z... – Gardło zaciska mi się, gdy przed oczyma staje mi moja własna sypialnia. – Z Annabelle?

– Nie wiem – mówi Lucien. – Najpewniej została skremowana. W kręgach służących nie słychać żadnych plotek. Oczywiście, wszyscy współczują Corze.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Nie wiedziałaś? – Lucien wydaje się autentycznie zaskoczony. – Annabelle była jej córką.

– Co takiego? – wykrzykuję. Nigdy nie zastanawiałam się nad rodziną Annabelle i wstyd mi, że nawet nie pomyślałam, by o to zapytać. Czy kiedykolwiek widziałam, żeby Cora zachowywała się opiekuńczo wobec Annabelle? Nie. Niczego takiego nie pamiętam. Zawsze zwracała się do niej jak do zwykłej służącej.

Nie pojmuję, jak może dalej żyć w pałacu i służyć kobiecie, która z zimną krwią zamordowała jej córkę.

– Muszę iść – odzywa się nagle Lucien.

Arkana milkną i spadają na ziemię. Udaje mi się je złapać.

Raven wpatruje się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą unosił się srebrny kamerton, z miną wyrażającą zupełne niezrozumienie.

– Czy to było prawdziwe? – pyta.

– Tak – odpowiadam miękko. – Ale teraz musimy się przebrać.

Ash zdążył już otworzyć torbę i trzyma w dłoniach naręcze materiału.

– Violet – zaczyna, ale kręcę głową.

– Nic się nie stało – mówię.

– Stało się. Nie powinienem był... Nie chciałem krzyknąć.

– Wiem. – Mam wrażenie, że sztuba jest miejscem tysiąc razy gorszym niż Magazyn. Też nie chciałabym do niej wracać, ale to nie czas na dyskusje i przeprosiny.

Ash kiwa powoli głową i podaje mi torbę.

Żeby zachować pozory prywatności, idziemy z Raven na tyły magazynu.

Otwieram torbę i przez chwilę po prostu patrzę na kłębowisko kolorów, niespokojne morze koronek i połyskliwej satyny. Wyrzucam wszystko na posadzkę i zaczynam sortować. Strasznie mało materiału... Ale pewnie o to chodzi.

– No dobrze – rzucam do Raven z fałszywą wesołością, wyciągając przed siebie dwie pary pończoch.

– Które wolisz? Różowe czy czerwone?

Wrusza ramionami. Podaję jej czerwone. Kiedy zrzuca brązową suknię, dostrzegam na jej krzyżu ślad po uderzeniu. Jest mniej więcej wielkości mojej pięści i rozchodzą się od niego sinoczerwone pręgi.

– Och, Raven – wyduszam z siebie. Natychmiast nakrywa siniec dłonią, jakby się go wstydziła.

– Igły były gorsze – mamrocze. Naciąga pończochy i ostrożnie przesuwają palcami po głowie.

Sukienki przypominają raczej bieliznę. Cienkie koronkowe spódnice i gorsety nie zakrywają naszych dłoni i ramion. Raven jest tak chuda, że nawet ciasno zasznurowany gorset wciąż jest na nią za luźny. Mój jest paskudnie ciasny i ukazuje zdecydowanie za dużo ciała, bym czuła się z tym swobodnie. Żałuję, że nie mam jakiegoś szala.

W torbie są również przybory do makijażu, wściekle czerwona szminka, róż do policzków i czarna kredka do oczu. Malujemy się nawzajem, choć żadna z nas nie ma w tej materii specjalnego doświadczenia.

– No dobra – mówię, upychając do torby stare ubrania. – Możemy iść.

Kiedy wchodzimy do przedniej części magazynu, Ash i Garnet zastygają w bezruchu i szeroko otwierają oczy. To zarazem miłe i zawstydzające. Nie, żeby Ash mnie wcześniej nie widział, ale Garnet to inna historia. Wpatruje się w Raven, jakby spostrzegł ją po raz pierwszy. Umalowana, nie wygląda już jak smutna topielica. Wreszcie da się w niej dostrzec dawną urodę. Jej skóra sprawia wrażenie zdrowszej, a lekko karmelowy odcień ładnie kontrastuje z kremowym gorsetem z satyny.

Raven spostrzega, że Garnet wbija w nią wzrok.

– Co? – pyta ze złością.

Garnet pospiesznie odwraca głowę.

– Lepiej idźcie – mówi do Asha.

Ash również się przebrał. Ma na sobie strój podobny do tego, w jakim po raz pierwszy go widziałam, beżowe spodnie i białą koszulę z kołnierzem. Na ramiona narzucił długi płaszcz. Może to standardowy uniform towarzyszy?

– Najlepiej by było, gdybyście trzymały się jak najbliżej mnie – oznajmia. – Jest dość zimno.

– Dla nas pewnie nie ma płaszczy? – rzucam.

Ash uśmiecha się do mnie kącikiem ust.

– Zakrywanie was mijałoby się z celem.

Nie martwię się o siebie, ale Raven...

Raven jakby czytała w moich myślach. Obrzuca mnie cierpkim spojrzeniem.

– Nic mi nie będzie – stwierdza.

– Mam nadzieję, że przebranie zadziała – odzywa się Garnet.

– To jest nas dwóch – kwituje Ash.

Garnet patrzy na każdego z nas, otwiera usta, zamyka je i, jakby zakłopotany, przeczesuje dłonią włosy.

– No dobra... To powodzenia.

Obraca się i wymaszerowuje z magazynu.

– Gotowa? – pyta Ash.

– Moment. Wszędzie wiszą listy gończe z twoim zdjęciem. A może... – Nigdy wcześniej nie używałam Augurii na człowieku, nie mogę jednak pozwolić sobie na luksus wątpliwości. Zaciskam dłoń na kilku brązowych kosmykach.

– Co ty... – zaczyna Ash, ale ja już koncentruję się na Augurii.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Potem wolą skrepuj go.

Spod moich palców wytryskują jasnozłote smugi. Po chwili Ash jest blondynem. W głowie czuję tępe pulsowanie.

– Już – mamroczę, rozmasowując lewą skroń. – Powinno trochę pomóc. Jeszcze tego nam brakuje, żeby znów cię ktoś rozpoznał.

Ash ostrożnie dotyka włosów i opuszcza dłoń, by na nią spojrzeć, jakby obawiał się, że Augurię można zetrzeć.

– Nieźle – mówi.

Porzucamy magazyn i trzymamy się wąskich, ciemnych uliczek. Kilka osób rzuca nam niechętne spojrzenia. Okolica wydaje się być prawie wymarła. Musi zbliżać się północ. Wieje zimny wiatr i po kilku sekundach zaczynam szcząkać zębami. Ash otacza mnie ciasno ramieniem.

Idziemy przez jakieś dwadzieścia minut, aż wreszcie trafiamy do najbardziej obskurnej dzielnicy Banku, jaką do tej pory widziałam. Wszystkie budynki są stare i popękane, ganki zapadnięte, a część okien zabita dechami.

– No dobra – rzuca Ash. – Tak... Obejmijcie mnie obydwie. Nie zaszkodzi, jeśli będziemy udawać, że jesteśmy pijani.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że szklanica wina nie byłaby złym pomysłem. Albo dwie szklance. Albo dwanaście... Całe to miejsce krzyczy wniebogłosy: Uwaga, niebezpieczeństwo! Raven obejmuje Asha za barki, a ja oplatam go ręką w pasie.

Chwilę później mijamy pierwszą gospodę. A potem kolejną. I jeszcze jedną. Gdy któreś drzwi stają nagle otworem, głośna muzyka, kakofonia skrzypiec, banjo i bębenków wylewa się na ulicę. Z lokalu wypada dwóch mężczyzn. Z zapamiętaniem okładają się pięściami, póki trzeci zgrabnym kopniakiem nie posyła ich na ziemię. Aż nazbyt przypomina mi to, jak zginął ojciec. Mocniej przywieram do Asha. Trzęsą mi się nogi.

Mijamy grupkę mocno pijanych mężczyzn, którzy na nasz widok gwizdzą. Jeden z nich podchodzi do Asha.

– Może się podzielimy? – pyta bełkotliwie. – Mam trochę pierwszej jakości błękitka, w sam raz na imprezę.

– Pierdol się – warczy Ash. – Znajdź se własne dupy.

– Ash! – syczę, kiedy mężczyzna, wzruszając ramionami i mamrocząc coś pod nosem wraca do kolegów. – No, naprawdę!

Ash parska urywanym, pustym śmiechem.

– Witaj w moim świecie.

Skrećamy w kolejną uliczkę i natychmiast uderza mnie przytłaczająca woń silnych kwiatowych perfum, nie do końca kryjąca zapach czegoś niekoniecznie świeżego.

– Hej, przystojniaku! – woła młoda, bardzo skąpo odziana dziewczyna stojąca przed paskudnym, pomalowanym na różowo i żółto budynkiem. Nie wiem, czy ma czternaście lat. – Nie chcesz jeszcze jednej?

– Pierdol się – ryczę na całe gardło.

Panienska wzrusza ramionami i zapala papierosa.

– Bardzo przekonująco – szepce Ash wprost w moją szyję.

– To miejsce jest koszarne – odpowiadam cicho.

– Nazywają je Mordownią, urocza nazwa, prawda? – wyjaśnia. – We wschodniej kwarcie to świątynia dla tych, którzy szukają prochów i seksu.

– Tym właśnie jest błękitek? Narkotykiem?

Kiwa głową.

– To rodzaj opiatu. Płyn ma błękitnawy odcień, stąd nazwa.

Mijamy trzy burdele i kilka kolejnych gospód, aż wreszcie dochodzimy do końca Mordowni. Zmiana jest raptowna – w jednej chwili otaczają nas walące się budynki, a w drugiej znajdujemy się w niewielkim, oświetlonym gazowymi lampami parku. Zegar po przeciwległej stronie niewielkiego placu podpowiada, że minęła już północ. Na ławce niedaleko siedzi jakaś para, a kilka jardów od niej mężczyzna wyprowadza psa. Poza tymi ludźmi nie widzę nikogo.

– Jesteśmy prawie na miejscu – mamrocze Ash. Szybko przechodzimy przez park. Mężczyzna z psem zauważa nas i potrząsa głową, mrużąc coś pod nosem.

Kiedy znajdujemy się po drugiej stronie, Ash chwyta mnie za ramię.

– Stój – rozkazuje.

Wzdłuż całej ulicy ciągnie się wysoki mur zabezpieczony od góry kolcami. Przypomina mi to Bramę Południową, to, jak odróżniała się od okolicy, stanowiąc fortecę w samym sercu Bagna.

Serce podskakuje mi do gardła, gdy dostrzegam idący w naszą stronę patrol Gwardzistów.

– Pocałuj mnie – mruży Ash. Przyciskam wargi do jego warg, po raz pierwszy nie zwracając uwagi na dotyk jego ust i ciepło jego ciała. Słyszę jedynie nasze bijące we wspólnym rytmie serca. Mam wrażenie, że lada chwila któryś Gwardzista krzyknie i ogłosi alarm.

Po długiej chwili Ash odrywa się ode mnie. Oglądam się za siebie i widzę plecy znikającego za rogiem patrolu.

– Idziemy. Szybko! – ponagla Ash i rusza.

Nie musi nam tego powtarzać. Trzymamy się z Raven tuż za nim, gdy idzie przed siebie, sunąc dłonią po chropawym kamieniu muru. Nagle przystaje.

– Tutaj – szepce.

Widzę tylko ścianę, taką samą jak metr wcześniej i metr dalej, Ash jednak chwyta coś i pociąga ku sobie. Jeden z kamieni przesuwa się, odsłaniając ukryty pod nim duży szyfrowy zamek.

– Znasz kombinację? – pytam cicho.

Ash ponuro patrzy na mechanizm. Mijają kolejne sekundy. Już, już mam przypomnieć mu, że nie możemy tak stać pod murem sztuby, gdy wyciąga dłoń i zaczyna obracać pokrętko najpierw w prawo, potem w lewo i znów w prawo.

Słyszę kliknięcie.

Ash szarpnięciem otwiera ukryte dotąd w ścianie drzwi.

– Do środka – syczy.

Wchodzę pierwsza i pociągam za sobą Raven. Ash zamyka za nami.

Obracam się i na moment nieruchomieję. Sztuba nie wygląda tak, jak się spodziewałam, choć po prawdzie nie do końca wiem, czego się spodziewałam. Wokół sporej wielkości placu, porośniętego zeschniętą teraz trawą, stoi sześć niskich budynków z czerwonej cegły, między którymi wiją się wysypane drobnym żwirem ścieżki. Z lewej widać pokrytą cienką warstewką lodu sadzawkę otoczoną niewielką kępą nagich drzew. Gazowe lampy mrugają co chwila, ustawione tak, by zapalać się

w określonej kolejności.

Wygląda to naprawdę ładnie.

– Stacja jest po drugiej stronie – szeptem Ash. – Tędy.

Idziemy za nim jedną ze ścieżek. Żwir chrupie pod naszymi stopami. Chwieję się lekko na nogach, bo obcasy klinują się między kamyczkami. Okolica wydaje się niezwykle spokojna i cicha.

Nagle w jednym budynków otwierają się tylne drzwi. Zastygamy w bezruchu, jakby przyłapani na gorącym uczynku. Na ścieżce przed nami pojawia się skryta do połowy w cieniu postać. Słyszymy skrzypnięcie zapalniczki i w półmroku rozbłyskuje niewielki płomyk, który szybko zamienia się w żar papierosa. Zabawne, ale wygląda to, jakby w powietrzu unosił się napełniony światłem bursztyn. Palacz parska śmiechem.

– Znów polazłeś do Mordowni, Till? – pyta. Głos ma niski i głęboki. – Madame nie ma, ale na patrol polazł Billings. Lepiej zabierz panienki do środka.

– Rye? – Ash występuje naprzód. Mężczyzna podchodzi bliżej. Teraz widzę, że jest mniej więcej w wieku Asha, nieco wyższy i ma ciemną skórę. W jakiś sposób kojarzy mi się z Lwicą. Jest przystojny, a jego twarz okalają czarne loki. Patrzy na nas szeroko rozwartymi, przypominającymi odpryski krzesiwa oczyma.

– Ash? – pyta z niedowierzaniem. – Co się... No nie! Co ty tutaj robisz? Całe miasto cię szuka. I co się stało z twoimi włosami. – Obrzuca spojrzeniem mnie i Raven. – Niezbyt dobry moment, żeby zacząć eksperymenty z pracującymi dziewczynami.

– One nie są prostytutkami – mówi Ash. – Musimy się dostać do pociągu.

– Pociąg odjechał – odpowiada chłopak imieniem Rye i krzywi się. – Jest w Dymie.

Wstrząsa mną lodowaty dreszcz. Co teraz zrobimy?

– Pomożesz nam? – prosi Ash. – Musimy się ukryć do czasu, aż wróci.

Podjęcie decyzji zajmuje Rye'owi całą wieczność. Zaciąga się głęboko papierosem i wydmuchuje kłęb gęstego dymu. Potem wyrzuca niedopałek w mrok.

– Jasne, pomogę wam – mówi. – Ale musisz mi powiedzieć, jakim cudem zwiąłeś z targu, choć obstawiało go chyba z tysiąc Gwardzistów. Właźcie.

Wchodzimy za naszym przewodnikiem do korytarza pachnącego suszonymi kwiatami i dymem z kominka, a potem wspinamy się schodami i ruszamy kolejnym korytarzem. Jestem zupełnie zesztywniała ze stresu, nerwy mam napięte jak struny wiolonczeli. Nie wiem, kim jest prowadzący nas chłopak, ale jeśli Ash mu ufa, ja zrobię to samo. Niestety, nie tylko Rye tu mieszka. W sztabie jest wielu młodych mężczyzn. Mam wrażenie, że w magazynie było bezpieczniej.

Rye otwiera jedne z drzwi, zapala światło i gestem zaprasza nas do środka.

Wchodzimy do wielkiej, sprawiającej bardzo miłe wrażenie sypialni utrzymanej w bieli ze złotymi akcentami. Pod przeciwległymi ścianami stoją dwa łóżka, a pod pojedynczym, dużym oknem, pasiasta kanapa i pasujący do niej fotel. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem wystroju są jednak ogromne, oprawione w złote ramy lustra wiszące nad dwoma toaletkami, o ile coś znajdującego się w męskim dormitorium można nazwać toaletką.

Jedno z łóżek jest nieskazitelnie posłane, a na toaletce panuje bezwzględny porządek, jakby próżność jej właściciela nie mogła znieść najmniejszego bodaj bałaganu. Drugie łóżko wygląda, jakby coś w nim wybuchło, na wezgielciu i kołdrze leżą części garderoby, a blat toaletki przypomina pobojuwisko. Słoiki z kremami są pootwierane, część kosmetyków rozmazała się na gładkim drewnie, a między szpatułkami i szklanymi pojemniczkami walają się małe pomarańczowe pigułki.

– Nie ma jak w domu – mamrocze Ash pod nosem, rozglądając się po komnacie.

– To twój pokój? – pytam z niedowierzaniem. Raven przystanąła przy drzwiach, jakby nie była pewna,

czy powinna iść dalej.

– Rye i ja jesteśmy... byliśmy współlokatorami – odpowiada. Wyraz jego twarzy zmienia się nagle. Wbija wzrok w uporządkowaną toaletkę, a potem podchodzi do niej, jakby coś go do tego zmuszało. Podnosi oprawione w srebrną ramkę zdjęcie i, trzymając je mocno oburącz, ciężko opada na łóżko.

– Czy to... – Siadam obok niego i patrzę na fotografię. – To twoja rodzina?

Ash przytakuje. Zdjęcie jest czarno-białe i wykonano je przed obskurnym budynkiem. Wielki, groźnie wyglądający mężczyzna z nosem Asha obejmuje ramionami dwóch krępych chłopców, którzy szczerzą się do kamery z pewnością siebie, której mógłby im pozazdrościć Garnet. Obok nich stoi kobieta wyglądająca jak damska wersja Asha. Obydwie dłonie trzyma na ramionach kilkulatniej dziewczynki. Mała ma imponującą szopę kręconych włosów, a na ustach najszerszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. Choć w ogóle nie jest podobna do Hazel, z jakiegoś powodu mi ją przypomina.

– To Cinder? – upewniam się. – Jest słodka. A ty gdzie jesteś?

Ash odkaśluje.

– To ja robiłem to zdjęcie. Jeden z sąsiadów kupił aparat fotograficzny i pokazał mi, jak go używać.

Obraca ramkę i wyjmuje spodnią stronę. Bardzo ostrożnie wysuwa zdjęcie, składa je na pół i chowa do kieszeni. Pustą oprawkę odstawia na toaletkę.

– No więc... – Rye bezczelnie niszczy naszą bańkę prywatności. – Byłbyś łaskaw wyjawić mi, co na litość Hierarchy tu robisz? I kim są te dziewczyny?

Raven piorunuje go wzrokiem. Chłopak usiadł na własnym łóżku i odkręca właśnie niewielką fiolkę. Płyn w środku jest intensywnie niebieski.

Ash wzdycha ciężko.

– Od kiedy ćpasz? – rzuca.

Rye wzrusza ramionami i wyciąga z fiolki cienką pipetę. Odchyła głowę i zakrapla sobie oczy.

– Nie chcesz wiedzieć, co musiałem zrobić dla ostatniej klientki – mówi, mrugając i ocierając spływający mu po policzkach nadmiar płynu. – To mi pomaga. – Parska śmiechem, wyraźnie rozluźniony. – Miej nadzieję, że nigdy nie dostaniesz roboty w Domu Dolin. Ta kobieta, ona... No cóż, ma naprawdę dziwne upodobania.

Pamiętam Panią Dolin z zaręczynowego przyjęcia Garneta. Wydawała się podobna do innych arystokratek. Nie chcę myśleć o tym, co robi za zamkniętymi drzwiami.

– Zaliczyła sześciu towarzyszy, nim udało się jej zaręczyć córkę – ciągnie Rye. – Ostatni był Bale. Chyba nadal dochodzi do siebie. Od tamtej pory nie miał żadnej klientki. Ja też zresztą nie miałem. Nie, żebym narzekał. – Znow parska śmiechem. – Ale dla ciebie to już nie problem, nie? Żadnych klientów. – Opada na poduszki i wzdycha. – Pamiętasz Panią Promienia? Obydwaj ją mieliśmy. Ona... Ona była inna.

– Ash już tego nie robi – mówię sztywno.

Rye chichocze.

– A ty kim właściwie jesteś? Jego dziewczyną?

– Musimy się dostać do pociągu – mówi Ash. – Nie możemy chować się tutaj, póki nie wróci.

– Nie masz dokąd iść, braciszku, wszystkie budynki są zamknięte – odpowiada miękko Rye. – Również dobrze możesz spędzić tę noc z duchami przeszłości.

– To miejsce gnije – oświadcza nagle Raven. – Nie podoba mi się tu.

– Niedługo stąd pójdziemy – obiecuję.

Raven podchodzi do jednego z luster i wpatruje się w swoje odbicie.

– Pozwalam im zabrać twoje oczy – mówi do mnie. – Wyłuskują je jak klejnoty i dają mi je w podarunku. Każą mi wybierać, ale zawsze wybieram źle. Zawsze. – Nim zdążę ją powstrzymać, Raven

dwa razy uderza się pięścią w skroń. Chwytam ją za nadgarstek. – Jestem Raven Stirling – mamrocze. – Patrzę w lustro. Jestem prawdziwa. Jestem silna.

– No dobra, Ash, teraz to już naprawdę musisz mi wyjaśnić – rzuca Rye, patrząc na mnie i na Raven spojrzeniem, w którym ciekawość walczy o lepsze z podejrzliwością. – Co. Się. Do. Cholery. Wydarzyło. Słyszeliśmy tylko, że zgwałciłeś jakąś surogatkę i...

– Nikogo nie zgwałcił – warczę.

Rye wybałusza oczy.

– O nie... – mruczy, patrząc na Asha. – Powiedz, że to nieprawda! To ona jest tą surogatką? – Nagle z jego twarzy znika cała wesołość. Podrywa się z łóżka, śmiertelnie poważny. – One muszą stąd zniknąć. Natychmiast. Tobie pomogę, ale nie będę ryzykował życia dla jakichś surogatek. Porąbało cię? Wiesz, co...

– Kocham ją – przerywa mu Ash. Rozkłada ręce, jakby oferował swoje słowa w geście poddania.

Rye przesuwa ręką po swych kręconych włosach i siada ciężko na krawędzi łóżka. Opiera łokcie na kolanach i dłońmi obejmuje policzki. Patrzy to na Asha, to na mnie. Czuję się koszmarnie w tym idiotycznym ubraniu. Chciałabym móc w jakiś sposób pokazać temu nieufnemu chłopakowi to miejsce we mnie, w którym żyje Ash. Pokazać mu serce, w które wrósł. Chciałabym ściągnąć z siebie skórę jak odzienie i uświadomić mu, że staliśmy się jednym.

– Udowodnij to – rzuca Rye, jakby potrafił czytać mi w myślach.

– Przyłapali nas – mówi Ash. – To się wydarzyło. Przecież mnie znasz. Naprawdę myślisz, że zgwałciłbym surogatkę? Ba! Że w ogóle spojrziałbym na surogatkę? Byłem naprawdę dobry w tej robocie. A ona... – Uśmiecha się tym tajemniczym uśmiechem, który tak uwielbiam. – Ona wzięła mnie z zaskoczenia. Kiedy pozwoliłem sobie ją pokochać, nie było odwrotu.

– Więc ryzykowałeś dla niej życie? – pyta Rye.

– Ryzykowałem.

– I życie Cinder.

Ash zaciska zęby.

– Wiem.

Ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Życie Cinder zależy przecież od pracy Asha.

To... ogłupiające. Patrzę na niego, osłupiała. On... On wiedział. Wiedział, a jednak mnie pokochał. Przyływ poczucia winy jest jak uderzenie pięścią w żołądek.

Rye żuje dolną wargę, jakby trawił słowa Asha, a potem potrzęsa głową.

– Prześpijcie się. Rano coś wymyślimy.

Znów patrzy na mnie, tym razem jednak tak, jakbym była jakąś postacią z bajki, duchem wody ze Studni Życzeń, istotą, która nie ma racji bytu w prawdziwym świecie. Uśmiecha się krzywo, a potem jednym płynnym ruchem ściąga z siebie sweter. Jego ciemna skóra jest gładka jak aksamit i widać pod nią mocno zarysowane mięśnie. Płoną mi policzki. Gdzieś na skraju mojego pola widzenia Ash przewraca oczyma.

– Dobranoc, Rye – mówi.

Rye szczerzy do mnie zęby.

– No wiesz, myślałem, że może chcesz trochę X – rzuca do Asha.

– Dobranoc – powtarza Ash tym razem bardziej dobitnie.

– Co to jest X? – pytam cicho, gdy wraz z Raven idziemy do łazienki, zmyć ciężki makijaż. – Kolejny narkotyk?

Na twarz Asha wypływa rumieniec.

– Czarnorynkowy środek antykoncepcyjny.

Ze świstem nabieram powietrza.

– Co?

Antykoncepcja jest zakazana w całym Samotnym Mieście. Wszyscy o tym wiedzą.

Ash zaczyna otwierać kolejne szuflady komody i wyciągać z nich pościel. Nie patrzy na mnie.

– To serum, dzięki któremu męczyzna jest przez kilka godzin bezpłodny – wyjaśnia sztucznie rzeczowym tonem. – Używanie go nie należy do przyjemnych, a jeśli ktoś zostanie z nim przyłapany, karą jest śmierć.

– Dlaczego nieprzyjemnie się go używa? – pytam, gdy podaje mi wielką bawełnianą koszulę.

Mruga.

– Trzeba go wstrzyknąć w bardzo wrażliwe miejsce.

Wytrzeszczam oczy.

– Och...

Kiedy wychodzimy z Raven z łazienki umyte i odziane w zaimprovizowane piżamy, Rye już pochrapuje.

– Kładźcie się do łóżka – mówi Ash. – Ja się prześpię na kanapie.

Opatulam Raven kołdrą i obracam się w stronę Asha.

– Cinder – szepczę. – Nigdy nie sądziłam... Co się z nią stanie?

Ash nieruchomieje i pochyła głowę.

– Nie wiem.

– Czy... Możemy coś zrobić? Pomóc jej jakoś?

Ash parska urywanym, wypranym z wesołości śmiechem.

– Violet, nie jesteśmy w stanie pomóc sami sobie.

Ma rację. Rozpaczliwie staram się wymyślić, co mogłabym powiedzieć, znaleźć jakieś słowa pocieszenia, jakiś pomysł, ale czuję się pusta. Mogłabym rzec, że mi przykro, ale wiem, że to by nie wystarczyło. Gdybym zaś oznajmiła, że chciałabym, by było inaczej, skłamałabym.

Ash błędnie interpretuje moją minę.

– Coś wymyślimy – mówi, przesuwając dłońmi po moich ramionach. – Rye nam pomoże.

– Jesteś pewien, że możemy mu ufać? – pytam.

– Zaufałem Lucienowi, kiedy powiedziałaś, że bym to zrobił – przypomina ostro. – Stać cię na to samo?

– Oczywiście – zapewniam, starając nie dać po sobie znać urazy.

Ash wzdycha.

– Spróbujmy się przespać. Wszyscy tego potrzebujemy.

Kiedy wpełzam pod kołdrę, Raven kładzie mi policzek na ramieniu. Zapadam się w miękkie poduszki. Od tak dawna nie spałam w prawdziwym łóżku, że po kilku sekundach odpływam.

Wczesnym porankiem budzi mnie dźwięk przyciszonych głosów.

– ... był przypadek – mówi Ash. – W ogóle nie powinno jej być w tym skrzydle pałacu.

– No więc kiedy zrozumiałeś? – pyta Rye.

– Nie jestem pewien. – Ash waha się przez chwilę. – To trudno wyjaśnić, ale kiedy już ją zobaczyłem, nie mogłem... Nie mogłem jej odzobaczyć? Jakoś tak. Nie wiem, czy to ma sens. Zabawne, ale przecież właściwie ich nie widzimy, prawda? To znaczy surogatek. A ona nagle stała się osobą, tą bystrą piękną dziewczyną, którą wszyscy podle traktowali. Gdybyś usłyszał, jak gra na wiolonczeli, Rye... Słuchanie jej jest jak podróż do innego świata. To dzięki niej znów poczułem się człowiekiem. Sprawiała, że zapragnąłem rzeczy, o których myślałem, że nie są dla mnie.

– Fajnie musi być puknąć kogoś w twoim wieku, kto nie należy do służby. – Rye parska cicho.

– Nie bądź wulgarny – zwraca mu uwagę Ash. – To do ciebie nie pasuje.

– Nie widziałeś mnie od kilku miesięcy, nie masz pojęcia, co mi pasuje – odszczekuje Rye.

– Ćpanie błękitka? O to ci chodzi?

Słyszę ciężkie westchnienie i skrzypienie sprężyn w łóżku.

– Mało tu nie oszalałem. Emory nie żyje. Miles lata tak nawalony, że niedługo go napiętnują i wykopią na ulicę. Jig też już wacha kwiatki od spodu. Trac chlasta się w widocznych miejscach. Birch jest coraz starszy. Ty prysnąłeś. Kto mi został?

Cisza zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

– Emory nie żyje? – pyta wreszcie Ash.

– Trup nieboszczyk.

– Ale on zawsze był taki...

– Wiem. – Głos Rye'a brzmi głucho.

– Nie miałem zamiaru tak cię zostawiać – mówi Ash.

– Nie zachowuj się, jakbyś był odpowiedzialny za problemy wszystkich wokół, dobra? Dokonuję własnych wyborów. Ty też.

– Nikt z nas nie wybrał sobie takiego życia, Rye.

– Oczywiście, że to zrobiliśmy.

– Kłamstwa, szantaż i łapówki nie mają nic wspólnego z wyborem. Gdybyś wiedział, jak naprawdę wygląda życie towarzysza, wciąż powiedziałabyś „tak”?

– Musiałbym. – mówi twardo Rye. – Jeśli ktoś o tym wie, to właśnie ty. Moja rodzina potrzebowała pieniędzy.

– No właśnie. Nie dali nam żadnej innej opcji.

– Nie widzę sensu w takim podejściu do sprawy.

– Ja też nie widziałem, dopiero Violet uświadomiła mi kilka rzeczy. Surogatki też nie mają żadnego wyboru. A jednak traktowałem je przedmiotowo. Ba! Traktowałem je jak meble, nieistotne dodatki. Do głowy mi nie przyszło, że to żywe kobiety. Byłem równie paskudny jak arystokracja, której tak bardzo nienawidziłem. – Ze świstem wypuszcza z płuc powietrze. – Nie chcę być taki jak oni. I nie będę.

– To dokąd się wybieracie? – rzuca Rye po chwili milczenia. – Naprawdę myślisz, że istnieje w Samotnym Mieście bodaj jedno miejsce, w którym arystokracja was nie dosięgnie? Żeby to był jakiś podrzędny dom, ale zadarłeś z jednym z Domów Założycieli! Nie mogłeś zakochać się w surogatce

należącej do kogoś mniej znaczącego?

Wyobrażam sobie, jak Ash przewraca oczami.

– Ktoś... Ktoś nam pomaga. Ktoś, komu możemy zaufać, nawet jeśli serdecznie tej osoby nie znoszę.

Rye chichocze.

– Zazdrosny?

– Nie bardzo. – Coś w tonie głosu Asha mówi mi, że kłamie. Ale... To przecież nie ma sensu.

Dlaczego miałby być zazdrosny o Luciena?

– Cała ta sprawa jest dziwaczna – oznajmia Rye. – Twoja ucieczka to temat numer jeden i trąbią o niej we wszystkich gazetach, ale o niej, o surogatce, nikt się słowem nie zająknie. Żadnych plotek, żadnych niedomówień. Nic, głucha cisza. Ty zostałeś gwiazdą, a twoja dziewczyna... Kurczę, chodzi mi o to, że wasza historia to naprawdę byłoby coś.

– Też się nad tym zastanawiałem – przyznaje Ash. – Diusza jest makabrycznie inteligentna i nie mniej ambitna. Jeśli ukrywa nieobecność Violet w Klejnocie, na pewno ma po temu powód.

Dokładnie w tej chwili Raven gwałtownie siada na łóżku. Wszyscy podskakujemy.

– Ktoś idzie – syczy.

Ash natychmiast podrywa się na nogi.

– Do łazienki – rozkazuje.

Pospiesznie wyłazimy z Raven spod kołdry i, pozostawiając po sobie bałagan, zmykamy do sąsiedniego pomieszczenia. Ash pośpiesznie ścieli łóżko, a Rye patrzy na całą scenę ze zmieszonym wyrazem twarzy.

– Co się dzieje? – pyta powoli.

– Jeśli Raven mówi, że ktoś idzie, to ktoś idzie – oświadcza Ash. Wygładza kapę i dołącza do nas w łazience. – Nie ma nas tutaj – ostrzega Rye'a i zamyka za sobą drzwi.

Raven włączyła do wanny i zwinęła się w kłębek obejmując kolana rękoma. Przysiadam na krawędzi. Ash opiera się o drzwi łazienki. Przykłada palec do ust. Gdy kiwam głową, gasi światło.

Słyszemy, jak drzwi sypialni otwierają się, a Rye zwleka się z łóżka.

– Dzień dobry, Madame.

– Dzień dobry, panie Whitfield. – Głos jest jak obleczony warstwą miodu sztylet, słodki i ostry zarazem. Ash osuwa się na podłogę i ukrywa twarz w dłoniach. Nie mogę się powstrzymać, klękam koło niego i zaglądam przez dziurkę od klucza.

Na początku widzę jedynie zabałaganioną toaletkę Rye'a i pasiastą sofę pod oknem. Po chwili w polu mego widzenia pojawia się kobieta i siada na kanapie, dokładnie naprzeciwko mnie.

Nie sposób powiedzieć, ile ma lat. Na twarzy nosi grubą warstwę makijażu i, choć jest on staranny, mam dziwne wrażenie, że jej rysy zostały w pewien sposób odmienione, a skóra naciągnięta, by ukryć zmarszczki. Kobieta ma lekko skośne, kocie oczy. Jej ciało opina satyna, z szyi i uszu zwieszają się perły. Jest postawną kobietą, ale nie w taki sposób jak Hrabina Kamienia. Była pani Raven jest po prostu tłusta, a Madame Curio zdaje się składać z samych krągłości, dużych piersi i szerokich bioder. Coś podpowiada mi, że wiele już w życiu widziała.

– Czy w pełni wydobrzała pan już po pracy dla Pani Dolin, panie Whitfield? – pyta. – Wiem, że spełnianie jej zachcianek wymaga wielkiej kondycji.

– To była przyjemność, Madame. Tak, czuję się już dobrze, dziękuję za troskę.

Nie widzę Rye'a i gdybym go wcześniej nie słyszała, uwierzyłabym w jego słowa. Madame Curio uśmiecha się.

– Miło mi to słyszeć. Mam dla pana nowego klienta. Tak naprawdę posłano właśnie po pana.

– Jestem zaszczycony, Madame. Kim jest ta młoda kobieta, która potrzebuje mojej asysty?

Uśmiech Madame Curio staje się szerszy.

– Carnelian Silver z Domu Jeziora.

Na krótką chwilę zamiera mi serce. Madame Curio przesuwa palcem po policzku uważnie przyglądając się Rye'owi.

– Diuszesa zażyczyła sobie ciebie i tylko ciebie. Dom Założycieli, kto by pomyślał... Imponujące. Miejmy nadzieję, że nie zmarnujesz tej szansy jak twój były współlokator.

– Oczywiście, że nie, Madame.

– Nie życzę sobie słuchać, że z mojej sztuby wychodzą gwałciciele i zdrajcy.

– Nie, Madame, na pewno nie. Z chęcią spotkam pannę Silver. Jestem pewien, że cudownie spędzimy razem czas.

Kobieta wydyma uszminkowane usta.

– Podejdz do mnie – rozkazuje.

Rye pojawia się w moim polu widzenia. Wciąż jest nagi od pasa w górę. Mięśnie jego pleców poruszają się, gdy idzie w kierunku sofy. Madame Curio prostuje się i przesuwa dłonią po jego piersi.

– Bardzo ładnie – mówi. Jej ręka opada niżej. – Hmm... – mruczy po kilku sekundach. – Przyjdz do mojej komnaty dzisiaj o szóstej. Upewnimy się, że jesteś gotowy na to zlecenie.

– Tak, Madame.

– Wcześniej zgłoś się do doktora Lane na standardowe badania.

– Oczywiście, Madame.

Kobieta podnosi się z wdziękiem, który przypomina mi Diuszese. Porusza się jak arystokratka.

– Dobry chłopiec – rzuca, poklepując Rye'a po policzku, a potem znika mi z oczu. Słyszę, jak drzwi otwierają się i zamykają. Rye tkwi przez chwilę w bezruchu, po czym rusza w kierunku łazienki. Odskakuję, nim otwiera drzwi.

– Chyba zostałem twoim zastępcą – mówi.

– Ona wie – szepce Ash, patrząc na niego z podłogi zbolałym wzrokiem. – Wie, że coś cię ze mną łączy. Robi to, żeby mnie znaleźć. Żeby znaleźć Violet.

– I co niby miałbym jej powiedzieć? – pyta trzeźwo Rye. – Przecież nie mam pojęcia, dokąd się udajecie.

– Ale widziałeś nas. Razem. I widziałeś Raven.

Raven gwałtownie unosi głowę.

– Nie możesz jej powiedzieć – oświadczają. – Ona nie może wiedzieć, że żyję.

– Moglibyście wszyscy na moment się ode mnie odpieprzyć? – warczy Rye. – Nie zapraszałem was tutaj. Nie powiedziałem: Och, jasne, pakujcie się w moje życie i zróbcie w nim burdel.

Ash podnosi się.

– Masz rację. Powiesz, nie powiesz, twój wybór. Ale na pewno miała jakiś powód, żeby zażyczyć sobie właśnie ciebie. Nie wiem kiedy i nie wiem jak, ale w pewnej chwili wypyta cię o mnie.

Kącik ust Rye'a unosi się w uśmiešku.

– Zawsze wzorowy uczeń, nie? Najgorętszy towar w Klejnocie. – Potrząsa głową. – No dobra, znajdziemy jakieś miejsce bezpieczniejsze niż ten pokój. W tej chwili wszyscy powinni być na śniadaniu.

Raven wygrzebuje się z wanny i bardzo ostrożnie podchodzi do Rye'a. Chwyta go za nadgarstek i mierzy ostrym, przeszywającym spojrzeniem.

– Jesteś przerażony – oznajmia. – To dobrze. Powinieneś być.

Puszcza go i znika w sypialni. Rye unosi brew.

– Nie jestem przerażony – mówi.

Wymieniamy z Ashem porozumiewawcze spojrzenia, ale nie odzywamy się ani słowem.

Rye upewnia się, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo, po czym we czworo zbiegamy ze schodów i wychodzimy z budynku tymi samymi drzwiami, którymi weszliśmy do niego minionej nocy.

W świetle dnia teren sztuby jest nawet ładniejszy. Cienka warstwa szronu sprawia, że kamienie, którymi wysypano ścieżki, lśnią niczym diamenty. Ubraliśmy się ciepło i owinęliśmy się szalami, chłód więc nam nie przeszkadza, jednak i ja i Raven nosimy buty Asha, do których wepchnęliśmy dodatkowe skarpety, by nie spadły nam z nóg. Ciężko chodzić w zbyt wielkim obuwiu. Kołyszymy się jak kaczkę i w innych okolicznościach pewnie by mnie to rozbawiło.

Trzymamy się blisko ścian, okna dormitoriów zdają się śledzić mnie jak martwe oczy. Niebawem dostrzegam większy budynek, z jednej strony porośnięty bluszczem. Do wielkich dębowych drzwi prowadzą eleganckie kamienne schody.

Kawałek dalej, gdzieś na samej granicy terenu sztuby, nieopodal muru, stoi smukły czarny pociąg. Jest niewielki, mniejszy nawet niż ten, którym jechałam na Aukcję. Do lokomotywy doczepiono tylko jeden wagon. Z komina biją w niebo kłęby dymu, jakby pociąg szykował się do odjazdu.

– Oto i jest – mówi Ash.

– Dziwne. Może w ostatnim momencie ktoś zmienił plany. Wychodzi na to, że los wam sprzyja – zastanawia się Rye. – Nie ma mowy, żeby jechał do Klejnotu. Ja nie będę gotów wcześniej niż jutro, po wizycie u doktora i po tym, jak Madame będzie łaskawa ze mną skończyć. To musi być kurs do niższych kręgów. – Poklepuje po ramieniu Asha. – Lepiej wsiadajcie, póki wszyscy są na śniadaniu.

Na wzmiankę o jedzeniu mój żołądek zaczyna niepokojąco burczeć.

– Dzięki, Rye – mówi Ash, potrząsając dłonią kolegi. – Naprawdę. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

– Prawdopodobnie pomaszzerowalibyście na szafot – stwierdza Rye i uśmiecha się krzywo. – Wisisz mi przysługę.

– Prawda – zgadza się Ash bez cienia zaskoczenia w głosie. – Uważaj na siebie w Pałacu Jeziora. Proszę. Nie musisz się martwić klientką, nie interesują jej towarzysze. Ale nigdy, pod żadnym pozorem, nie mów Carnelian, że mnie znasz. Pewnie cię o to zapyta. Musisz kłamać.

– No cóż, nie powiem, żeby to była miła odmiana.

Ash uśmiecha się bez wesołości.

– Przepraszam.

– Przestań – protestuje Rye. – To nie twoja wina. Nie zachowuj się, jakbyś dźwigał na swoich barkach los wszystkich towarzyszy. Wiesz, że tak nie jest.

– Wiem.

– I uważaj na siebie – dodaje.

– Mam taki zamiar.

– Dziękuję – mówię do Rye'a. Kiwa mi głową.

– Zabawne – zauważa. – Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej słyszałem, by surogatka się odzywała.

Nie jestem pewna, co mogłabym odpowiedzieć. Rye raz jeszcze spogląda na Asha, a potem odwraca się i odchodzi.

Biegniemy w stronę stacji. Dostrzegam tabliczkę z napisem: „SZTUBA MADAME CURIO”. Tuż obok jest niewielki budynek dworca. Raven ciągnie mnie w tamtą stronę. Ash idzie za nami. Obydwoje nauczyliśmy się bezwarunkowo ufać Raven. Kilka chwil później z pociągu wysiada dwóch Gwardzistów.

– Czysto – mówi jeden z nich, rozglądając się po peronie.

– Musieliby oszaleć, żeby się tu zjawić – komentuje drugi, po czym obydwaj ruszają w stronę budynków sztuby.

Jeszcze mocniej przyciskamy się do ściany stacji.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego musimy brać podwójne zmiany z okazji tego towarzysza – narzeka jeden z mężczyzn. – Przecież nie zgwałcił Diuszesy.

– Lepiej, żeby cię major nie usłyszał – zwraca mu uwagę kolega. – Wykopie cię na służbę do Bagna, nim zdążysz powiedzieć: Dom Założycieli.

– Tak, tak. Zobaczmy lepiej, czy otwarto już kuchnie. Umieram z głodu.

Czekamy, póki nie cichną odgłosy ich kroków i nie zapada cisza.

– Idziemy – szepce Ash.

Pospiesznie wbiegamy po schodkach na peron. Ash otwiera drzwi i gestem pokazuje, byśmy jak najszybciej skryły się we wnętrzu wagonu.

W przeciwieństwie do pociągu jadącego z Bramy Południowej, tutaj są schludne rzędy siedzeń, wszystkie zwrócone w tym samym kierunku. W oknach wiszą zasłony, a podłogę wyłożono zieloną wykładziną.

– Gdzie mamy się schować? – pytam.

Ash zatrzymuje się przy trzecim rzędzie.

– Tutaj – odpowiada. Przykuca i rozlega się kliknięcie. Nagle cały rząd siedzeń unosi się, odkrywając podłużną prostokątną dziurę w podłodze. – Zmieście się tu obydwie. Druga skrytka jest pod szóstym rzędem. Tam ja się schowam. Miejmy nadzieję, że ktokolwiek podróżuje tym pociągiem, niedługo wyjeżdża.

– I miejmy nadzieję, że chce się dostać na Farmę – dodaje. Spoglądam na dziurę i wstrząsa mną dreszcz. Aż za bardzo przypomina świeżo wykopany grób. – Chyba wolałam bagażnik samochodu Garneta – wzdycham.

– Przynajmniej nie jesteśmy w kostnicy – odparowuje Ash.

Schodzę na dół. Skrytka okazuje się nieco głębsza niż myślałam. Wyciągam rękę po Raven, która zbladła na widok dziury. Nawet usta ma sine.

– Obiecuj mi coś, Violet – szepce. – Jeśli zejdem na dół, to na pewno stąd wyjdę.

– Obiecuję – mówię.

Pomagam jej zejść. Kładziemy się obydwie. Zaskakujące, ale nawet nie jest specjalnie ciasno.

Ash przygląda się nam ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Zachowujcie się jak najciszej – prosi. – Wyciągnę was stąd, gdy tylko dotrzemy do... Ech, gdziekolwiek dotrzemy.

Nie mogę zrobić nic więcej, a żadne słowa nie wydają się odpowiednie. Jedyne, co nam zostało, to kurczowo trzymać się nadziei, że ten szalony plan zadziała. Ash opuszcza siedzenia i nagle toniemy z Raven w głębokich ciemnościach.

Po dłuższej chwili moje oczy zaczynają przyzwyczajać się do mroku. Przez deski drewnianej podłogi do kryjówki przesącza się szare światło.

– Violet? – szepce Raven.

– Tak?

– Myślisz, że tam, gdzie mamy się udać, że tam... Myślisz, że znajdziemy kogoś, kto da radę mnie naprawić?

Rysy jej twarzy są niewyraźne, rozmyte przez cienie. Chciałabym powiedzieć jej, że przecież wszystko z nią w porządku. Chciałabym zapewnić, że na pewno jest jakiś sposób, żeby odczynić to, co uczyniła Hrabina. Ale nie mogę kłamać.

Na wargi Raven wypływa smutny uśmiech.

– Tak myślałam – mruczy, owijając wokół palca zbłąkany kosmyk włosów. – Emile powiedział mi, że byłam najsilniejszą z surogatek, jaką kiedykolwiek spotkał. Tylko ja przetrwałam inseminację. – Drugą

dłoń kładzie na brzuchu.

– Emile był twoją dwórką? – upewniam się. Przytakuje. – No cóż, miał rację. Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam. A poza tym Lucien to prawdziwy geniusz, może on znajdzie sposób, żeby ci pomóc.

– Musi mu na tobie bardzo zależeć.

– Przypominam mu kogoś, kogo kiedyś znał – wyjaśniam. – Jego siostrę. Była surogatką i umarła.

Przez chwilę milczymy.

– Umarła przy porodzie? – pyta Raven.

– Właściwie to nie wiem. – Wracam pamięcią do Balu Najdłuższej Nocy, kiedy to Lucien przyłapał nas razem z Ashem i wyznał mi prawdę na temat surogatek. Wciąż pamiętam jego słowa.

Miałem siostrę. Azaleę. Była surogatką. Próbowałem jej pomóc, próbowałem zachować ją przy życiu i przez jakiś czas mi się to udawało. Aż wreszcie zawiodłem.

Nigdy nie wyjaśnił mi dokładnie, co się wydarzyło.

– Jeśli urodzę to dziecko, umrę, prawda? – mówi cicho Raven.

Zaciska mi się gardło.

– Tak.

– Tak – powtarza. – Wiem o tym. Czuję.

Za nic w świecie nie chcę myśleć o tym, że nad głową Raven wisi wyrok śmierci. Ciasno obejmuję się ramionami, jakby w jakiś sposób mogło uchronić mnie to przed rozpadnięciem się na kawałeczki.

Sekundę później słyszemy kliknięcie i drzwi pociągu się otwierają.

Zamieramy w bezruchu. Nad nami ktoś idzie.

– Zdecydowanie za wcześnie – oznajmia jakiś mężczyzna. Jego słowa są oschłe, a w głosie pobrzmiewa pewność siebie kogoś, kto otrzymał świetną edukację.

– Przyniosłem kawę, proszę pana – odpowiada mu ktoś młodszy.

– Wspaniale.

– A tu jest gazeta.

Drewno skrzypi, gry podróżny siada na ławce. Szelestowi gazety towarzyszy aromat świeżo nalewanej kawy.

– Paskudna historia – rzuca nagle nieznajomy. – Madame Curio była wstrząśnięta, gdy o tym usłyszała. No cóż, muszę przyznać, że ja również przeżyłem szok. Ash Lockwood gwałcicielem surogatki? Sam szkoliłem tego młodego człowieka. Był znakomity w swoim fachu, jeden z najlepszych towarzyszy na rynku.

– Może to jakieś nieporozumienie, panie Billings – sugeruje młodzieniec.

Rozlega się ogłuszający świst gwizdka i pociąg z szarpnięciem rusza.

– Nonsens – mruczy pan Billings. – Nie nam kontestować oficjalne stanowisko jednego z Domów Założycieli.

– Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana. – Głos milknie na chwilę. – Myśli pan, że rodzina pana Lockwooda wywiąże się z umowy? To znaczy, chciałem zapytać, czy jest pan pewny, że on do nich pojedzie?

Słyszę jak serce Raven łomocze w tym samym rytmie, co moje.

– Och, do licha, Red, a gdzie miałyby się udać? Nie mam pojęcia, jakim cudem tak długo wymyka się obławie, jeśli nie liczyć tej katastrofy na placu targowym, kiedy Gwardziści dali popis niekompetencji. Nie, chłopcze, nie mam wątpliwości, że Ash Lockwood zjawi się niebawem w domu. A z tego, co wiem na temat jego ojca, śmiem przypuszczać, że z wielką radością wyda swojego kłopotliwego syna, by ocalić umierającą córkę.

Cinder!

Myślę o Ashu leżącym samotnie w kryjówce pod szóstym rzędem. Na pewno zna pana Billingsa. Ciekawe, czy zna również młodego Reda. Ash nie opowiadał zbyt wiele o swoim ojcu, ale to, co wyjawiał, pasuje do słów pana Billingsa.

Tyle tylko, że Ash nie wraca do domu.

A Cinder umiera.

Pan Billings musi być strasznie zafascynowany gazetą, bo przez długi czas w wagonie panuje absolutna cisza. Od ciągłego napięcia bolą mnie mięśnie. Obydwie z Raven boimy się nawet drgnąć. Mam wrażenie, że plecy i ramiona płoną mi żywym ogniem. Pociąg jedzie ze stałą prędkością i zatrzymuje się tylko raz, gdy dojeżdża do masywnych wrót dzielących Bank od Dymu. Słyszę, jak potężna konstrukcja otwiera się z głośnym pomrukiem. Niemal staje mi serce, gdy nagle w przedziale rozlega się tupot ciężkich butów.

– Dzień dobry panu – mówi głębokim głosem Gwardzista.

– Dzień dobry – odpowiada spokojnie pan Billings.

Słysząc skrobanie pióra na papierze.

– Jedzie pan do Dymu?

– Zgadza się.

– Tylko pan i ten młody mężczyzna, tak?

– Tak. Ten pociąg został przeszukany przez pańskich kolegów, jeszcze zanim opuścił sztabę.

Gwardzista przemaszerowuje przez wagon tam i z powrotem, dwukrotnie mijając miejsce, w którym leżymy z Raven, zbyt przerażone, by oddychać.

– Dobrze, proszę pana – mówi Gwardzista i wychodzi.

Drzwi się zamykają.

Kiedy pociąg rusza ze stacji, wypuszczam z płuc powietrze z pełnym ulgi westchnieniem.

Udało nam się dotrzeć do Dymu. Został jeszcze jeden krąg.

Gdy pociąg wreszcie staje, jestem u skraju wytrzymałości.

Spięte mięśnie krzyczą w agonii, a podstawa głowy pulsuje tęnym bólem podobnym do tego, który towarzyszy używaniu Augurii.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – oznajmia Red. Deski podłogi skrzypią, gdy rusza ku wyjściu z wagonu.

– Tak, tak, zauważyłem – odpowiada pan Billing. – Weź, proszę, moją walizkę. Powóz już powinien na nas czekać. Szkoda, że nie mogliśmy użyć głównego terminalu, byłoby znacznie bliżej, o tej porze dnia są koszmarnie korki. Mam nadzieję, że wrócimy do Banku przed lunchem, po każdym pobycie w Dymie mam paskudny kaszel. Wziąłeś ze sobą tabletki?

Nie słyszę odpowiedzi Reda, zresztą niezbyt mnie ona frapuje. Jadą do Banku? A co z Farmą?

Obydwaj mężczyźni wysiadają z pociągu. Tkwimy z Raven w bezruchu.

– Co teraz zrobimy? – szepczę.

Podłoga nad naszą kryjówką podnosi się ze zgrzytem. Mrugam gwałtownie, bo jasne światło razi moje oczy. Wreszcie, po kilku chwilach, dostrzegam górującą nad nami sylwetkę Asha.

Twarz ma jak wyciosaną z kamienia, a jego oczy płoną. Podaje mi rękę. Kiedy ją chwytam, bez słowa wyciąga mnie z kryjówki. Nogi uginają się pode mną i upadam na podłogę. Mam wrażenie, jakby w moje ciało wbijały się tysiące igieł. Rozmasowuję mięśnie, krzywiąc się, gdy znów zaczynam czuć napływającą krew. Raven siada ciężko obok mnie.

– Co teraz robimy? – powtarzam. – Ten pociąg nie jedzie na Farmę.

– Może schowamy się na stacji – proponuje Raven. – Poczekamy na następnym.

– On ją zabija – odzywa się nagle Ash głosem równie zimnym jak jego twarz. Nigdy wcześniej takim go nie widziałam. Przeraza mnie. – Wiecie, ile pieniędzy wysłałem przez te lata rodzinie? Dość, żeby starczyło dla Cinder na kilka lat.

– Myślisz, że arystokracja je zabrała? – pytam.

– Nie. – Ash zaciska dłonie w pięści. – Myślę, że mój ojciec zrobił dokładnie to, czego się obawiałem. Zagarnął pieniądze dla siebie.

Ash nigdy nie opowiadał wiele o swoim ojcu. W trakcie jednego z tych skradzionych popołudni spędzonych w jego komnatach w Pałacu Jeziora, wspomniał, że nie byli sobie bliscy. Wyczułam wtedy w jego tonie, że to coś więcej niż brak ciepłych uczuć. Niechęć. Gniew. Może nawet nienawiść. Ojciec Asha zdecydowanie wolał pozostałych dwóch synów, bliźniaków Ripa i Panela. Byli głośni i twardzi, Ash natomiast cichy i wycofany.

Ale czy naprawdę pan Lockwood byłby zdolny poświęcić syna dla pieniędzy?

– Ash Lockwood?

Dźwięk imienia Asha sprawia, że wszyscy zastygamy. W drzwiach pociągu pojawia się drobna, usmarowana sadzą twarz.

– To naprawdę ty! Czarny Klucz powiedział, żebym miał oko na wszystkie pociągi przyjeżdżające do Dymu, ale nie wierzyłem, że serio się tu pojawisz! – Ach, a więc organizacja Luciena ma swoich ludzi również w tym kręgu. – Kapitalny pomysł z włosami. A jak udało ci się wyminąć Gwardzistów?

Chłopiec, który pakuje się właśnie do wagonu, ma może ze dwanaście lat. Przykrótkie spodnie kończą mu się parę centymetrów nad kostkami, a kurtka jest tak przetarta na łokciach, że widać przez nią materiał

cienkiej koszuli. Skórę może mieć o odcień ciemniejszą niż Raven, ale pewna nie jestem, bo całą twarz usmarowaną ma popiołem i sadzą. Poplątane czarne włosy są tak długie, że wpadają mu do oczu.

Ale wspomniał o Czarnym Kluczu.

– Pokaż mi klucz – żądam.

Podciąga rękaw kurtki i odsłania nasmarowany węglem po wewnętrznej stronie łokcia znak.

– Jesteś 197, nie? – rzuca, patrząc na mnie z ciekawością.

– Nazywam się Violet – mówię. – Jesteś tu, żeby nam pomóc?

– No pewnie, że tak. Możecie mówić mi Złodziej – oświadcza z szerokim uśmiechem. – Czarny Klucz mówi, że fałszywe imiona są bezpieczniejsze, a poza tym to prawdziwe mam strasznie durne, więc dla mnie to lepiej. Serio pomożesz obalić szlachtę? Czarny Klucz twierdzi, że masz jakieś supermoce. Mogę zobaczyć?

Jego entuzjazm sprawia, że nie umiem się nie uśmiechnąć.

– Nie w tej chwili – odpowiadam.

– No jasne. Teraz są ważniejsze rzeczy. – Złodziej odsuwa włosy z oczu. – Muszę was zabrać na główny dworzec, bo chyba znaleźliśmy pociąg, który jedzie na Farmę. Ale... No, nie możecie wyjść w tych ciuchach. Poczekajcie tutaj.

Zanim ktokolwiek z nas zdoła o coś zapytać, chłopak znika.

– Kim jest Cinder? – pyta Raven.

Wyjaśniam jej pospiesznie, o co chodzi z siostrą Asha.

– Rozumiem – mówi powoli, patrząc na niego. – Chcesz swojego Dnia Obrachunku. Chcesz się z nią pożegnać.

– Ash – szepczę łagodnie. – Nie możesz... Nie możemy do niej iść.

– Wiem – oznajmia krótko, po czym siada na jednej z ławek. – Miałem ją ocalić. Zawiodłem.

– To nieprawda – sprzeciwiam się. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, jedyne, co mogłeś.

– A gdyby to Hazel umierała? – pyta. – Uwierzyłabyś, gdybym powiedział ci, że dałaś z siebie wszystko?

Na myśl o śmierci siostry robi mi się słabo.

– Nie wiem – kłamię.

– Nie martw się, Violet, wiem, o co chodzi – stwierdza sucho. – Nie mogę pożegnać się z siostrą ani stanąć oko w oko z ojcem, choćby po to, by powiedzieć mu, jakim jest egoistycznym gnojem. A można by myśleć, że przyzwyczailem się już do tego, że to inni mówią mi, co mam robić.

– Nie mówię ci, co masz robić – oponuję. – Ale gdyby nawet udało ci się dotrzeć do domu i zobaczyć siostrę... Ash, to samobójstwo. Tego chciałaby Cinder? Żebyś umarł?

– Dość! – Słowo brzmi jak szczenięcie. – Nie mów mi, czego by chciała, a czego nie. Nie teraz, gdy jestem tak blisko niej. – Wygląda przez okno pociągu. – Ostatni raz byłem tu, gdy zabierali mnie do Banku. Pamiętam, że pomyślałem, że w życiu nie widziałem niczego tak czystego jak ten pociąg. Niemal błyszczał. W tym kręgu nic nie błyszczy... No, może pył węglowy, gdy zetnie mróz.

Ash wykrzywia usta i przez ułamek sekundy obawiam się, że zacznie płakać. Wtedy wraca Złodziej.

– No dobra... – zaczyna i milknie gwałtownie, widząc minę Asha. – Och! Co się... Wszystko w porządku?

– Jego siostra tu mieszka – wyjaśnia Raven. – Umiera.

– Oj. – Złodziej patrzy na Asha współczująco. – Czarne płuco?

Ash przytakuje.

– Mój najlepszy kumpel zszedł był na to w zeszłym roku – mówi chłopak. – Nawet nie pracował jeszcze w fabryce. Złapał to od powietrza, starczy nim oddychać. A szlachta... No, szlachta na pewno nie

da lekarstwa jakiejś sierocie, nie? To nie w porządku. Trzymają nas tu jak zwierzęta w klatce. Urodziłeś się tu, to tutaj zostaniesz, koniec i kropka.

– Nie zawsze – mruczy Ash.

– A zapytali cię, czy chcesz być towarzyszem? – pyta Złodziej.

Ash krzywi się.

– Nie.

– No właśnie. Po prostu zabierają, co chcą. I nigdy nie mają dość.

– A tobie co zabrali?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Rodziców.

– Przykro mi – mówi Ash.

– Nawet ich nie pamiętam... Poza tym musimy stąd spadać. Wysmarujcie sobie twarze. – Wyciąga ku nam pełne sady ręce.

Sadza jest delikatna jak aksamit, ale gdy wcieram ją w policzki, odruchowo marszczę nos. Cuchnie przeraźliwie kreozotem i smołą. Z trudem powstrzymuję kichanie.

– Macie jakieś nakrycia głowy? – pyta Złodziej mnie i Raven. Obydwie wyciągamy wełniane czapki, które zabrałyśmy z pokoju Asha w sztabie. – Dobrze. Schowajcie włosy.

– W jaki sposób trafiłeś do Czarnego Klucza? – pytam, upychając kok z ukrytymi w nim Arkanami pod szorstką wełną.

– Jestem najlepszym kieszonkowcem w tej części Dymu – odpowiada z dumą. – Ukradłem coś, czego chciał. Był pod wrażeniem.

– Spotkałeś go? – Lucien strasznie ryzykuje, jeśli ujawnia swoją tożsamość tak wielu ludziom.

– Och, nie! – Złodziej energicznie potrząsa głową. – Nikt nie widział Czarnego Klucza. Zawsze porozumiewa się za pomocą listów, szyfrów i innych ludzi. Do organizacji wciągnęła mnie Krawcowa. Czasem daje mi jedzenie. W bidulu zawsze jest go za mało. – Przygląda nam się krytycznie. – No dobra, możemy iść.

– Lubię go – szepce do mnie Raven, gdy wysiadamy z pociągu.

– Garbcie się i patrzcie w ziemię – poleca nam Ash. – Nie będziemy się wyróżniać.

Wbijam oczy w zniszczoną drewnianą platformę pod stopami. Liczę schody. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem... Powietrze jest gęste i sprawia wrażenie, jakby można je było żuć. Wydaje się kwaskowe, cierpkie i ma taki sam zapach, jak pył na naszych twarzach i ubraniach. Teraz rozumiem słowa Złodzieja o tym, że można nabawić się choroby, po prostu nim oddychając. Kiedy wchodzimy na chodnik, nie jestem w stanie utrzymać pochylonej głowy. Nagle znajdujemy się w maglu ciał, znoszonych butów, połatanych spodni i szarych, opuchniętych twarzy. Niektórzy mieszkańcy tak jak i my, są brudni od wszechobecnej sadzy. W oczach widać ogromne zmęczenie. Inni wyglądają czyściej, bardziej energicznie, ich dzień pracy dopiero się zaczyna. Myślę o ojcu, o tym, jak jeździł na noc do Dymu i, wyczerpany, wracał wczesnym porankiem.

Pamiętam ten krąg z mojej podróży pociągiem na Aukcję. Pamiętam wysokie kominy rzygające dymem w różnych odcieniach szarości, zieleni, czerwieni i zgniłej purpury. Pamiętam przyćmione, mętne światło i ulice pełne ludzi. Ale wtedy to była chwila, zaledwie część niezwykłej podróży. Bycie tutaj, a nie w schludnym wagonie, to coś zupełnie innego. Czuję odór smaru i słyszę ciche rozmowy. Ciągłe ktoś na mnie wpada i muszę się bardzo pilnować, by trzymać się blisko Asha i Raven, a także, by nie stracić z oczu Złodzieja. Chłopak jest mistrzem lawirowania w ciżbie. Wymija ludzi z taką łatwością, że czasami przez kilka upiornych sekund nie mogę go dostrzec.

Ulica, którą maszerujemy, jest szeroka, wyłożona kostką brukową. Przez sam środek bieżą tory. Po

obydwu stronach znajdują się fabryki, wysokie budynki o nagich oknach z kominami wbijającymi się w zakryte chmurami niebo. Poruszamy się wraz z tłumem – co chwila jakaś grupa ludzi odrywa się od głównego nurtu i kieruje do jednego z żelaznych kolosów. Zazwyczaj towarzyszą temu okrzyki i przepychanki.

Nagle rozlega się głośne podzwanianie i ludzka rzeka wstrzymuje swój bieg. Złodziej również nieruchomieje. Wpadam na Asha, a Raven na mnie. Stoimy niedaleko drewnianego znaku z wielkim czerwonym numerem 27. Tuż pod napisem wisi plakat, z którego patrzy na mnie twarz Asha.

POSZUKIWANY. ZBIEG.

Rozglądam się wokół nerwowo, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Cieszę się, że jesteśmy brudni.

Dzyń. Dzyń. Dzyń.

W naszą stronę jedzie tramwaj.

– Fabryki żelazne i zakłady ciesielskie wschodniego kwartału! – krzyczy konduktor.

Tramwaj jest chyba najczystsza rzeczą, jaką widziałam w Dymie. Pomalowany na radosny czerwony kolor stanowi absurdalne wręcz tło dla tłoczących się w nim ludzi. Konduktor ma na sobie elegancki mundur i czarną czapkę. Na froncie pojazdu wisi tabliczka z dużym napisem TRAMWAJ NUMER 27. Niżej, eleganckim krojem pisma napisano: TRANSPORT MIEJSKI DLA PRACOWNIKÓW DYMU.

Trzymając się blisko Złodzieja, wsiadamy do wagonu i łapiemy za zwisające z sufitu uchwyty. Tramwaj jest wypakowany po brzegi, wszystkie siedzenia są zajęte i w środku panuje ścisk. Podejrzewam, że mogłabym niczego się nie trzymać, ściana ciał i tak powstrzymałaby ewentualny upadek. Jedna z kobiet cały czas kaszle w chusteczkę. Biały materiał upstrzony jest plamami krwi. Nikt nam się nie przygląda. Nikogo nie obchodzimy. Mam wrażenie, że w kwaśnym powietrzu unosi się poczucie porażki. Jej gorzka woń zabija nawet odór fabryk.

Czy to właśnie było życie Asha? Tak dorastał? Czy los towarzysza był aż taki zły w porównaniu z tym, co czekało go tutaj? Myślę o Bagnie, o jego cuchnących po deszczu ulicach, o głodnych, wychudzonych dzieciach i wszechobecnym brudzie. Gdyby Ash zobaczył, gdzie mieszkałam, może również uznałby, że w pałacu Diuszesy było mi lepiej. Ale przecież nie chodziło o to, jak kręgi wyglądały... Chodziło o ich serca. Każdy krąg miał serce.

Poza Klejnotem.

Jedziemy brukowanymi ulicami, póki otaczające nas budynki nie nabierają nieco innego wyglądu. Wielkie potwory ustępują miejsca przysadzistym konstrukcjom z czerwonej cegły, z których dachów wyrastają niskie kominy plujące w niebo niemal czarnym dymem. Powietrze jest tak zanieczyszczone, że z ledwością odcyfrowuję napis nad jednymi z drzwi. ZAKŁADY ŻELAZNE PADMORE'A. Niżej, mniejszymi literami stoi: FILIA DOMU PŁOMIENIA.

– Padmore, Rankworth, Jetting! – wykrzykuje konduktor, gdy tramwaj zwalnia. Pracownicy zaczynają przepychać się do wyjścia. Na przystanku kolejne osoby szykują się, by wepchnąć się do środka.

Jakieś dziesięć minut później znów się zatrzymujemy. Powietrze jest trochę lepsze, a budynki mają ściany z jasnoszarego kamienia. Fabryki są wyższe niż te, które niedawno minęliśmy, a z ich kominów bucha mniej dymu. A może nie mniej? Może po prostu jest jaśniejszy?

Nad jednym z wejść jest napis: CIESIELNIA JOINDERA. WŁASNOŚĆ DOMU KAMIENIA.

– To tutaj – mamrocze Złodziej, gdy konduktor wykrzykuje nazwy zakładów.

– Joinder, Plane, Shelding!

Chłopak zwinnie wyskakuje z wagonu, a nas porywa fala wysiadających na tym przystanku pracowników. Kierujemy się do zakładów Joindera, zamiast jednak przekroczyć ich bramę, skręcamy w bok i wchodzimy za Złodziejem w wąską alejkę, która, jak się okazuje, prowadzi do jednej z głównych ulic. Chodnikiem po drugiej stronie spaceruje dwóch Gwardzistów. Od czasu do czasu zaczepiają

kóregoś ze spieszących do pracy robotników. Ash podnosi kołnierz, by lepiej ukryć twarz.

– Powinniśmy zawrócić – mówi. – Na tyłach fabryk jest labirynt uliczek. Dotrzemy tamtędy na główny dworzec.

Złodziej parska śmiechem.

– Jakiś czas cię tu nie było – mówi. – Uliczki, o których mówisz, zostały zablokowane, część zamurowano. Musimy iść Kamiennym Bulwarem do Szarych Ulic.

Raven sztywnieje, a Ash otwiera usta, by zaprotestować. Chłopak nie daje mu na to szansy.

– To moja dzielnica – mówi z pewnością siebie. – Znam każdy jej cal. Musicie mi zaufać.

Ash krzywi się lekko, ale potakuje.

Idąc Kamiennym Bulwarem czuję, jak serce bije mi w okolicach gardła. Plakaty ze zdjęciem Asha są wszędzie. Na każdej latarni, każdych drzwiach, każdym słupie informacyjnym. Ulica tętni życiem, jeżdżą nią elektryczne dorożki, zaprzężone w konie furmanki i małe wózki. Gdzieniegdzie rosną drzewa, nie ma ich tyle, co w Banku, ale i tak sprawiają, że okolica wydaje się jakby czystsza, przyjemniejsza niż te części Dymu, które dotąd widziałam. Budynki stoją w pewnej odległości od siebie. Mijamy oddział Baku Królewskiego z eleganckim wejściem strzeżonym przez kamienne lwy, a także pocztę; do jej wielkich mosiężnych drzwi prowadzą eleganckie, ciosane w kamieniu schody. Sporą część bulwaru zajmuje biuro magistratu. Z kolumnowej fasady zwiesza się gigantyczna flaga z symbolem Hierarchy, płomieniem w koronie i dwiema skrzyżowanymi włóczniami. Twarz Asha patrzy na nas z każdego okna. Przy krawężniku stoi zaparkowany elektryczny dylizans. Na drzwiach ma błękitny krąg i dwa srebrne trójzęby.

To znak Domu Jeziora.

Nagły atak paniki sprawia, że trudno mi oddychać.

– Ash – jęczę, wskazując pojazd. – To ona.

– Raczej karoca należąca do Domu – mówi Ash. – Każda rodzina je ma, używają ich zarządcy i nadzorcy fabryk. Nie przyjechałaby tu osobiście.

Jego słowa nie brzmią tak pewnie, jakbym chciała. Przyspieszamy.

Kiedy Złodziej skręca w mniejszą ulicę, spływam potem mimo chłodnego wiatru. Idziemy w prawo, potem w lewo i znów w prawo. Kostka brukowa ustępuje miejsca szaremu betonowi. Im bardziej oddalamy się od fabryk, tym więcej pojawia się domów mieszkalnych. Stoją jeden przy drugim, ściśnięte obok siebie, jakby bały się oddalić choćby o centymetr od towarzyszy. Trochę przypomina to dzielnicę Lily w Banku, ale domy w Dymie nie zachwycają jasnymi, ciepłymi kolorami. Wszystkie są szare, niemal identyczne, z dachami z gontów w odcieniu wiecznie zachmurzonego nieba, smutnymi dymnikami i pokrytymi pyłem oknami. Każdy ma niewielki frontowy ganek i niemal każdy jest zaniedbany. Łuszcząca się, popękana farba sprawia, że ściany zdają się pokryte liszajami. Młoda kobieta wiesza akurat pranie na linie rozpiętej między słupkami ganku, a u jej stóp dziecko bawi się drewnianą grzechotką. Kilka domów dalej w bujanym fotelu kołysze się starszy mężczyzna o zgarbionych plecach. Kiedy orientuje się, że śledzę go wzrokiem, patrzy w moim kierunku, pociągając fajkę. Natychmiast opuszczam głowę.

Skrećamy za róg i Ash gwałtownie przystaje. Łapie mnie za nadgarstek i zmusza do kucnięcia za gankiem. Ash i Raven robią to samo.

– Co się dzieje? – szepczę.

– Nie powinniśmy się zatrzymywać – sarka Złodziej.

Ash opiera czoło o próchniejące drewno i zamyka oczy.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę – mamrocze pod nosem.

– Ash, co jest?

Patrzy na mnie.

– Widziałaś to? Widziałas dom?

Wyglądam za róg. Domy przy tej uliczce wyglądają tak samo, jak pozostałe – małe, obskurne, zbudowane wedle tego samego planu. Ale nie wszystkie. Mniej więcej w połowie drogi wyrasta między nimi trzypiętrowy budynek. Wygląda, jakby kiedyś był taki sam, jak wszystkie inne, ale w pewnym momencie pożarł sąsiadów i napęczniał. Z jaskrawozielonymi ścianami i niebieskimi okiennicami przypomina sytą ropuchę, która rozsiadła wśród szarych kamieni. Przed domem stoi elektryczna dorożka, a drzwi strzeże dwóch Gwardzistów.

– Co za koszmarny kolor – mówi Raven.

– O rany... Kto tam mieszka? – pytam.

– Ja. Kiedyś – odpowiada Ash.

– Och. – Wytrzeszczam oczy. – Na fotografii wyglądał chyba trochę inaczej.

– Biedniej, nieprawdaż? – cedzi Ash przez zęby. – Teraz wręcz krzyczy: patrzcie, jacy jesteśmy bogaci.

Jeszcze raz spoglądam za róg. Z domu wychodzą właśnie dwie osoby. Jedna to jeszcze młody chłopak z grzywą wściekle rudych włosów, drugą jest starszy mężczyzna w wełnianym płaszczu i cylindrze. Red i pan Billings. Wsiadają do dorożki. Po chwili pojazd rusza. Gwardziści nie ruszają się z miejsca.

– Pojechali – mówię. – Ludzie z twojej sztuby.

Ash zwraca się w moim kierunku. W oczach ma prośbę.

– Czy... Mógłbym chociaż zajrzeć przez okno? Nie muszę z nią rozmawiać, chcę tylko ją zobaczyć. Ostatni raz. Niedługo jej nie będzie.

Wytrzymuję jego spojrzenie. To naprawdę wybitnie głupi pomysł.

– Na zewnątrz jest dwóch Gwardzistów – mówię łagodnie. – Ile kroków przejdiesz, zanim cię zatrzymają? Dwa? Trzy?

– Mogę urządzić dywersję – oferuje się Złodziej.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne – oznajmiam. – Nie warto ryzykować życia.

– A kto mówi o ryzykowaniu życia? – Chłopak uśmiecha się szeroko. – Nie tylko mogę bez trudu wyprzedzić tych tam pod drzwiami, ale i zniknąć. Puff! I już mnie nie ma. Naprawdę. Mówiłem ci, to moja dzielnica. Znam wszystkie kryjówki. A poza tym nie boję się Gwardzistów. – Spogląda na Asha. – Wszystko rozumiem. Chcesz się pożegnać. – Jego słowa brzmią jak słowa Raven.

Pod warstwą sadzy Ash jest blady jak ściana.

Ściskam go za rękę. Cinder jest tak blisko... A on prawie o nic nigdy mnie nie prosił.

– Idę z tobą – oznajmiam.

– Nie, Violet...

– Nie proszę cię o pozwolenie. – Wszyscy robimy rzeczy, których pragniemy, nieważne, jak głupie by nie były. Zamiast sama wziąć serum, pomogłam Raven. Wiem, jak to jest ryzykować życie dla kogoś, kogo kochasz. Nie mogę odmówić Ashowi ostatniej szansy na ujrzenie siostry. Gdyby to Hazel umierała ledwie kilka metrów ode mnie, zrobiłabym dokładnie to samo. Nie pozwolę mu iść samemu. Zbyt wiele razem przeszliśmy.

Pod schodami na ganek, przy którym tkwimy, jest sporych rozmiarów przestrzeń, która powinna sprawdzić się jako kryjówka. Obracam się do Raven.

– Zostań tutaj – przykazuję, wskazując dziurę. – A ty – spoglądam na Złodzieja – opiekuj się nią. Nieważne, co się wydarzy, dopilnuj żeby była bezpieczna.

– Nie rób tego – irytuje się Raven. – Nie mów o mnie, jakby mnie tu nie było. Może i mam problemy z głową, ale nadal jestem Raven Stirling. Sama za siebie odpowiadam i sama podejmuję decyzję.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Wraca. Moja Raven wraca. Nawet Hrabinie Kamienia nie udało się jej zniszczyć.

– Wiem – mówię miękko. – Ale nie zniosę myśli o tym, że znów jesteś w niebezpieczeństwie. Proszę, Raven, zrób to dla mnie. Nie wychylaj się.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczyma.

– Zawsze wiedziałaś, jak wzbudzić we mnie poczucie winy – mruczy.

Parskam zduszonym śmiechem.

– Cieszę się, że nie straciłam tej umiejętności.– Sięgam do koka i wyciągam z niego Arkana. – Trzymaj. Na wszelki wypadek.

Raven zaciska palce na delikatnym srebrnym kamertonie.

– Ale przecież wrócisz – przypomina.

Kiwam głową.

– Na wszelki wypadek – powtarzam. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli ja lub Ash zostaniemy schwytani, Lucian albo Garnet, albo ktokolwiek z organizacji zaopiekuje się moją przyjaciółką. Nie zostawiam jej samej.

– Gotowi? – pyta Złodziej. – Będziecie mieć kilka minut.

Ash potakuje.

– Nie dajcie się złapać – rzuca chłopak z szerokim uśmiechem. – To moje życiowe motto. – Wybiega na ulicę i natychmiast zaczyna krzyczeć. – Widziałem go, widziałem! Tego towarzysza! Był przy Joinderze. Tędy!

Rusza pędem w stronę przeciwną do naszej kryjówki. Gwardziści patrzą po sobie oszołomieni, aż nagle jeden z nich budzi się ze stuporu.

– Za nim! – ryczy.

Po chwili czerwone kurtki znikają za rogiem, pozostawiając dom niestrzeżony.

– Idziemy – mówię. – Musimy się spieszyć.

Raven wślizguje się pod schody, a ja wraz z Ashem biegniemy w stronę domu. Budynek otoczony jest wielkim, nieco krzywym tarasem, a na parterze są trzy wielkie okna. Najciszej jak się da, wchodzimy po schodkach i kucamy pod jednym z nich. Niemal w tym samym momencie otwierają się frontowe drzwi; na zewnątrz wychodzi kobieta z ciepłym płaszczem i z torebką na ramieniu.

Wygląda jak damska wersja Asha. Jest kilka lat starsza niż na fotografii, którą widziałam w sztubie, ale nie mam wątpliwości, kim jest. Kiedy nas widzi, marszczy brwi.

– Najmocniej przepraszam, ale co tu... – Jej oczy rozszerzają się nagle. Unosi dłoń do ust.

– Mama? – Ash powoli podnosi się na nogi.

Przez długą chwilę po prostu się w siebie wpatrują. Pamiętam mój Dzień Obrachunku, dzień, w którym opiekunki w Bramie Południowej wysłały nas do domów, byśmy po raz ostatni mogły spotkać się z rodzicami. Ash nigdy nie dostał takiej szansy. Mówił mi, że od lat nie widział się z rodziną.

Pełna napięcia cisza pryska, gdy pani Lockwood rusza w kierunku syna.

– Och, Ash... – wzdycha, tuląc go do siebie. – Chłopcze, ja... Popatrz tylko na siebie, jak ty wyrosłeś! Ale... Ale dlaczego tu jesteś? Co się... Wszyscy cię szukają, oni... – Rozgląda się wokół i dopiero teraz spostrzega, że Gwardziści znikli. – Jak... Kto...

– Muszę zobaczyć Cinder – mówi Ash. – Mam mało czasu.

Jestem pełna uznania dla jego matki. Natychmiast odzyskuje nad sobą kontrolę.

– Oczywiście. – Otwiera drzwi i wchodzi do środka. – Ale musisz być cicho. Twój ojciec i bracia są na tyłach.

Wnętrze budynku wygląda podobnie jak jego zewnątrz, jakby kiedyś było mniejsze, a potem stopniowo się rozrastało. Po prawej są schody, a na wprost wielki pokój dzienny. Meble sprawiają wrażenie zupełnie przypadkowych, część musi pochodzić z drogich sklepów, inne zostały zrobione

ręcznie. Pod jedną ze ścian stoi elegancki szezlong, a tuż obok niego prosty drewniany stółek. W samym środku pomieszczenia pyszni się bogato rzeźbiony stół, a na jego blacie spoczywa taca z filiżankami. Prawie wszystkie naczynia są wyszczerbione. W fotelu przy oknie siedzi, trzymając w dłoniach książkę, drobna dziewczyna w białej nocnej koszuli.

– Cinder? – szepce Ash.

Książka upada na podłogę.

– Ash?

Cinder ze świstem zachłystuje się powietrzem i zaczyna kaszleć.

Wygląda jak duch tej dziewczynki, którą widziałam na fotografii. Wychudzona, ze skórą jak pergamin, przypomina kruchą figurkę, którą rozbić może najlżejszy dotyk. Pod wielkimi oczyma kładą się głębokie cienie. Kręcone niegdyś włosy zmatowiały i opadają bezładnie na ramiona. Chusteczkę, którą Cinder zaciska kurczowo w dłoni, znaczą plamy krwi.

Ash pada na kolana przed siostrą.

– Cześć, kalarepko – mówi ochrypłym głosem.

– Dlaczego przyszedłeś? – szepce Cinder. – Szukają cię.

– Musiałem cię zobaczyć.

Dziewczyna znów zaczyna kaszleć. Opuszcza wzrok na kolana.

– Ojciec cię zabije.

– To wszystko... Wszystko powinno być inaczej. – Ash delikatnie ujmuje jej dłoń. – Tak mi przykro – szepce. Pochyliła głowę. Widzę, że trzęsą mu się ramiona.

Zdaje się, że Cinder potrzebuje całej swej energii, by pochylić się nad nim i pocałować jego włosy. Po policzkach pani Lockwood płyną łzy.

– To nie twoja wina – oznajmia Cinder.

– Próbowałem.

– Wiem.

– Ale nie dość – chrypi Ash.

Cinder z wielkim wysiłkiem unosi dłoń i kładzie ją na policzku brata.

– Wystarczy – mówi. – Wiem, że myślisz, że nie wiem, ile dla mnie zrobiłeś. To nieprawda. – Jej dłoń opada bezwładnie. – Pamiętasz, jak kiedyś ścigaliśmy się do szkoły? Zawsze pozwalałeś mi wygrywać.

– Wcale nie pozwalałem.

Cinder chichocze i natychmiast znów zaczyna kaszleć.

– Oczywiście – wydusza z siebie. – A pamiętasz, jak wszystkie dziewczynki dostawały z okazji Najdłuższej Nocy porcelanowe lalki, ale my nie mieliśmy dość pieniędzy, więc zrobiłeś dla mnie lalkę ze słomy, sznurka i starej sukienki mamy?

Ze smutku gardło ściska mi się tak bardzo, że nie mogę przełykać. Ash wygląda, jakby czuł się tak samo.

– To była najbrzydsza lalka w całym Samotnym Mieście – mruczy. Ta próba żartu niemal łamie mi serce.

– Była świetna. Och, pewnie, inni się ze mnie śmiali, ale nic a nic mnie to nie obchodziło. – Cinder ciężko opiera się o fotel, jakby ta rozmowa odebrała jej resztki sił. – Przepraszam, Ash. Przepraszam, że zachorowałam i musiałeś wyjechać. Przepraszam, że ojciec bił cię i sprawiał, że wciąż było ci tu źle. Przepraszam za Ripa i Panela i resztę tych chłopców w szkole, którzy byli dla ciebie wredni. Przepraszam, że nie mogłam zrobić niczego, żebyś ze mną został.

– Nie musisz za nic przeproszać. – W oczach Asha błyszczą łzy. – Nie chcę znów cię porzucać.

Z twarzy Cinder znika spokój.

– Musisz stąd wyjść, zanim ojciec odkryje, że tu jesteś – ponagla go, wyraźnie zaniepokojona. – Proszę. Zrób to dla mnie.

Ash milczy. Wydaje mi się, że cisza trwa całą wieczność.

– Proszę – powtarza Cinder. – On cię wyda, wiesz o tym. Nie mogę znieść myśli, że ty... Że też umrzesz.

To, że Cinder nie tylko doskonale rozumie, co się z nią dzieje, ale również mówi o tym z przerażającym spokojem, zdaje się łamać w Ashu resztki ducha. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak zgnębnego.

– Dobrze – szepce.

Siostra uśmiecha się do niego. Jeden z jej przednich zębów jest ukruszony.

– Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że cię widzę – mówi.

Ash podnosi się i całuje ją delikatnie w policzek.

– Kocham cię, kalarepko.

–... w ogóle brać tej przeklętej roboty. – Z głębi domu niesie się wzburzony męski głos. Trzaskają drzwi. – Było zostać u Joindera i robić dla Domu Kamienia. Ten gnój śmierdzący załatwił nas na szaro. Myślisz, że Diuszesa da mi teraz zarobić? Może pozwoli mi czyścić piece za pół diamentu miesięcznie... Jak niby mamy z tego wyżyć?

Pani Lockwood patrzy na nas z przerażeniem.

– Idź! – syczy do syna.

– Najlepiej by było, gdyby Ash rzeczywiście przylazł tu jak ostatni idiota, którym zresztą jest – mówi inny głos, wyraźnie młodszy. – Wtedy pozbylibyśmy się problemu.

Nim możemy zrobić choćby krok, do pokoju wchodzi trzy osoby. Natychmiast je rozpoznaję.

Ojciec Asha jest masywnym mężczyzną o ciemnych kręconych włosach i muskularnych ramionach. Opadające kąciki wąskich ust nadają jego nalanej twarzy paskudny wygląd. W jednej dłoni ściska butelkę z brązowego szkła. Zaraz za nim stoi dwóch identycznych młodzieńców, którzy wyglądaliby jak dokładne repliki ojca, gdyby nie to, że są nieco od niego niżsi i mają zadarte nosy. Rip i Panel. Nie wiem, który jest który.

Na widok Asha, który wstał i patrzy na ojca płonącymi zielonymi oczyma, zatrzymują się jak wryci.

– Witaj, ojciec – cedzi Ash.

– Ty... Jak się tu dostałeś? – Pan Lockwood obraca się do żony. – To twoja sprawka, prawda? Zawsze go psułaś, kobieto, nigdy nie dałaś mu szansy, by wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Powinien siedzieć w więzieniu!

– Nie mów tak do niej – warczy Ash.

– Już nie jesteś częścią tej rodziny – odzywa się jeden z bliźniaków. – Naprawdę jesteś aż tak tępy, by sądzić, że będziemy cię chronić? Kiedy przyszli tu ci goście z Banku, pewni, że wrócisz do domu, chciałem parsknąć im śmiechem w twarz. I co? I okazało, że jesteś dokładnie takim kretyńcem, za którego cię mieli.

Drugi z braci chichocze.

– Nie mam już dwunastu lat, Panel – mówi zimno Ash. – Twoje groźby nie robią na mnie wrażenia.

– A powinny – odpowiada Panel. – Kiedy wydamy cię strażnikom, będziesz trupem.

– A my będziemy bogaci – dodaje drugi bliźniak, Rip.

– Więc zróbcie to – prycha Ash. – No dalej. Bądźcie tchórzami jak kiedyś.

– Och, jesteśmy tchórzami? – drwi Rip. – A kto zawsze obrywał w szkole? Kto przybiegał do mamusi, ilekroć coś szło nie po jego myśli?

– Tu nie chodzi o nas, kretyni. – Ash z niesmakiem kręci głową. – Nie chodzi o to, kto biega szybciej

albo kogo najbardziej lubi ojciec. – Patrzy na pana Lockwooda. – Miałeś ocalić Cinder. Przecież dlatego wyjechałem z Madame Curio. Nie po to, żebyś kupił sąsiednie budynki i żył jak arystokrata wśród nędzarzy. Nie jesteś szlachcicem i nigdy nie będziesz. Pieniądze były dla niej.

– To moje pieniądze – wrzeszczy ojciec Asha. – Wychowałem cię, ty niewdzięczny chłystku. Jadłeś moje jedzenie i nosiłeś moje ubrania. Musiałem znosić twoją słabość i twoje porażki. Jestem twoim ojcem. To były moje pieniądze i zrobiłem z nimi, co uznałem za stosowne.

– Zarobiłem je! – Ash również krzyczy. Twarz nabiegła mu krwią. – To moje ciało zabrali, moją godność zdeptali, nie twoją! Używali mnie i kazali udawać, że mi się to podoba! Ukradli całe moje życie, a teraz ty twierdzisz, że coś ci się należało?!

– Dostałeś możliwość szlajania się z wysoko urodzonymi panienkami i masz czelność narzekać? – pyta pan Lockwood z niedowierzaniem. – Przecież to jak prezent od losu! Wszystko popsujesz, tak jak zawsze to robiłeś. A my zostaliśmy z bałaganem. – Obraca się do bliźniaków. – Znajdźcie Gwardzistów i sprowadźcie ich tutaj. Nie wiem, co się stało z tymi, którzy mieli pilnować wejścia, ale to nieważne. W okolicy na pewno jest ich więcej.

W tej samej chwili frontowe drzwi otwierają się z hukiem i do mieszkania wpada Gwardzista.

Ze świstem wciągamy powietrze. Ash i jego matka obracają się. Cinder zanosi się kaszlem.

To koniec. Nie pojedziemy dalej.

Zostaliśmy schwytani.

Aresztuj go! – drze się pan Lockwood wskazując na Asha.

– No już! – ryczy do mnie Gwardzista. – Ruchy!

To Garnet.

Wybiegamy z Ashem z budynku, zanim pan Lockwood zorientuje się, co się dzieje. Przy chodniku stoi wóz zaprzężony w parę koni. Z kozła uśmiecha się do nas Złodziej. Wygląda, jakby wygrał właśnie główną nagrodę na miejscowej strzelnicy. Tył wozu okryty jest płótnem. Garnet podrywa jego krawędź. Na deskach leży zwinięta w kłębek Raven. Oczy ma jak spodki.

– Szybko – syczy Garnet, rozglądając się nerwowo. Wspinamy się na wóz i kładziemy się obok mojej przyjaciółki. Gdy tylko tkanina opada na swoje miejsce, konie ruszają.

– Wszystko w porządku? – szepczę do Raven.

– Nic mi nie jest – odpowiada cicho. – Zaraz po tym jak poszliście, włączyły się Arkana. Garnet chyba się o nas martwił. Powiedziałam mu, dokąd poszliście. Widocznie był niedaleko, bo pojawił się przed domem dokładnie w chwili, w której usłyszałam dochodzące z wnętrza wrzaski. A potem przyjechał ten chłopak, Złodziej. Nie jestem pewna, ale chyba ukradł ten wóz. Pokazali sobie z Garnetem klucze i kazali mi się schować, więc się schowałam. – Spogląda na Asha. – Widziałeś ją?

Ash zaciska zęby tak mocno, że obawiam się, że za chwilę popękają.

– Powinienem był mu przywalić – warczy.

– Nie sądzę, żeby to coś pomogło – zauważam.

– Zabija ją i wcale go to nie obchodzi. – Ash uderza pięścią w podłogę wozu. – Tak, jakby to były jego pieniądze. Jakby miał jakiegokolwiek prawo...

– Mogłeś się z nią pożegnać – przypominam mu.

Odwraca ode mnie twarz.

– Tak – szepce. – To prawda. Ale... Dlaczego musiałem ją tam zostawić?

Wymieniamy z Raven spojrzenia. Milczymy.

Droga jest wyboista, a Złodziej popędza konie, obijamy się więc o siebie, aż zaczyna kręcić mi się w głowie. Po jakimś czasie, nie wiem, czy po kwadransie, czy raczej po godzinie, wóz wreszcie się zatrzymuje. Ktoś zrywa z nas przykrycie. Mrugam, bo razi mnie światło.

Obok nas stoi kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Ma na sobie prosty szary płaszcz i wbija we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

– 197? – pyta. Nie zawracam sobie głowy poprawianiem jej, bo nie to jest teraz najważniejsze.

– Pokaż mi klucz – mówię.

Obraca się do mnie tyłem i unosi upięty luźno nisko na karku kok. Pod nim ma wytatuowany mały symbol sprzysiężenia.

– Teraz zajmie się wami Krawcowa – wyjaśnia Złodziej. – Lepiej się spieszcie. Ten kwartał nie dalej jak za godzinę zaroi się od Gwardzistów.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego, złączając z wozu.

– Nie ma problemu. Może któregoś dnia zobaczę, co to za moc, o której mówił Czarny Klucz.

Kiwam mu głową i kątem oka dostrzegam żdźbło kiełkujące spomiędzy kocich łbów. Przyklękam i wyrywam je delikatnie, by go nie uszkodzić.

Najpierw ujrzyj, jakie jest. Potem w myślach ujrzyj swych. Wreszcie wolą skrępuj go.

Czuję życie we wnętrzu małej roślinki. Pociągam za cieniutkie struny i moje palce zaczynają pulsować ciepłem. Pod moim dotykiem formuje się pączek. Mam wrażenie, jakby tysiące igieł wbijały mi się w podstawę czaszki, ale to nie jest ważne. Ważniejszy jest żółty kwiat rozkwitający właśnie na mojej otwartej dłoni. Podaję mlecz Złodziejowi i uśmiecham się krzywo na widok jego miny.

Powoli, jakby onieśmielony, bierze ode mnie kwiat.

– Łał – szepce, trzymając go, jakby był drogocennym klejnotem.

– Chodźcie – odzywa się Krawcowa. – Musimy się pospieszyć. – Zdaje się, że Auguria nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Prowadzi nas do kolejnego wozu, tym razem większego, również zaprzęzonego w dwa konie i wypełnionego drewnianymi beczkami oraz skrzyniami. Kobieta wspina się na górę i zaczyna zdejmować pokrywy. – Wskakujcie do środka – komenderuje, pomagając Raven dostać się na wóz. Ash wchodzi następny, a ja za nim.

W jednej z beczek są bele płótna i kłęby włóczki.

– Raven – mówię – włącz do tej. – Wydaje się, że powinna być całkiem wygodna.

Odsuwamy materiał na boki i robimy dość miejsca, by Raven mogła przycupnąć w środku. Krawcowa podchodzi do skrzyni zawierającej tafle szkła i potworną ilość siana.

– Dla mnie w porządku – oświadcza Ash. – Ty weź tę ostatnią.

Wskazuje dłonią beczkę do połowy wypełnioną wielokolorowymi paciorkami. Kiwam głową.

– Nareszcie – mówię, biorąc go za rękę. – Ten kawałek i nie będziemy już musieli uciekać.

Ash obdarowuje mnie półuśmiechem. Wiem, że wciąż myśli o swojej rodzinie.

– Do środka – ponagla nas Krawcowa. Ash wzdryga się, po czym wchodzi do skrzyni i układa się na szkle.

Kobieta zdążyła już zamknąć beczkę Raven i teraz bierze się za skrzynię Asha. Wsuwam jedną nogę do nowej kryjówki. Koralki ustępują przede mną, póki nie sięgam stopą dna. Uczucie jest dziwne. Mam wrażenie, jakbym siedziała w worku pełnym suszonego grochu. Moszczę się wygodniej i spoglądam w górę. Krawcowa góruje nade mną i przygląda mi się z uwagą.

– To wóz z zaopatrzeniem Farmy – wyjaśnia. – Za kilka godzin powinniście być w pociągu. – Nie podoba mi się słowo „powinniście”. – Nie wiem, kto będzie na was czekał, ani w jaki sposób zostanieie przejęci. Zrobiłam, co mogłam.

Wygląda na zawiedzioną samą sobą. Chciałabym wstać i spojrzeć jej prosto w oczy, a nie kulić się w ciasnej beczce.

– Dziękuję – mówię.

– To miasto gnije od zbyt dawna – oznajmia. – Nie mogą dłużej odmawiać nam bycia tym, kim jesteśmy. Nie mogą wciąż nami rządzić. Już dość. Wiedz, że pokładamy wielką wiarę w tobie i Czarnym Kluczu.

Przełykam z trudem, nim jednak zdążę cokolwiek odpowiedzieć, Krawcowa zamyka beczkę i pochłania mnie ciemność.

Nie wiem jak długo siedzimy, czekając, aż wóz zacznie swą podróż. Koralki poszczypują i wbijają mi się w skórę. Bolą mnie głowa i plecy. Strach i napięcie stają się trudne do wytrzymania.

Och, Lucienie, szepce w duchu. Oby było warto.

Nienawidzę się za myślenie w ten sposób. Oczywiście, że warto! Wolałabym być teraz w Pałacu Jeziora i, przywiązana do łóżka, czekać grzecznie, aż urodzę i umrę zaraz potem? Nie, na pewno nie! Spotkało mnie tak wiele niesprawiedliwości, straciłam rodzinę, gdy zabrano mnie do Bramy Południowej i resztki wolności, gdy kupiła mnie Diuszesa. Ale przecież nie tylko mnie dotknęło nieszczęście... Annabelle zginęła i jej krew plamiła moje ręce. Lily jest w ciąży, a to oznacza wyrok śmierci. Syn Szewca został zabrany przez Gwardzistów, a rodzice Złodzieja stracili życie za sprawą

arystokracji. W jaki sposób, tego nie wiem, ale gdyby nie szlachta, wszystko wyglądałoby inaczej. Nawet nie znam zbyt dobrze ludzi, którzy mi pomogli, ale jeśli mogę im się odwdziaczyć, jeśli mogę sprawić, by choć jedno życie stało się łatwiejsze, czyż nie jest to warte ryzyka?

Pamiętam puste twarze robotników z Dymu i poczucie beziły unoszące się w powietrzu jak chmury kwaśnego dymu. Myślę o tym, jak bardzo różnią się od siebie ulice przemysłowego kręgu i piękne sale w pałacu Hierarchy, jak mało mają ze sobą wspólnego zakrwawione od kaszlu chusteczki i połyskujące od klejnotów toalety dam. Smog i woń perfum. Nieprzeliczone butelki szampana i nieprzeliczone dni harówki. Równie dobrze mogłyby to być dwa różne wszechświaty, a nie dwie części tego samego miasta. Szlachta wciąż bierze, bierze i bierze, i nigdy nie ma dość. Kradną dziewczęta, by rodziły im dzieci. Kradną chłopców, by służyli tym dzieciom, by je uwodzili albo chronili. A przecież nie jesteśmy przedmiotami. Nie jesteśmy sukniami z ostatniej kolekcji ani drogimi nagrodami. Jesteśmy ludźmi.

Mam zamiar pomóc im to wreszcie zrozumieć.

Wóz wreszcie rusza. Kołysząc się w podskakującej na wybojach beczce, staram się zachować przytomność umysłu.

Boję się.

Niedługo później zewsząd dobiegają mnie głosy. Ludzie pokrzykują do siebie, żwir chrzęści pod ich stopami. Raz i drugi słyszę niskie westchnienie, gdy ktoś podnosi coś ciężkiego. Nagle wszystkie inne dźwięki zagłusza przenikliwy gwizd lokomotywy.

– Dokąd? – pyta jakiś głos.

– Farma, południowa kwarta. Prosto do Barlett. – Nie rozpoznaję głosu woźnicy i przelotnie zaciekawia mnie, czy również należy do organizacji. Może nie ma zielonego pojęcia, że przewozi zbiegów.

– Dokumenty? – Słysząc stłumiony szelest. Skamieniała ze strachu boję się choćby głębiej odetchnąć, by nie poruszyć przypadkiem paciorków i nie zdradzić, że tu jesteśmy. – Dobrze, wszystko wydaje się być w porządku. Ruszaj.

Wóz przetacza się dalej. Do moich uszu dociera posykiwanie mechanizmów parowych i więcej zawołań. Z trudem tłumię okrzyk zaskoczenia, gdy nagle beczka, w której siedzę szybuje w górę. Odruchowo zatykam sobie usta dłonią, a drugą opieram się o deski, żeby zachować równowagę. Na szczęście, ktokolwiek wyładowuje towar, nie ma zamiaru toczyć beczek. Lot w ciasnej kryjówce jest dość ogłupiający, ale nie trwa długo. Po kilku sekundach beczka wraca na ziemię z cichym łupnięciem. Osuwam się w koraliki i na powrót nieruchomieję.

Słyszę więcej stłumionych uderzeń i stuknięć, gdy kolejne ładunki trafiają do, jak mi się wydaje, wagonu towarowego.

Powietrze przecina kolejny gwizd i pociąg rusza.

Serce rośnie mi w piersi. Wreszcie jedziemy na Farmę!

Nie sposób wygodnie usiąść w tej beczce. Koraliki wbijają mi się w ciało i marzę o tym, by rozprostować nogi. Z głodu skręca mi się żołądek. Kiedy ostatnio coś jadłam? Chyba u Lily... Wydaje się, jakby to było miesiąc temu. Zaczynam wyobrażać sobie potrawy, które jadłam w Klejnocie. Jajka na miękko podane w szklanych naczynkach i tosty z masłem. Kruche krakersy z kremowym serkiem i wędzonym łososiem. Jagnięcinę z miętową galaretką. Sałatę z kaczką i figami.

Kołysanie pociągu i ciche posapywanie lokomotywy kołyszą mnie do snu. Budzę się gwałtownie na dźwięk odsuwanych drzwi.

– Stacja Barlett! – krzyczy ktoś z oddali.

– Które, proszę pana? – pyta stojący gdzieś blisko młody mężczyzna.

– Te trzy. – Na dźwięk głosu Luciena do oczu napływają mi łzy. – Ostrożnie! – woła, kiedy beczka,

w której siedzę, zostaje pchnięta przez całą długość wagonu. Unoszę się, a potem opadam na ziemię z głośnym stuknięciem.

– To ostatnia – mówi chłopak.

– Dobrze. A to za fatygę.

– Dziękuję.

Słyszę jak metal uderza o metal, a potem ktoś trzaska z bata. Jakikolwiek środek transportu wybrał Lucien, zaczyna się on poruszać. Po kilku minutach dobiega mnie głos Garneta.

– Powinniśmy ich wypuścić?

– Jeszcze nie – odpowiada Lucien. – Najpierw dotrzyjmy do lasu.

Droga, którą jedziemy, jest pełna kolein i wyboista. Co rusz podskakuję wraz z beczką i objam sobie łokcie o ścianki. Koralki przesypują się z chrzęstem wokół mnie. Mam nadzieję, że ten las nie jest zbyt daleko... Lęk towarzyszący mi bez ustanku przez ostatnich kilka dni ustępuje nieśmiałej ekscytacji. Jestem na Farmie! Jest tu Lucien. I Ash. I Raven.

– Świetnie się spisałeś – mówi w pewnym momencie Lucien.

– Chcę zobaczyć to miejsce, czymkolwiek ono jest – oznajmia Garnet.

– Tak, myślę, że zasłużyłeś na ten przywilej. – Lucien milknie na chwilę. – Oczywiście Sil nie będzie tym zachwycona.

– Nie boję się jej.

Lucien chichocze pod nosem.

– A powinieneś.

Skracamy w równiejszą drogę, a potem w kolejną, jeszcze gorszą niż pierwsza. Zaczynam się zastanawiać, kiedy zdaniem Luciena będzie wystarczająco bezpiecznie, żebyśmy mogli wyjść. Korci mnie, żeby zawołać do niego i przypomnieć, że tkwię w tej beczce liczo wie od kiedy i wszystko mnie już boli. Na szczęście nim zdobywam się na odwagę, wreszcie się zatrzymujemy.

Jęczę z ulgi, kiedy pokrywa mojej beczki unosi się i widzę twarz Garneta.

– Cześć, Violet – rzuca.

– Wyciągnij mnie stąd – błagam, wyciągając do niego ręce.

Po godzinach spędzonych w bezruchu nogi trzęsą mi się tak bardzo, że gdy staję na ziemi, nie jestem w stanie utrzymać równowagi. Upadłabym, gdyby Garnet mnie nie podtrzymał.

– No dobrze – mówi. – Jakoś to ogarniemy.

Praktycznie zanosi mnie do krawędzi wozu i stawia na ziemi tuż obok Luciena owiniętego szczelnie wielkim futrzanym płaszczem.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham płaczem. Wielkie, gorące łzy kapią mi na pierś, a z gardła dobywa się rozpaczliwy szloch.

– Och, maleńka – mruczy Lucien, gdy padam mu w ramiona. – Jestem z ciebie taki dumny. – Chcę zaprzeczyć, chcę powiedzieć, że nie zrobiłam niczego niezwykłego, a tylko wszystko utrudniłam, ale nie mam na to siły. Słyszę, że Garnet otwiera drugą beczkę oraz skrzynię.

Ash schodzi z wozu. Rzucam mu się na szyję.

– To nie będzie mój ulubiony sposób podróżowania – chrypi. Wybucham śmiechem.

Garnet pomaga zsiąść Raven. Moja przyjaciółka rozgląda się z zaciekawieniem.

– To powietrze – mówi. – Ono jest czyste.

Nie zauważyłam tego wcześniej, ale teraz, gdy o tym wspomniała, biorę głęboki oddech i patrzę wokół.

Zapadła już noc. Po obydwu stronach koźła palą się latarnie, które oblewają okoliczne drzewa złocistym blaskiem. To wszystko, co widzę – drzewa. Obracam się wokół, zdumiona. Są tu wielkie

drzewa i małe drzewa, drzewa o cienkich pniach i delikatnych gałązkach, a także takie, które do złudzenia przypominają mi dęby w parku, przez który jechaliśmy do Pałacu Królewskiego. To było piękne miejsce, spokojne i uporządkowane, ale to, w którym znalazłam się teraz, jest nawet piękniejsze. Przez długą chwilę zastanawiam się, co jest takiego niezwykłego w otaczających mnie drzewach.

I nagle mnie to uderza.

Ten las jest naturalny. Stary. Pozwolono mu rosnać tak, jak chciał. Żaden człowiek nie próbował go kształtować.

– Naprawdę wiele dokonałaś – mówi Lucien, zarzucając mi na ramiona płaszcz – i wiem, że wiele cię to kosztowało, ale musisz nam pomóc w czymś jeszcze.

– Co masz na myśli?

Wskazuje jedno z drzew. Na szarym pniu wyryto znak, literę C ponad literą A.

– Tutaj jestem w stanie trafić. I tylko tutaj.

– Co to jest? – pytam, przyglądając się literom.

– Ślad, który zostawiła dla mnie Azalea – szepce. – Miejsce, do którego zmierzamy, jest nie do znalezienia dla kogoś, kto nie ma mocy Augurii.

– Nie rozumiem. – Spoglądam na Raven. Wymownie wzrusza ramionami.

– Wiem, że nie rozumiesz – odpowiada Lucien. – Ale zrozumiesz. Chodź.

Prowadzi mnie do zaprzęzonego w cherlawego konia wózka. Na nasz widok zwierzę potrząsa grzywą i parska. W powietrzu unoszą się obłoczki pary. Lucien odpina jedną z latarni i wyciąga ją w moją stronę.

– Idź przed nami – mówi. Ash chce do mnie dołączyć, ale Lucien unosi dłoń. – Nie. Musi zrobić to sama.

– Ale którą? – pytam.

Lucien potrząsa głową.

– Zaufaj instynktowi.

Instynktowi? Instynkt podpowiada mi, że to niemożliwe i że powinnam zdać się na kogoś innego. Myślałam, że po przyjeździe na Farmę wszystko stanie się prostsze. To Lucien jest tu mózgiem, on opracowuje wszystkie plany... Ja tylko chcę być bezpieczna. No dobrze, nie tylko. Chcę, żeby moi przyjaciele też byli bezpieczni. I żebyśmy nie musieli już uciekać. Myślę o tym wszystkim, co wydarzyło się od tej koszmarnej nocy, gdy zostaliśmy przyłapani z Ashem, o obietnicach, które złożył Lucien, o tym, jak niemal nas nie złapano, o umierającej w wielkim domu Cinder i Lily, która niebawem również odejdzie... Nie mogę już tego znieść. Łzy znów napływają mi do oczu. Wyrwam Lucienowi latarnię i wbiegam między drzewa.

Nie chcę, by ktokolwiek zobaczył, jak bardzo jestem przerażona. Nie mogę ich zawieść.

Ale lękam się, że nie mam żadnego instynktu...

Słyszę ciche postukiwanie końskich kopyt oraz poskrzypywanie kół wozu i wiem, że jadą za mną. Ciaśniej owijam się płaszczem i unoszę latarnię. Drzewa, które mijam, wyglądają jak milczące duchy, które starają się pochwycić mnie widmowymi kończynami.

Im bardziej zagłębam się w las, tym gęstsze stają się drzewa. Dziwnie poskręcane pnie zdają się sięgać na wszystkie strony, a niektóre gałęzie, zamiast na boki, rosną wprost w ziemię. Zaczynam martwić się, że jeszcze kilka kroków i nie będę w stanie precyzyjnie się dalej. Boję się, że idę w złym kierunku. Nie ma tu żadnej ścieżki, żadnych wskazówek.

I nagle, dokładnie w chwili, gdy mam zamiar odwrócić się do Luciena i powiedzieć mu, że to wszystko na nic, zaczynam coś czuć. To tylko delikatne drgnięcie w piersi, zupełnie jakby coś oplotło moje żebra i ciągnęło mnie ku sobie.

– Violet, czułaś to? – woła Raven.

Nie chcąc się zdekoncentrować, ignoruję jej pytanie i pospiesznie skręcam w lewo. Odczucie jest silniejsze. Prowadzi mnie między drzewami, dalej i dalej, aż wreszcie jestem pewna, którądy mam iść, choć wciąż tak naprawdę nie wiem, dokąd.

Zaczyna sypać śnieg. Drobne płatki skrzą się w miękkim świetle latarni i opadają między powykęcanymi drzewami. Spoglądam w niebo z wrażeniem, jakbym była w szklanej kuli wypełnionej drobkami bieli, w osobnym miniaturowym świecie. Kiedy znów spoglądam na drzewa, dostrzegam światełko. Coś mruga w oddali.

Rzucam się naprzód, przeskakuję nad zwałonymi pniami i nurkuję pod gałęziami, aż wreszcie wbiegam na skraj wielkiej polany, na której środku stoi duży dwupiętrowy dom z czerwonej cegły z szerokim, gościnnym gankiem. Niedaleko za nim w ciemnościach majaczy jeszcze jeden budynek, być może stodoła.

W jednym z okien na parterze pali się światło.

– Świetna robota – mówi Lucien, podjeżdżając do mnie wózkiem. Siedzący tuż obok niego Garnet ma oczy wielkie jak spodki. Ash i Raven z ciekawości wychylają się za burtę wozu. – Tak jak powiedziałem, niemal nie sposób znaleźć tego miejsca. – Uśmiecha się do mnie. – Proszę, uwierz mi, spędziłem nieprzeliczoną ilość godzin, snując się po tym lesie.

– Ale... Ale gdzie właściwie jesteśmy?

– W twoim nowym domu. – Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy. – Witaj w Białej Róży.

Drzwi do domu otwierają się i na ganku, podświetlona padającym z wnętrza światłem, pojawia się drobna i niewysoka sylwetka.

– Lucien! – Kobieta nie brzmi bynajmniej uprzejmie. – Przestań skradać się jak nieudolny złodziej!

– To Sil – wyjaśnia Lucien, pomagając mi sięść obok siebie na kozle. Do domu prowadzi wąska ścieżka. Mijamy wbitą w trawę mocno już podniszczoną drewnianą tabliczkę. Przez moment latarnie oświetlają na chwilę widniejący na niej napis: BIAŁA RÓŻA. Spoglądam za siebie, na Asha i Raven. Ash wygląda na zmieszanego i nieco podejrzliwego, ale Raven z radością obserwuje otoczenia.

– Kim właściwie jest Sil? – pytam Luciena.

Waha się przez chwilę.

– Lepiej, żeby ona sama ci to wyjaśniła.

Kiedy podjeżdżamy bliżej, widzę, że przed domem znajduje się sporych rozmiarów ogród. Po balustradach i ścianach pnie się zbrązowiły zimą bluszczyki.

Lucien zatrzymuje wózek. Kobieta, Sil, przypominam sobie, nie schodzi na podwórze, by nas powitać. Stoi w drzwiach i mam wrażenie, że krytycznie się nam przygląda. Światło pada na nią z tyłu, nie widzę więc jej twarzy.

– Iluś ty ich nałapał po drodze, niech cię trup trzaśnie – sarka.

– To jest Violet – wyjaśnia Lucien, wskazując na mnie.

– Wiem – odparowuje Sil. – A reszta?

– To moi przyjaciele – mówię.

– Nie zapraszałam ich tutaj.

– Bez nich nigdzie się nie wybieram.

Sil prychnie pod nosem.

– Nie lubisz ułatwiać, co nie?

– Nie odpowiadam. Nie przeszłam przez wszystko po to, żeby porzucić teraz Asha i Raven.

– Sil... – zaczyna Lucien, ale kobieta uciska go gestem dłoni.

– Wejdźcie do środka. Wszyscy – rozkazuje. – Najlepiej zanim zamarzniemy na śmierć.

Nie jestem pewna, co sądzić o naszej gospodyni, a po minach Asha, Raven i Garneta wnoszę, że i oni nie mają pewności. Grzecznie idziemy za Lucieniem na ganek, a potem wchodzimy do domu.

Parter stanowi przestrzeń otwartą, jedno wielkie pomieszczenie mieszczące w sobie jadalnię, salon i kuchnię. Drewniana podłoga niemal ginie pod masą wielobarwnych dywaników, niektóre są wełniane, inne to po prostu zwierzęce skóry. Pod ścianą po lewej stoi krosno, na którym dostrzegam zaczątek czegoś błękitno-fioletowego. Wiele z mebli wygląda na ręcznie robione, ustępują jednak jakością tym, które tworzył mój ojciec. Wyglądająca na rozkosznie miękką kanapa. Stojący obok wygasającego już kominka bujany fotel. Masywny stół w jadalni. W kuchni jest ogromny piec i ledwie ustępujący mu wielkością zlew, a z sufitu zwiesza się cała kolekcja rondli, garnków i patelni. Na piętro prowadzą kryjące się w najdalszym kącie schody.

To miejsce jest zupełnie inne niż pełen przepychu pałac Diuszesy pełen grubych dywanów, ozdobnych żyrandoli i łóżek z baldachimami... A jednak ten dom podoba mi się bardziej. Jest przytulny. Widać po nim, że ktoś tu mieszka i dba o niego. To dom, który jest po prostu domem.

Ze stojącego na kuchni garnka dochodzi ciche bulgotanie, a w powietrzu unosi się zapach duszonego

mięsa i warzyw. Burczy mi w brzuchu.

– No dobrze... – Głos Sil wrywa mnie z zamyślenia. – Zobaczmy, co tu mamy.

Obracam się w jej stronę i napotykam przeszywające spojrzenie bladoniebieskich, prawie srebrzystych oczu. Sil jest stara, starsza od mojej matki, a jej skóra ma barwę kawy z mlekiem. Usta i oczy kobiety okalają głębokie zmarszczki. Kręcone włosy są czarne, jeśli nie liczyć kilku pasm siwizny na skroniach, i otaczają jej twarz kłębiastą chmurą. Ma na sobie męskie ogrodniczki, coś, czego spodziewałabym się raczej po robotniku, i koszulę z długimi rękawami. Dostrzegam bielejące na prawej ręce blizny.

Choć Sil jest nieco niższa ode mnie, przygląda mi się ze spokojem i krytycyzmem, które sprawiają, że czuję się kilka dobrych cali mniejsza. Jest niemal równie onieśmielająca jak Diusza, choć w jej obecności nie odczuwam lęku.

– Czyli to ty jesteś tą dziesiątką, tak? – mruczy. Chodzi jej o moją ocenę z trzeciej Augurii, Wzrostu. Rzuca spojrzenie Lucienowi. – Nie wygląda na tak twardą jak Azalea.

– Właśnie o kogoś takiego prosiłaś – odpowiada sucho Lucien.

Zaskoczona, wytrzeszczam na niego oczy.

– Nie powiedziałaś jej, prawda? – domyśla się Sil.

– O czym mi nie powiedział? – dopytuję.

– Że jedynym sposobem na to, by ten uroczy plan zadziałał, jest znalezienie surogatki z najwyższą oceną ze Wzrostu – wyjaśnia Sil. – Zakładam, że to właśnie ty.

– Ale... Lucien powiedział... Myślałam... – Nie wiem, co myślałam. Lucien ani słowem nie zająknął się o Auguriach. Utrzymywał, że wybrał właśnie mnie, bo przypomielałam mu jego siostrę.

– Violet – zaczyna Lucien, robiąc krok w moją stronę. Odruchowo cofam się, by utrzymać dystans. – Wszystko, o czym mówiłem, to prawda. Bardzo przypominasz mi Azaleę. To... Tak się złożyło, że miałaś również świetne wyniki we Wzroście.

– Powinieneś był mi powiedzieć – stwierdzam.

– A to by zrobiło jakąś różnicę? Zaufałabyś mi szybciej, a może wolniej?

Nie mam ochoty odpowiadać.

Sil parska śmiechem.

– Nie taki z niego dobry tatuś, za jakiego chciałby uchodzić, nie? – prycha. – Azaleę też to irytowało.

Twarcz Luciena kurczy się z bólu.

– Nie mów tak – warczę.

– Dopiero jej śmierć sprawiła, że przejrzał na oczy i zrozumiał, że pewne rzeczy muszą się zmienić – ciągnie Sil.

– Och, jasne, a ty masz świetne powody, by tkwić na tym zadupiu od dziesiątek lat – odgryza się Lucien. – To była część przemyślanej strategii, czy bałaś się tak samo jak ja? Raczej to drugie... Ciebie też zmieniła.

Jasnoszare oczy kobiety zamieniają się w szparki.

– Nie masz pojęcia, przez co przesłałam, żeby się tu dostać.

– A ty nie masz pojęcia, przez co my przeszliśmy – wcinam się. – Lucien nie powiedział mi niczego poza tym, że mam jakieś niezwykłe moce, i że to ty pokażesz mi, o co chodzi, więc, bardzo proszę, przejdźmy do rzeczy, bo od kłamstw i tajemnic robi mi się tylko gorzej.

Przez usta Sil przemyka cień uśmiechu.

– Jak sobie życzysz, wasza Królewska Wysokość. – Zaciskam zęby. Sil obraca się do Garneta, Luciena i Asha. – Zabierzcie konia do stodoły i wyładujcie resztę zapasów. – Patrzy na Raven i wyraz jej twarzy łagodnieje – Ile miesięcy? – pyta.

Raven rzuca mi spłoszone spojrzenie.

– Nie wiem – mówi cicho, wykręcając w palcach rozciągnięty sweter. – Trzy?

Sil podchodzi do niej i bezceremonialnie kładzie jej dłoń na brzuchu. Raven wzdryga się wyraźnie.

– Co oni ci zrobili? – mruczy pod nosem Sil.

– Wszystko.

Sil kiwa głową i nagle obraca się w stronę drzwi.

– Czekacie na coś? – rzuca z gniewem do wciąż stojących pod drzwiami mężczyzn. – Won! Nie ma zarcia, póki nie wyładujecie wozu!

Ash unosi brew, patrząc na mnie pytająco. Wzruszam ramionami. Przecież tu właśnie chcieliśmy dotrzeć. Gospodyni może być nieprzyjemna, nie sądzę jednak, by chciała mnie skrzywdzić. Jesteśmy bezpieczni, czuję to. Wreszcie, z wyraźnym ociąganiem, panowie wychodzą z domu.

– Siadajcie – rzuca Sil, wskazując stół. Opadamy wraz z Raven na krzesła, a ona idzie do kuchni, skąd wraca, niosąc dwie miski gulaszu. W ciemnym sosie pływają kawałki wołowiny, marchewki i cebuli. Rzucam się na jedzenie, nim miska stuknie o stół. Ani ja, ani Raven nie staramy się zachowywać kulturalnie i przez kilka minut słysząc jedynie postukiwania łyżek o gliniane naczynia, okazjonalne siorbnięcia i westchnienia zachwytu. Kiedy odsuwamy od siebie miski, Sil spogląda na Raven.

– Na górze są sypialnie – mówi. – Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Raven wyraźnie się waha.

– Jesteś tu bezpieczna, dziecko – uspokaja ją kobieta. – Obiecuję.

– Niedługo przyjdę – mówię. Cokolwiek chce powiedzieć mi Sil, przeczuwam, że wolałaby zrobić to bez świadków.

Raven pociera oczy.

– Jasne – mruczy i tłumi ziewnięcie. Powoli rusza ku schodom i wspina się po nich ciężko. Mam nadzieję, że nie zaśnie w połowie drogi. Naprawdę cieszę się, że wszyscy będziemy mogli przespać się w łóżkach.

Sil wychodzi na chwilę do kuchni i wraca z dwoma parującymi kubkami herbaty.

– Proszę – mówi, podając mi jeden, a potem siada na bujanym fotelu przy kominku.

Przenoszę się na stojącą nieopodal paleniska sofę i zaciągam się aromatem ciemnego napoju. Jest nieco ziemisty.

– Nie krępuj się, nie mam zamiaru cię otruć – rzuca Sil i pociąga długi łyk.

Unoszę kubek do ust i próbuję. Herbata smakuje korą i cynamonem.

– W którym Magazynie byłaś? – pyta Sil.

– W Bramie Południowej.

– Ach, południe... – Upija kolejny łyk i zaczyna kołysać się na fotelu. – Ja byłam w Bramie Północnej. Koszmarne miejsce, zupełnie jak więzienie.

Prawie upuszczam kubek.

– W Bramie Północnej? Byłaś surogatką?

Sil chichocze.

– Nie mam pojęcia, jak on się nie pogubi w tych wszystkich tajemnicach – mruczy z odcieniem uznania w głosie. – Obiecywał, że niczego ci o mnie nie powie, ale po tym, jak rozprawiał o tobie, wniosłam, że nie potrafił się powstrzymać.

Wciąż nie mogę się otrząsnąć ze zdumienia. Sil nie może być surogatką! Jest zbyt... stara. Dawno powinna być martwa. Chyba że... Uciekła z Magazynu? A może pomógł jej ktoś w Klejnocie?

Pocieram oczy. Za dużo informacji, za mało miejsca w głowie.

Sil dopija herbatę i cmoka.

– Nie myśl za intensywnie, bo ci żyłka pęknie – prychna. – Opowiem ci wszystko od początku, ale będę

do tego potrzebować czegoś mocniejszego niż herbata.

Podchodzi do jednej z kuchennych szafek i dolewa coś do kubka. Czuję silny zapach alkoholu. Kiedy siada, płomienie w kominku strzelają w górę, zupełnie jakby ktoś dołożył drewna albo podlał je czymś łatwopalnym. Podskakuję, zaskoczona.

– Zimno – sarka Sil, zupełnie, jakby to wszystko wyjaśniało. Upija potężny łyk. – Urodziłam się w północnej kwarcie Bagna – zaczyna. – To było... Jakież sześćdziesiąt lat temu? Zdiagnozowali mnie jak miałam jedenaście lat, matka już wtedy nie żyła od pięciu. Ojciec pracował w Dymie, zginął, gdy w fabryce wybuchł pożar, który kompletnie ją strawił. Miałam trzech starszych braci, wszystkich nas wychowywała babcia. A potem trafiłam do Bramy Północnej. – W zamyśleniu drapie się po policzku. – Słyszałam, że niektóre Magazyny zezwalają surogatkom po raz ostatni zobaczyć się z rodzinami. To prawda?

– Tak. Nazywają to Dniem Obrachunku. To dzień tuż przed Aukcją.

– Dzień Obrachunku... – mruczy pod nosem. – W każdym razie w Bramie Północnej niczego takiego nie było. Nie dali mi szansy, żebym zobaczyła się z rodziną. Miałam szesnaście lat, kiedy opiekunka poinformowała mnie, że zostanę sprzedana. Na tamtej Aukcji były tylko dwadzieścia dwie dziewczyny, podejrzewam, że akurat wtedy arystokracja słabo interesowała się rozmnażaniem. To ja byłam dwudziesta druga. Miałam niemal idealne wyniki. No cóż, jeśli chodzi o trzecią Augurię, to nie prawie idealne, a idealne. – Mierzy mnie chłodnym spojrzeniem. – Kupiła mnie Diusza Jeziora.

Ze świstem wciągam powietrze. Ale... Nie, to nie mogła być moja Diusza, Sil jest za stara. Czyli musiała zostać kupiona przez matkę kobiety, która kupiła mnie. Mam wrażenie, jakby kości zamieniły mi się w wodę, a głowę wypchano watą. Świat traci na ostrości, zupełnie jakby zawodziły mnie zmysły. Sil uśmiecha się paskudnie.

– Tak, tak – mówi. – Pomyślałam, że cię to zainteresuje. Dom Jeziora wyraźnie nie radzi sobie z surogatkami, nieprawdaż?

Upija kolejny łyk alkoholu. Wygląda, jakby dobrze się bawiła.

– Diusza była delikatną kobietą. I chorowitą. Diuk natomiast... – Milknie na chwilę, a jej oczy ciemnieją. – Rządził domem twardą ręką. Zimny, gniewny, zawistny, ambitny... Zazwyczaj surogatki to domena kobiet, ale nie w Pałacu Jeziora. Diuk miał własne plany związane ze mną. Trzymał mnie dłużej niż zazwyczaj trzyma się surogatki. Wszędzie wokół dziewczęta zachodziły w ciążę albo umierały. Albo jedno i drugie. Aż wreszcie umarła także przyszła Wybranka.

Pamiętam to z lekcji historii. Tron przejąć miała córka panującej pary, siostra obecnego Hierarchy, jednak w wieku ośmiu lat spadła z konia i nie udało się jej odratować. Jej brat miał wtedy ledwie dwa lata.

– To właśnie wtedy doktor... No cóż, nie muszę wyjaśniać ci, co zaczął robić, prawda? – Głos Sil jest ponury.

Zaciskam wargi w wąską linię.

– Zaszłam w ciążę. Dopiero w drugim trymestrze zorientowałam się, że noszę pod sercem bliźniaczki. Nie wiem, jakim cudem lekarz to przegapił. Diuk, złamany kutas, natychmiast chciał się pozbyć jednego dziecka. Żona mu nie pozwoliła. Kazał mi skoncentrować Augurię na jednej z bliźniaczek, najpewniej w nadziei, że druga umrze. Zrobiłam to. Niech mnie szlag, zrobiłam dokładnie to, co mi kazał.

Odstawiam herbatę na podłogę i ujmuję głowę w dłonie. Pokój wiruje. Jeśli Sil mówi mi prawdę, to znaczy, że urodziła Diuszesę.

– Na tydzień przed planowanym rozwiązaniem, wywieziono mnie z pałacu. Jest miejsce przeznaczone specjalnie dla czekających na poród surogatek. Zimne, sterylne, paskudne, z ostrym światłem... Nie byłam tam sama, oczywiście, że nie. Ale dziewczyny były zabierane jedna po drugiej i żadna z nich nie

wróciła.

Sil spogląda w ogień. Zmarszczki wokół jej oczu i ust wydają się głębsze, jakby samo opowiadanie tej historii dodawało jej lat. Obydwie wiemy, co stało się z innymi surogatkami. Wciąż jednak nie mam pojęcia, co przydarzyło się jej.

– Kiedy przyszedł mój czas, zabrali mnie do pokoju porodowego. Na miejscu był lekarz. Kazał mi przeć. Pielęgniarka trzymała mnie za rękę. Pamiętam to babsko, była gruba i dłoń miała mokrą od potu... Ale najlepiej zapamiętałam ból. Ból nieporównywalny z żadnym, którego kiedykolwiek wcześniej doświadczyłam. Gorszy niż ten towarzyszący Auguriom. I nagle, zupełnie nagle, urodziłam pierwsze dziecko. – Oczy Sil błyszczą jak klejnoty. Ociera policzek pobliznioną dłonią. – Pamiętam moje zdumienie, że coś może być i piękne, i brzydkie jednocześnie. Ależ się darła! Minutę później urodziłam jej siostrę. Była dużo mniejsza. I bardzo, bardzo cicha. Zabrali mi je. Zostawili mnie samą. Czekali, aż umrę. – Upija łyk alkoholu. – Gnoje.

– Ale... Ale jakim cudem? – pytam. Mam przeczucie, że o to właśnie chodzi, że to w tym momencie wszystko się zaczęło. To dlatego Lucien mnie tu ściągnął. – W jaki sposób przeżyłaś?

– Bo jestem od nich silniejsza – wykrzykuje Sil i z rozmachem wali pięścią w poręcz fotela. – Bo mamy moc, której oni nie są w stanie pojąć. Och, myślą, że ją zagarnęli, bo zepsuli ją, wykrzywili, zmusili, by działała tak, jak chcą, nie są jednak w stanie zupełnie jej odmienić. Nie, nigdy... To nasza siła i tylko my potrafimy nią kierować. – Przez chwilę po prostu buja się w fotelu. Drewno skrzypi. – Jak myślisz, czym właściwie są Augurie?

– Nie wiem. Jakąś mutacją genetyczną?

– Daruj mi te spreparowane przez szlachtę, gówno warte formułki. Pomyśl. Pomyśl samodzielnie. Czym są?

Myślę o obrazach, które pojawiły się w moim umyśle, gdy połączyłam się ze starym dębem w ogrodzie Diuszesy. Widziałam wtedy wielką zieloną przestrzeń i tańczące w podmuchach wiatru gałęzie. Potem przysła zima i te same gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu. Emocje były tak silne, że aż zapierały dech.

– Ja... Nie wiem do końca, jak to wyjaśnić – jąkam się. – Czasem... Czasem mam wrażenie, że to jak... Jakbyśmy byli jednością. Kiedy używam Wzrostu, niekiedy mam wrażenie, że po prostu znam rośliny albo drzewa. Jakbym była częścią ich życia, ich historii. A one... One również mnie znają.

– Wszystko ma w sobie światło życia – mówi poważnie Sil. – Wszystko jest połączone. Ludzie myślą, że są wyjątkowi tylko dlatego, że potrafimy mówić i myśleć, tak jakby mowa była jedynym sposobem porozumiewania się, a do myślenia niezbędnie potrzebny był mózg. – Milknie i przez chwilę słyszę tylko trzaskanie ognia. – Surogatki to szczęściarki, które wciąż wyczuwają inne życia. Moc, którą mamy, nie powinna służyć idiotycznym sztuczkom. Jak myślisz, dlaczego najpierw uczą nas Koloru i Kształtu? Są sprzeczne z naturą, to właśnie one powodują bóle głowy i krwotoki. Tak naprawdę są zupełnie niepotrzebne. Uczą nas ich, by łatwiej nas kontrolować, by nas sobie podporządkować. Tak naprawdę jest tylko jedna Auguria i wcale nie nazywa się Wzrost. Nazywa się Życie. I nie, nie posiadamy jej na własność, nie mamy nad nią władzy, możemy jednak czuć ją, być jej świadome. Przyzywa nas, a my przyzywamy ją. Trenują nas, byśmy rządziły Auguriami, ale tą mocą nie da się zawładnąć. Można ją tylko zaakceptować, przyjąć jako coś równego...

– Nie rozumiem.

– Leżałam na łóżku i wykrwawiałam się na śmierć. Czułam, jak życie wypływa ze mnie wraz z krwią. I poprosiłam o pomoc. – Sil pociera o siebie dłońmi. – Coś mi odpowiedziało. Usłyszało moje nieme wołanie i zareagowało. Nagle wypełniło mnie cudowne ciepło. Krew przestała płynąć i wróciły mi siły. Ja... – Odwraca się. Mam wrażenie, że stara się ocenzurować swoją historię. – Nagle widziałam

niezwykle ostro i czułam się przedziwnie spokojna. I bezpieczna. To było tak, jakby chór głosów szeptał do mnie, bym się nie poddawała. Posłuchałam go. Nie poddałam się.

– Słyszałaś głosy?

– Nie – odpowiada Sil. – Niedługo zrozumiesz. O ile ci się uda, oczywiście. – Pociąga nosem i krzywi się lekko. – Miejmy nadzieję, że jesteś silniejsza niż na to wyglądasz.

– Całkiem sporo przeszłam – warczę, bo wyżej uszu mam jej protekcyjności.

– Och, doprawdy? – parska. – Urodziłaś kiedyś dwoje dzieci, a potem odkryłaś, że nie jesteś w szpitalu, tylko w kostnicy? Uciekałaś kiedyś tak długo, że wreszcie nie byłaś w stanie biec dalej i odkryłaś, że kompletnie się zgubiłaś i utknęłaś w pokoju z gigantycznym piecem? Lucien wiedział o spalarni dzięki mnie. Jesteś w stanie wyobrazić sobie, ile mnie kosztowało wygaszenie tego ognia bez jakiegokolwiek pomocy? – Podciąga rękaw. Szerokie blizny sięgają jej aż do łokcia, połyskliwe w blasku ognia. – Ledwie mi się udało. I nie było przy mnie nikogo, kto trzymałby mnie za rękę. Nikt się mną nie opiekował.

– Wciąż nie wiem, czego ode mnie oczekujesz – mówię zmęczonym głosem. – Dlaczego tu jestem? Co mam zrobić?

– Już zbyt długo arystokracja wykorzystuje nasze moce. Musimy przywrócić równowagę. Potrzebujemy kogoś wystarczająco silnego, by wezwał całą naturę, wszystkie żywioły. Ta wyspa została pocięta na kawałki i zszyta na nowo przez szlachtę. Ale wyspa pragnie na nowo stać się całością. Arystokracja ma armię, pieniądze, broń, jednak to nic nie znaczy w porównaniu z potęgą natury... Ta potęga potrzebuje pomocy, potrzebuje ciebie. Pomyśl o tym, dziecko. Dlaczego szlachta wybudowała te wielkie mury pomiędzy poszczególnymi kręgami? Żeby nas podzielić i żeby chronić się przed własnym ludem. Jak wszyscy tyrani bogaci są przerażeni, bo lękają się, że pewnego dnia ci, których uciskali, powstaną przeciwko nim. Mury są grube, nie do przebicia. Ale co by się stało, gdyby znalazł się ktoś zdolny wybić w nich dziury na tyle wielkie, by przeszła przez nie inna armia?

– Uważasz, że jestem w stanie wyburzyć kawałki ścian? – Widziałam jedynie mur oddzielający Bagno od Farmy oraz, z pewnej odległości, Wielki Mur chroniący miasto przed oceanem. Wybudowano je z wielkich czarnych kamieni połączonych zaprawą. Tak jak powiedziała Sil, są nie do przebicia.

– Tak – odpowiada poważnie. – Wierzę, że będziesz w stanie to zrobić.

– I arystokracja nie zatka tych dziur?

– A ile czasu by im to zajęło? Raczej nie kilka godzin. A gdyby nie mogli izolować od siebie kręgów miasta... No cóż, sytuacja mogłaby się zrobić naprawdę ciekawa, nie sądzisz?

– Dlaczego sama tego nie zrobisz? – naciskam. – Przecież jesteś świetna we Wzroście. Do czego jestem ci potrzebna?

– Jestem już za stara. Myślałam, że Azalea da sobie radę, ale... Nie miała wystarczającej mocy. Miejmy nadzieję, że tobie się powiedzie.

Nim zdążę odpowiedzieć, otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi Lucien, Garnet i Ash.

– Dobrze – stwierdza Sil, nie czekając na moją odpowiedź. – Na dzisiaj i tak skończyłyśmy. Jedzenie jest w garnku, sypialnie na górze. Jutro bierzemy się do roboty.

Wstaje, ściąga z wieszaka na ścianie szal oraz gruby płaszcz i zarzuca je na siebie.

– Mam nadzieję, że się co do niej nie pomyliłeś – rzuca do Luciena, idąc w kierunku drzwi. – Bo jeśli się pomyliłeś, to jesteśmy tylko bandą optymistycznych kretynów i resztę tego zakichanego życia spędzimy jak kryjące się pod podłogą karaluchy.

Ash, Lucien i Garnet nakładają sobie potrawki.

– Co ci powiedziała? – pyta niewyraźnie Garnet, z ustami pełnymi marchewki.

Wciąż jeszcze nie doszłam do siebie po rozmowie z Sil.

– Nie jestem pewna, czy wszystko zrozumiałam – mówię.

– Zrozumiesz – zapewnia mnie Lucien. – Azalea zrozumiała.

– Nie jestem Azaleą – irytuję się. – Byłabym wdzięczna, gdybyś przestał mnie do niej porównywać.

Przez moment Lucien wygląda na zranionego, ale już po chwili jego twarz znów się wypogadza.

– Wiem, że nią nie jesteś – mówi łagodnie. – Ale jestem pewien, że sobie poradzisz.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? – wykrzykuję, wyrzucając w górę ręce. – Nie jestem wszechmocna,

Lucienie. Wzrost nie jest wszechmocny!

Nagle przypominam sobie to popołudnie w pałacu, na chwilę zanim poznałam Asha. Diusza wezwała mnie do salonu i kazała popisać się umiejętnościami przed Panią Płomienia. Byłam wściekła. Roślina zaczęła rosnać tak szybko, że błyskawicznie wspięła się na ściany, zniszczyła wcale pokaźną ilość drogiej porcelany i zrzuciła na podłogę oprawione w ciężkie ramy płótna. Czyli jednak istnieją pewne możliwości... Ciekawe, czy byłabym w stanie zrobić coś podobnego na większą skalę?

– Wciąż jeszcze wiele musisz się nauczyć – oznajmia Lucien. – O nic więcej nie proszę. Gdybym mógł sam wszystko ci wyjaśnić i pokazać, to bym to zrobił, tak się jednak składa, że potrzeba do tego surogatki. – Odkłada łyżkę. – Naprawdę nie chcesz dowiedzieć się, kim jesteś? Nie chcesz dowiedzieć się, jak to jest nie być więźniem mocy, przez którą odebrano cię rodzinie i która wywołuje u ciebie krwotoki i bóle głowy?

– Daruj sobie, przecież nie chodzi o mnie – warczę. – Chcesz zrobić rewolucję i z jakiegoś powodu jestem ci do tego potrzebna.

– Racja – zgadza się Lucien. – A ty wolałabyś, żeby wszystko zostało po staremu?

Przecieram oczy grzbietem dłoni.

– Jestem zmęczona – mamroczę. – Idę spać.

Wdrapuję się na schody i ruszam długim korytarzem, wyłożonym wyblakłym zielonym chodnikiem. Zaglądam przez kolejne drzwi, aż wreszcie znajduję sypialnię Raven z dwoma podwójnymi łózkami. Raven zasnęła już, a wślizgujące się przez szparę w zasłonach światło księżyca osrebrza jej twarz. Przysiadam koło niej. Wygląda dużo lepiej niż wtedy, gdy przebudziła się w kostnicy, jednak... Spoglądam na jej brzuch.

Drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem i do pokoju wchodzi Ash. Wyciąga do mnie rękę. Pozwalam mu wyprowadzić się na korytarz, a potem do innej sypialni. Gdy zamyka drzwi, z całej siły tulę się do jego piersi. Obejmuje mnie w pasie. Po raz pierwszy od bardzo dawna jesteśmy sami.

– Udało nam się – mruczy w moje włosy.

– Tak, udało nam się – szepczę. Ash pachnie sianem i sadzą.

– Naprawdę sądzisz, że jesteśmy tu bezpieczni?

– Tak – odpowiadam, odchylając się, by na niego spojrzeć.

– Ten las... Nie wiem, jakim cudem znalazłaś drogę.

Wzruszam ramionami.

– Lucien miał rację. Jak zwykle.

– Lucien nie jest jakimś nadnaturalnym bytem – mówi Ash. – Jest człowiekiem i popełnia błędy, tak samo jak reszta z nas. Nie zapominaj o tym.

– Myślisz, że uratowanie mnie było takim błędem? – Czuję się lekko urażona.

– Nie! Ale wywiera na ciebie presję. Nie sądzę, żeby to było w porządku.

Patrzę na ścianę, za którą Raven śpi spokojnie, okryta ciepłą kołdrą.

– Raven umrze – mówię cicho. – I nie mogę temu w żaden sposób zapobiec. Powiedz mi, chcemy obalić arystokrację, ale w jaki sposób miałyby to pomóc Raven? Przecież o to w tym wszystkim chodzi, prawda? O pomaganiu. Lucien ocalił mnie, żebym ja mogła ocalić kolejne osoby. Przyjmijmy, że jestem w stanie to zrobić... Ale jak mam pomóc tym wszystkim wykorzystywanym towarzyszom? Jak mam pomóc tym wszystkim Cinder, które umierają na czarne płuco, albo wszystkim Annabelle zabijanym przez ich mistrzynię? – Mrugam, chcąc powstrzymać łzy, ale i tak spływają mi po policzkach. – Może Lucien powinien był wybrać kogoś innego. A jeśli się pomylił?

Ash unosi mój podbródek i delikatnie przesuwa palcami po mojej szyi.

– Posłuchaj mnie – prosi. – Gdyby nie ty, Raven umarłaby w tamtym pałacu, samotna i porzucona, rodząc w bólu dziecko, które nie należy do niej. O ile, oczywiście, dotrwałaby do tej jakże wzniosłej chwili... Wyciągnęłaś ją stamtąd. Wiem, że to nie jest idealne wyjście z sytuacji i że chciałabyś zrobić więcej, ale przynajmniej odejdzie w towarzystwie przyjaciół, a nie zamknięta w kamiennych murach więzienia, bo tym był dla niej pałac. Uratowałaś także mnie, bo chyba żadne z nas nie ma wątpliwości, że szczeniłem w tamtym lochu albo ścięto by mi głowę. To już dwa życia, które ocaliłaś, nie licząc twojego własnego, które zawsze stawiasz na ostatnim miejscu. Nie możesz uratować wszystkich, Violet. Nikt nie jest w stanie tego zrobić, przestań więc wyznaczać sobie jakieś absurdalne standardy. I nigdy więcej nie mów, że jesteś błędem Luciena, dobrze? Nie chcę tego słyszeć.

– Ale... Raven...

– Wiem. – Ash opiera się czołem o moje czoło. – Już tęsknię za Cinder. Wiem, że wciąż żyje, ale... To ona dotrzymywała mi towarzystwa w sztubie. Tylko dzięki niej się nie rozsypałem. – Samotna łza spływa z kącika jego oka i sunie w dół, zostawiając wilgotny ślad. Ocieram ją kciukiem. Szczeka Asha szorstka jest od zarostu.

Nie wiem, kiedy ostatnio czułam się dobrze, kiedy wydarzyło się coś miłego. Od tak dawna tkwiłam w labiryncie lęku i napięcia, że zapomniałam, jak to jest się nie bać. Przyciągam Asha do siebie i nagle ostatnie dni rozplývają się w niebycie.

Nasz pocałunek jest delikatny i powolny. Już nie musimy się spieszyć. Nie musimy się ukrywać, martwić się o to, czy Carnelian na pewno jest na lekcjach albo, czy przypadkiem nie nakryje nas Diusza. Jesteśmy w bezpiecznym miejscu. Sami. Tak bardzo tęskniłam za bliskością Asha, że teraz, gdy znów jej doświadczam, serce aż boli mnie z radości. Wsuwam dłonie pod jego sweter i przesuвам opuszkami palców po krzywiźnie pleców. Usta Asha przesuważą się na moją szyję. Całuje mnie delikatnie i każde muśnięcie jego warg rozpala płomień w tym sekretnym miejscu mnie, o którym wie tylko on.

Jednym płynnym ruchem ściągam z niego sweter. Prawie już zapomniałam, jak gładką ma skórę na piersi, jak ostro zarysowany obojczyk i jak twarde są jego ramiona. Gdy przeciągam dłońmi po jego brzuchu, Ash ze świstem wypuszcza powietrze, a potem chwyta krawędź mojego swetra. Unoszę ręce, by pomóc mu go ze mnie zdjąć.

Dreszcz tęsknoty wstrząsa mną, gdy moja naga skóra dotyka jego skóry. Mam wrażenie, jakby każde miejsce, którego dotyka Ash, było naelektryzowane. Wczepiam palce w jego włosy i poddaję się jego pocałunkowi.

Mantra pojawia się w moim umyśle bez udziału woli.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrępuj go.

Nie muszę otwierać oczu, by wiedzieć, że włosy Asha odzyskały swój naturalny kolor. Chcę, żeby był sobą i tylko sobą.

Parska cichutkim śmiechem i jego ciepły oddech pieści mój policzek. Płonę.

– Znow mam brązowe włosy? – pyta.

– Skąd wiedziałeś?

– Kiedy to robisz, czuję ciepło i jakby... mrowienie?

– Naprawdę? – Cieszę się, że to dla niego przyjemne. Niemal nie zauważam tępego bólu u podstawy czaszki.

– Mhm... – Wzdycham głęboko, czując jego palce zaciskające się na mojej talii.

Nagle ktoś łomocze do drzwi.

– Violet? – Głos Luciena sprawia, że rozpedzone serce podskakuje mi do gardła. Sięgam po sweter i pospiesznie go zakładam.

– Świetnie, po prostu super – burczy Ash, wciągając przez głowę swój.

Kiedy obydwójce jesteśmy ubrani, otwieram drzwi.

– Cześć – rzucam, wciąż nieco zdyszana. Moja twarz płonie i wiem, że wyglądam na dokładnie tak winną, jak się czuję.

Lucien spogląda to na mnie, to na Asha.

– Jeśli choćby pomyślisz o tym, żeby jej dotknąć, połamię ci kości – syczy.

– Rany, Lucien, naprawdę? – rzucam, zniechęcona.

– Myślałem, że już ustaliliśmy, kto kogo jest w stanie połamać – odcina się Ash.

– Ash! – jęczę.

– Nie po to ryzykowałem dla niej wszystko, żebyś ty mógł zaspokoić swoje potrzeby. – Głos Luciena przypomina warkot. – Ma ważniejsze rzeczy do roboty.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Tak mi się właśnie wydaje. – Lucien wchodzi głębiej do pokoju. – Sądzę, że w tej chwili myślisz dość jednotorowo. I nie robisz tego głową.

– Przestańcie natychmiast! – wykrzykuję.

– Lucienie, jesteś genialny, i nawet ja muszę to przyznać, ale – Ash potrząsa głową – czasami jesteś powalająco tępy.

– Przepraszam bardzo? – Lucien robi krok w stronę Asha. Łapię go za łokieć, by powstrzymać to, co zamierza zrobić. Czymkolwiek by to nie było.

– Nienawidzisz towarzyszy, bo mamy coś, czego ty nie masz – ciągnie Ash. – Nie dostrzegasz jednak, że nam również coś odebrano, prawda?

Lucien wybucha lodowatym śmiechem, od którego po kręgosłupie przechodzi mi dreszcz.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówisz – oświadcza zimno.

– Wszystko w porządku? – Na dźwięk głosu Garneta wszyscy podskakujemy. Syn Diuszesy opiera się swobodnie o futrynę i uśmiecha w ten specyficzny, lekko złośliwy sposób. Ciekawe, od jak dawna przygląda się awanturze.

– Tak, tak, w najlepszym – odpowiada Lucien sztywnym tonem. – Wszyscy potrzebujemy snu. A zwłaszcza ty. – Zwraca się w moją stronę. – Czeka cię sporo roboty.

– Będę spać z Raven – mówię mu. – Garnet może nocować z Ashem. Ale, Lucienie... – Patrzę prosto w jego ciemnoniebieskie oczy. – Mam dość tych durnych rozmów o Ashu i o tym, co mi wolno, a czego mi nie wolno. Nie po to uciekłam z jednego więzienia, by trafić do drugiego. Musisz mi zaufać, musisz uwierzyć, że jestem w stanie sama o sobie decydować. Bo mogę to robić i będę to robić.

Lucien wydyma wargi i bardzo niechętnie kiwa głową. Ruch jest ledwie zauważalny. Potem wymaszerowuje z pokoju, nie zaszczycając Asha spojrzeniem.

– No cóż... – Garnet wchodzi do sypialni i przyjacielsko klepie Asha po ramieniu. – Ekscytujący dzień, prawda? – Nachyla się i teatralnym szeptem dodaje: – Jeśli potrzebujecie prywatności, to... Nikomu nie powiem, słowo.

Przewracam oczyma.

– Musisz się wyspać – mówi do mnie Ash. – Nie wiem, co cię czeka, ale ta kobieta, Sil, tak?, nie wygląda na specjalnie miłosierną.

Potakuję i z trudem tłumię ziewnięcie. Ash uśmiecha się i całuje moje zamykające się powieki, a potem muska wargami wagi.

– Idź – mruczy. – Zobaczymy się rano.

Tak naprawdę wcale nie chcę go zostawiać, ale jestem wyczerpana. Kiedy wchodzę do pokoju, Raven wciąż śpi. Zrzucam buty i padam na wolne łóżko, nie zawracając sobie głowy rozbieraniem się. Kołdra pachnie wrzosami i przypomina mi dom. W szczególnie zimne noce albo w trakcie burzy Hazel wpełzała do mojego łóżka i zasypiała, zwinięta u mego boku.

– Dobranoc, siostrzyczko – mówię, jak wiele razy wcześniej, jeszcze w Bramie Południowej. – Dobranoc, Ochre. Dobranoc...

Zasypiam, nim jestem w stanie wymruczeć „mamo”.

Budzi mnie walenie do drzwi.

– Wstawaj! – krzyczy Sil. – Dzisiaj zobaczymy, co z ciebie będzie.

Mogłabym przespać jeszcze ze dwadzieścia godzin. Trę oczy, przeciągam się i złażę z łóżka, by obudzić Raven. Dałabym jej jeszcze pospać, nie chcę jednak, by obudziła się sama.

– Raven – mówię, potrząsając ją za ramię. – Pora wstawać.

Podrywa się z poduszki, jak szarpnięta za linki lalka.

– Ciemno, za ciemno – mamrocze. Patrzy na mnie nieobecny spojrzeniem. – Zabiorą twoje oczy.

– Już w porządku. – Ujmuję jej twarz w dłonie, próbując zmusić ją, by naprawdę mnie zobaczyła. –

Jesteś Raven Stirling. Jesteś prawdziwa. Jesteś silna.

Zmiana odbywa się na moich oczach. Na policzki Raven wraca kolor, a jej tęczywki przestają być szkliste.

– Violet? – pyta. Rozgląda się wokół. – Och, jasne. Jesteśmy bezpieczne, prawda? Nie musimy już uciekać.

– Nie musimy uciekać – powtarzam.

Raven wstaje i podchodzi do okna. Idę za nią i przez długą chwilę obydwie patrzymy na cichą polanę ze wszystkich stron otoczoną gęstym lasem. Oszroniona trawa migocze w porannym słońcu. Na niebie tańczą ptaki.

– Jak tu cicho – szepce Raven.

– Tak.

– Podoba mi się. – Obraca się w moją stronę i na jej wargi wypływa smutny uśmiech. – To miłe miejsce, żeby umrzeć.

Czuję się, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w żołądek.

– Nie pozwolę na to.

Raven całuje mnie w policzek.

– Jestem głodna – stwierdza.

Staram się zachowywać normalnie, gdy maszerujemy na dół. Nikomu nie robi się lepiej, jeśli zegnę się w pół i zacznę histerycznie szlochać. Na pewno nie pomoże to Raven.

Cała reszta już wstała. Lucien siedzi przy stole z kubkiem kawy w dłoni i czyta rozłożoną na blacie gazetę. Dziwnie widzieć go bez uniformu dwórki, tego ranka ma na sobie zwykłe brązowe spodnie i szary sweter.

– Lucienie... – Unoszę brew. – Wyglądasz...

Uśmiecha się cierpko.

– Szokujące, prawda? Może wyda ci się to dziwne, ale tak naprawdę wcale nie lubię nosić sukienek.

Szczerzę zęby. Cieszę się, że ma lepszy nastrój.

– Jedz – komenderuje Sil z kuchni, w której nakłada owsiankę dla Asha. Podaje mu miskę i zaczyna przygotowywać kolejną porcję, tym razem dla mnie. Nie żałuje brązowego cukru.

– Jak spałaś? – pyta Ash.

– Jak zabita – odpowiadam. Włosy Asha są wilgotne i splątane. Mam ochotę wsunąć w nie palce. – Wzięłaś kąpiel?

Uśmiecha się krzywo.

– Minęło już sporo czasu... Naprawdę jej potrzebowałam.

– Jedz – powtarza Sil, stawiając przede mną miskę. – Potem możesz się umyć. – Pociąga nosem. –

Obydwie powinniście – dorzuca, spoglądając na Raven.

– Gdzie jest Garnet? – pytam i wsuwam do ust łyżkę. Cukier rozpuszcza mi się na języku.

– Na zewnątrz. Marudzi – odpowiada Lucien. Zamyka gazetę i przesuwa ją do mnie tak, bym mogła ją odczytać. Na froncie „Kuriera Samotnego Miasta” wielkimi literami stoi: BAJECZNY ŚLUB. Pod nagłówkiem, nieco mniejszym drukiem widnieje: NAJLEPSZA PARTIA WRESZCIE SIĘ ŻENI.

Przez to, co się ostatnio działo, zupełnie zapomniałam o tym, że Garnet miał się ożenić. A przecież nawet grałam na wiolonczeli na jego zaręczynowym przyjęciu. Wzdrygam się, przypominając sobie, jak niemal nie umarłam w wyniku poronienia. Nie wiedziałam, że data ceremonii została już wyznaczona.

– Och – wzdygam. – Racja.

Przyzwyczałam się do tego, że Garnet kręci się gdzieś niedaleko. Że jest... przyjacielem? Dziwnie pomyśleć, że wróci do Klejnotu, by wieść życie wśród arystokracji.

– Nie będzie już dłużej członkiem twojego sprzysiężenia? – pytam. – Ale przecież zrobił sobie ten tatuaż i...

Lucien uśmiecha się do mnie.

– Pochlebia mi, że myślisz, że to moje sprzysiężenie.

– Dajże spokój. Przecież to ty jesteś Czarnym Kluczem!

– Być może cię to zaskoczy, ale nie jestem pierwszym, który pomyślał, że należałoby wreszcie osądzić szlachtę za to, co tu wyprawia. Jakieś dwa stulecia temu, nikt nie pamięta dokładnie kiedy, a arystokracja najchętniej wszystkiemu by zaprzeczyła, był na Farmie jeden mężczyzna... Nazywał się Bulgur Key. Próbował dokonać zamachu stanu, stworzył tajne stowarzyszenie i nieźle namieszał w całej Farmie. Niestety, jego działania miały ograniczony zasięg, nie był w stanie wyjść poza własny krąg. Skończyło się tym, że i on, i wszyscy członkowie Czarnego Klucza zostali straceni. Powstanie zostało zamiecione pod dywan. – Lucien z namysłem postukuje palcem w policzek. – Uznałem, że jego dzieło warto byłoby kontynuować.

– A jak właściwie się o tym dowiedziałeś? Skoro szlachta starała się wszystko ukryć.

– Ach! Diusza Jeziora ma największą bibliotekę w całym mieście. Nie wiem, czy pamiętasz, ale pozwoliła mi od czasu do czasu z niej korzystać. – Lucien puszcza do mnie oko. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Co za ironia losu, Diusza niechcący pomogła rewolucji.

– Nie martwisz się tym, że znów skończy się podobnie? – pytam. Ash posyła mi spojrzenie, z którego odczytuję, że zastanawiał się nad tym samym.

Lucien bierze mnie za rękę.

– Nie – odpowiada zdecydowanym tonem. – Bo tym razem powstanie nie ograniczy się do jednego kręgu. Mamy coś, a raczej kogoś, kogo nie miał Bulgur Key. Ciebie.

Owsianka w moich ustach gęstnieje do konsystencji cementu. Przełykam ją z trudem i odsuwam od siebie miskę.

– Więc co masz zamiar zrobić z Garnetem? – pyta Ash. Jestem mu wdzięczna za zmianę tematu.

– On chce, żebym ocalił go przed tym małżeństwem – oznajmia Lucien. – Jakbym był jakimś czarodziejem.

– Dużo ci nie brakuje – rzucam.

Uśmiecha się do mnie.

– Dziękuję.

– On nie chce stąd wyjeżdżać – odzywa się nagle, wpatrzona w nagłówek Raven. – Podoba mu się tutaj. Chce być z nami.

Dokładnie w tej chwili w drzwiach pojawia się Garnet.

– O, czyli już wiecie – stwierdza na widok gazety. – Możecie go przekonać, żeby jakoś wyciągnął mnie z tego kretyńskiego małżeństwa? Nie mogę spędzić reszty życia z Coral. Ona ma kolekcję miniaturowych serwisów herbacianych. Rozumiecie? Jaka kobieta zbiera miniaturowe herbaciane serwisy?

– Bardzo samotna kobieta? – sugeruje Raven.

Garnet krzywi się.

– Jasne, to przykre, ale dlaczego akurat ja mam jej dotrzymywać towarzystwa? Chcę zostać. Chcę pomóc.

– Właśnie w ten sposób nam pomożesz – oznajmia Lucien. – Zastanów się tylko. Będziemy mieć kogoś w pałacu Diuszesy, kogoś, kto będzie wiedział, co tam się dzieje i przekaże nam informacje. Wiesz, jak trudno jest znaleźć sprzymierzeńców w Klejnocie? Garnet, jesteś dla nas prawdziwym darem! – Opiera się wygodniej na krześle. – Zabawne, ale przez myśl mi nie przeszło, jak bardzo możesz być użyteczny. Chciałem tylko, żebyś miał oko na Violet.

– Wielkie dzięki – burczy Garnet.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało obraźliwie. Zaskoczyłeś mnie, a to nie jest łatwe, z czego pewnie świetnie zdajesz sobie sprawę.

Garnet wzdycha i opada ciężko na fotel.

– No patrzcie, a myślałem, że jesteś wielbicielem wolności i takich tam – mruczy.

– Bo jestem – odpowiada Lucien. – Ale czasem trzeba coś poświęcić.

– Coś ty właściwie zmalował, Garnet? – pytam. – Ta przysługa, którą wisisz Lucienowi, to nie byle co, prawda?

– Właśnie. Sam jestem ciekaw – dołącza się Ash. Nawet w oczach Raven dostrzegam cień dawnej ciekawości.

Garnet czerwienieje na twarzy.

– Nic takiego – prychna.

– Wkurzył kilka osób, a potem wpakował się w bardzo, ale to bardzo kompromitującą historię z pewną młodą panią z Banku – wyjaśnia Lucien ze złośliwym półuśmiechem. – Tak się składa, że ojciec tejże panią prowadzi tę gazetę. – Unosi „Kurier Samotnego Miasta”. – Gdyby zatroskany ojciec dowiedział się o tym, co się stało, nawet Diuszesa nie byłaby w stanie wyciągnąć synka z bagna. Ocaliłem Garneta przed utratą tytułu.

– Wiesz, gdzie mam ten tytuł? – irytuje się Garnet.

– No cóż, możesz go sobie mieć, gdzie ci się podoba, ale teraz bardzo nam się on przyda.

– Możecie rozprawiać o tym do upadłego – wcina się Sil – ale ona idzie ze mną. – Wskazuje mnie palcem.

– Zrobię, co tylko chcesz – mówię, patrząc na nią prosząco. – Tylko daj mi się najpierw umyć.

Łazienka jest na piętrze.

W pomieszczeniu stoi gigantyczna wanna na pazurzystych łapach. Wypełniam ją wodą tak gorącą, że powietrze staje się ciężkie, a lustro nad umywalką zachodzi parą. Nie spieszę się. Moczę się i szoruję, aż mam zupełnie pomarszczone palce. Z wielką starannością zmywam z siebie sadzę, pył i woniejący kwaśno pot. Czysta, czuję się jak zupełnie nowa osoba. Owijam się grubym białym ręcznikiem, wycieram lustro i spoglądam na swoje odbicie. Niemal się nie rozpoznałem.

Koszmarne podróże przez Bank i Dym pozostawiła na mojej twarzy ślady: cienie pod oczyma i zapadnięte policzki. Również obojczyki wystają bardziej. Annabelle i Cora raz dwa uporałyby się z tym za pomocą kremów i pudrów... Jednak nie tylko to się zmieniło. W moich oczach, w sposobie, w jaki

trzymam brodę i w wyprostowanych ramionach dostrzegam siłę. Patrząc na kobietę w lustrze niemal potrafię uwierzyć, że naprawdę jestem zdolna do jakichś niesamowitych czynów.

Szafa w sypialni pełna jest ciuchów, jednak większość z nich wygląda na męskie. Nie mam zamiaru wybrzydzać. Wybieram parę brązowych, nieco na mnie za dużych spodni i spinam je paskiem, żeby nie zjechały z bioder. Wielki wełniany sweter pasuje do nich jak ulał. Łapię skarpety i schodzę na dół.

Garnet i Ash siedzą przy stole i grają w halnę. Lucien zrejterował do kuchni, gdzie przyciszonym głosem rozmawia z Sil, a Raven kołysze się mechanicznie w bujanym fotelu przed kominkiem.

– Dobry jesteś jak na szlachcica – rzuca Ash, gdy Garnet zgarnia trzy z jego pionków.

Garnet wzrusza ramionami.

– Annabelle mnie nauczyła – wyjaśnia.

Ash spogląda na mnie pytająco. Kiwam głową. Annabelle była najlepszą graczką, jaką kiedykolwiek spotkałam.

– No dobrze, pora na nas – oświadcza Sil, podchodząc do mnie z parą znoszonych skórzanych butów. – Powinny pasować. Chodźmy.

Zakładam buty i dokładnie je sznuruję.

– Powodzenia – rzuca do mnie Lucien, gdy idę za Sil do tylnych drzwi.

Na tyłach domu jest mniejszy ganek. Niebo jest ciężkie od gęstych, ciemnoszarych chmur, a między drzewami okalającymi wielkich rozmiarów łąkę zalega mgła. W oddali, spowita mlecznym oparem, majaczy stodoła. Szare drewno wygląda na stare i lekko zbutwiałe. Po prawej dostrzegam niewielką sadzawkę, a między nią i oborą rozciąga się martwy teraz ogród, równe rzędy zeschniętych badyli i skurczonych liści.

Sil schodzi po schodkach i rusza różnym krokiem poprzez pole. Muszę się wysilić, by dotrzymać jej kroku.

Powietrze jest wilgotne i już po chwili włosy zaczynają kleić mi się do szyi. Gdy wreszcie dochodzimy do linii drzew, jestem, pomimo chłodu, spocona i zdyszana. Sil zatrzymuje się i z uśmiechem spogląda w górę, na zwieszające się ponad naszymi głowami gałęzie. Poklepuje jeden z pni tak, jak mogłaby poklepać psa lub konia. Potem znów rusza przed siebie. Przemyka między drzewami, dotykając każdego z nich. Idę za nią. Czasem zatrzymuje się, by objąć dłonią jakąś konkretną gałąź albo przykuca i bierze garść ziemi, którą później rozciera między palcami. Mam wrażenie, że kompletnie zapomniała o mojej obecności, jestem więc zaskoczona, gdy nagle się odzywa.

– Natura nie jest samolubna – oznajmia. – Po prostu chce przetrwać. Ludzie ją krzywdzą, rozkopują ziemię, zatruwają wody, wykorzystują skały, metal i kamienie dla swoich własnych celów. Jesteśmy strażniczkami. Jesteśmy pośredniczkami między ludzkością a naturą, która zawsze szuka równowagi. – Spogląda na krzyżujące się na tle nieba gałęzie. – Ta wyspa dawno już nie jest w równowadze.

Pomiędzy nami rośnie smukła brzoza. Sil przesuwa dłonią po jej korze.

– Jakie są cztery żywioły? – pyta.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że nie mówiła do drzewa.

– Ziemia? – odpowiadam z wahaniem. – Powietrze, woda i... i...

– Ogień – kończy za mnie Sil. Jest zirytowana. – Niczego was już nie uczą w tych Magazynach?

Rozsądniej wydaje mi się nie odpowiadać. Znam Sil ledwie od kilku godzin, zdążyłam się już jednak zorientować, że kłócenie się z nią donikąd nie prowadzi.

– Nie jesteśmy w stanie niczego stworzyć – ciągnie Sil. – Możemy tylko przyzwać jeden z żywiołów. Wyspa dała nam tę moc. To ona wybrała nas na strażniczki. Musisz nauczyć się jej słuchać. Augurie to wypaczenie natury. Kiedy stajesz jednością z żywiołem, nie ma bólu i nie ma krwi, a jedynie głębokie zrozumienie. Musisz się mu poddać. – Gdy tylko kończy mówić, z gałęzi brzozy, którą wciąż dotyka,

wyrasta żywozielony liść. Przez chwilę drży w chłodnym powietrzu, po czym jego krawędzie brązowieją i kurczą się, aż wreszcie usycha i spada na ziemię. – Twoja kolej – oznajmia Sil.

Z trudem ukrywam uśmiech. Pewnie, że mogę to zrobić. Nauczyłam się tego, gdy miałam dwanaście lat. Sil podnosi z ziemi cienką gałązkę i obraca ją z namysłem w palcach.

– No dalej – mówi. – Zobaczmy, co potrafisz.

Dotykam jednej z gałęzi.

Najpierw ujrzyj, jaki jest. Potem w myślach ujrzyj swych. Wreszcie...

– Au! – wykrzykuję, bo Sil smaga mój nadgarstek.

– Czy ja ci powiedziałam, żebyś użyła Augurii?

– Powiedziałaś, że mam sprawić, by urosło – mruczę, masując obolałą rękę.

– Naprawdę? Tak powiedziałam?

Zastanawiam się nad jej słowami i dociera do mnie, że właściwie niczego mi nie powiedziała. Dotknęła drzewa, wyrósł z niego liść i to właściwie tyle.

– Musisz poprosić – oznajmia.

– Ale jak?

– Jak? A jak nauczyłaś się oddychać? To instynktowne.

Znów kładę dłonie na drzewie.

Najpierw...

– Au! – Tym razem obrywam po palcach.

– Przestań używać tej idiotycznej mantry! – irytuje się Sil.

– Skąd wiesz, że to robię? – pytam, zmieszana.

– Myślisz, że nie wiem, jak to wygląda? – sarka. – Że nie czuję, jak emanuje z ciebie falami? To dominacja, manipulacja, obrzydliwa przemoc! Cuchniesz tym!

– No cóż, nie żebyś dała mi jakąś sensowną instrukcję postępowania – mamrocę.

– Nie słuchasz mnie.

– Ależ słucham! – protestuję.

– Tak? To udowodnij mi to.

Zaciskam zęby i ostrożnie dotykam drzewa raz jeszcze.

Hmmm... Bardzo ładnie proszę, urośnij? Rośnij? Proszę? Błagam? – myślę.

Gałązka znów chlasta mnie po palcach.

– Przestań! – krzyczę. – Naprawdę próbuję!

– Nie próbujesz – odpowiada Sil. – Uważasz, że jestem starą wariatką. – Przekrzywia głowę i wbija we mnie wzrok. – Ale w porządku, jak na razie zrobiłaś dokładnie to, czego się spodziewałam. Azalea też na początku nie rozumiała. – Wzdycha ciężko. – Musisz się nauczyć. A skoro nie chcesz po dobroci...

– Co masz na myśli? Ja...

Nagle z ziemi wyłaniają się grube brązowe liny i owijają mi najpierw stopy i kostki, a później również łydki.

– Przestań! – wrzeszczę, przerażona. Sil, jak gdyby nigdy nic, odwraca się i rusza w kierunku domu. –

Sil! – wołam ją, usiłując wyrwać się z uścisku. – Sil, co ty wyprawiasz?

Pochyliłam się i spostrzegam, że te liny to tak naprawdę korzenie. Sil musiała zrobić to celowo, wezwała brzozę, poprosiła ją, czy co tam robiła i do czego próbowała mnie skłonić... Uwięziła mnie!

– Sil! Sil, nie możesz mnie tu zostawić! Lucien!

Nikt nie odpowiada.

– Ash! – krzyczę jeszcze głośniej. – Garnet! Raven!

Mam wrażenie, że z wnętrza domu dobiega jakiś hałas, ale farma jest ładny kawałek drogi stąd i nie

wiem, czy naprawdę coś słyszę, czy to tylko moja wyobraźnia. Łapię za korzenie, wbijam w nie paznokcie i usiłuję poluzować ich chwyt. Na nic. Mam wrażenie, że drzewo trzyma mnie jeszcze mocniej.

Wreszcie się poddaję. Wyczerpana, opieram się ciężko o brzozę i pozwalam, by do oczu napłynęły mi łzy frustracji.

Jeśli to miała być pierwsza lekcja, to zdecydowanie się nie popisałam.

Popołudnie przechodzi w wieczór.

Prawie umieram z głodu. Zjedzona na śniadanie owsianka stała się jedynie odległym wspomnieniem. Burczy mi w brzuchu, wargi mam wyschnięte, a język przypomina kawał papieru ściernego. Wsuwam dłonie w rękawy swetra, by zatrzymać trochę ciepła, ale palce u rąk i stóp mam zdrętwiałe z zimna.

Nie jestem bliższa przywołania kogoś z żywiołów niż w chwili, w której Sil okładała moje ręce gałęzią. To wszystko wydaje się jedynie koszmarną stratą czasu.

Czuję przypływ nadziei, gdy dostrzegam zbliżające się światełko. To Lucien. Ma ze sobą latarnię, ale nie jedzenie. Jestem zawiedziona.

– Jak się czujesz? – pyta, podchodząc do mnie.

– A jak myślisz? – chrypię. Mam wrażenie, jakby moje gardło oklejał piasek. – Kiedy ma zamiar mnie wypuścić? Cokolwiek sobie wymyśliła, to nie działa.

– Azalea też tak mówiła – odpowiada Lucien.

– Ją Sil też uwięziła?

– Przywiązała ją tak jak ciebie, tylko do innego drzewa.

– Dlaczego? – pytam zrezygnowana. – Co takiego próbuje osiągnąć?

– Sil zna tylko jeden sposób, żeby wydobyć z kogoś prawdziwą Augurię i jest to sposób oparty na jej własnych doświadczeniach – wyjaśnia Lucien. – Żebyś zrozumiała, musi... Nie wiem, jak to ująć, stworzyć podobną sytuację, w jakiej ona się znalazła? Chce cię złamać. Osłabić. Żeby ta moc, czymkolwiek ona jest, musiała cię ocalić.

– I w ten sposób uczyła Azaleę? Pozwoliłeś jej na to?

Potrząsa głową.

– Nie miałem pojęcia, nie przebywałem tu przez cały czas. Kiedy kilka miesięcy po tym, jak tu trafiła, przyjechałem się z nią spotkać, Azalea była przywiązana do drzewa, chuda jak szkielet i niemal zagłodzona na śmierć. Byłem wściekły, ale ona właśnie tamtego dnia zrozumiała. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu i... Chciałbym kiedyś zobaczyć ten świat tak, jak ona go widziała.

Lucien siada na ziemi i spogląda w niebo, na którym pojawiają się pierwsze gwiazdy.

– Azalea była sfrustrowana moją postawą – ciągnie. – Uważała, że mógłbym robić więcej, pomagać również innym, a nie tylko jej. Ale byłem samolubny. W chwili śmierci oznajmiła, że tak się to wszystko zaczyna. Wiedziała, że jej odejście zmusi mnie do działania. I tak się stało.

Pamiętam to zdanie... Nagle przed oczyma staje mi obraz dzikiej dziewczyny o przeszywających niebieskich oczach, której głowa powoli kładzie się pod ostrzem gilotyny.

Ze świstem wciągam powietrze.

– Widziałam ją!

Lucien marszczy brwi.

– Przepraszam?

– Nigdy nie powiedziałaś mi, jak zginęła – mówię. – Czy ona... Została stracona?

– Tak – szepce.

– Lucien, to się stało obok mojego Magazynu. Widziałam to. Ona była taka... taka silna i odważna. Kiedy urzędnik zapytał ją o ostatnie słowa, oznajmiła: tak to się zaczyna, nie boję się. A potem dodała: Powiedzcie Cobaltowi, że go kocham. Wiesz, kim jest Cobalt?

Po policzku Luciena spływa samotna łza, lśniąca w świetle lampy niczym diament.

– To ja – mówi ochrypłym głosem.

– Co?

Lucien ociera twarz i odwraca się do mnie tyłem. Powoli rozwiązuje węzeł na głowie i po chwili na jego ramiona spływa wstęga jedwabistych kasztanowych włosów.

– Urodziłem się jako Cobalt Rosling – zaczyna. – Przyszedłem na świat w zachodniej kwarcie Bagna. Mój ojciec był ambitnym człowiekiem i dość szybko pojął, że jego jedyny syn różni się od rówieśników. W wieku pięciu lat czytałem ze zrozumieniem całą gazetę. Miałem dryg do liczb. Uwielbiałem rozbierać na części jedyny znajdujący się w domu zegar i składać go na powrót. Magistrat zwrócił na mnie baczną uwagę. Urzędnik zasugerował, że ojciec z łatwością znajdzie dla mnie pracę w Banku.

– Ale Bank to było dla mojego ojca za mało. To w Klejnocie było największe bogactwo... Ale nie tylko o nie chodziło. Ojca kusił status społeczny. Nienawidził mieszkania w Bagnie. Nie wiem, czy wiesz, ale Klejnot wypłaca premię rodzinom dwórek. Dwórki to najbardziej poważani ze służących w Klejnocie. Ale... Ale mężczyzna, który ma dołączyć do tego szczytnego grona, musi najpierw zostać wykastrowany. To warunek, jeśli go nie spełniasz, nie zostaniesz nawet wzięty pod uwagę. – Lucien przesuwa dłonią najpierw po wygolonej części głowy, a później po fali włosów. – Oczywiście, natenczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Któregoś dnia, niedługo przed moimi dziesiątymi urodzinami, ojciec wrócił wcześniej z pracy. Na tyłach domu było podwórko, a na nim stara szopa. Mama wysprzątała ją kilka lat wcześniej żebym mógł udawać, że to mój warsztat. Robiłem...

Lucien milknie i potrząsa głową, jakby chciał pozbyć się wspomnienia. Jestem jak sparaliżowana. Nie umiem wyobrazić sobie Luciena jako dziecka. Nie miałam pojęcia, że pochodzi z Bagna, choć przecież, skoro jego siostra była surogatką, to nie było innej możliwości. Zawsze wydawał mi się pewny siebie, spokojny i opanowany, jakby znał wyjście z każdej sytuacji.

Nigdy nie zastanawiałam się, jak to się stało, że został dwórką. Może nie chciałam wiedzieć. Może łatwiej było mi udawać, że tak po prostu było i już...

Lucien wbija wzrok w ziemię.

– Ojciec kazał mi przyjść do domu – ciągnie chrapliwym głosem. – Mama płakała, a Azalea... Azalea miała wtedy tylko dwa latka. Kuchenny stół był pusty. Ojciec oznajmił, że już niedługo pomogę całej rodzinie. Nie zauważyłem, że przyprowadził ze sobą dwóch mężczyzn, póki nie było za późno.

Pociąga mocno za włosy.

– Przywiązali mnie do stołu. – Mówi teraz szybciej, jakby chciał jak najprędzej wyrzucić z siebie całą historię. Ciekawe, czy kiedyś już ją komuś opowiedział. – Wiązali mnie, a matka krzyczała. Ponad wszystkim unosił się płacz Azalei. Nie wiedziała, co się dzieje, ale była przerażona. – Lucien wbija rozczapierzone palce w ziemię. – Nie mogłem się ruszyć. Poczułem, jak ktoś odpina moje spodnie i ściąga je ze mnie. – Jego ramiona sztywnieją. – Był ogień. I nóż. I ból.

Ukrywa twarz w dłoniach i jego ciałem wstrząsa szloch.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, czy byłabym w stanie cokolwiek powiedzieć, nawet gdyby nagle pojawiły się właściwe słowa. W głowie mam watę, mózg nie działa. Bardzo ostrożnie kładę dłoń na ramieniu Luciena.

– Och – szepczę. – Och, Lucienie...

Przesuwa ręką po twarzy.

– Dostał to, czego chciał. Sprzedał mnie do Klejnotu w zamian za przeniesienie całej rodziny na Farmę. – Lucian unosi wreszcie wzrok i patrzy na mnie. Oczy ma czerwone od płaczu, ale płonie w nich ogień. – Powinienem być umrzeć. Ojciec nie był... nie był chirurgiem i nie miał pojęcia, co właściwie robi. Powinienem być umrzeć, a Azalea powinna była przeżyć.

– To nie twoja wina, że zginęła – mówię łagodnie. – Tak samo, jak to nie wina Asha, że Cinder umiera, albo moja, że Raven... – Nie umiem dokończyć tego zdania. Odchrząkuję. – To przez nich, Lucienie. Przez szlachtę. I... Zobacz, jak wiele zrobiłeś! Działałeś w samym sercu Klejnotu, tuż pod nosami arystokratów. Rozpracowałeś ich, poznałeś. Nie poznałam zbyt wielu ze wspierających cię ludzi, ale ta garstka, z którą miałam styczność w Banku i Dymie... Lucienie, zrozum, dajesz ludziom nadzieję na coś lepszego. Zmieniasz ich życia! – Ściskam go za ramię. – Zmieniłeś moje.

Nagle ponad polem i lasem unosi się rozpaczliwy krzyk.

– Raven! – jęczę.

Lucien podrywa się na nogi i pędem rusza ku domowi. Włosy powiewają za nim jak sztandar.

– Raven! – wyję. – Raven!

Rzucam się przed siebie i, skrępowana korzeniami, padam na kolana.

Raven znów krzyczy.

– Nie! – Nie będę tu tkwiła. Nie teraz. Nie, kiedy Raven cierpi, a może umiera! Ona mnie potrzebuje.

Ciągnę i ciągnę, aż zaczynają boleć mnie kolana. Nie zważam na to. Nieważne, co się ze mną stanie, chcę być u boku przyjaciółki.

Nagle wyczuwam coś jakby drgnienie w krępujących mnie korzeniach i jedna z moich stóp uwalnia się z kleszczy. Nie wiem, czy przypadkiem nie uszkodziłam sobie jakiegoś stawu, ale zbyt jestem zajęta wyciąganiem drugiej nogi, by się tym zainteresować.

– Puść... mnie... wreszcie... – Z bolesnym szarpnięciem wyrywam drugą stopę i natychmiast rzucam się ku domowi. Gdy dopadam drzwi, jestem zupełnie mokra od potu i ledwie mogę oddychać. Na parterze nikogo nie ma. Pędzę po schodach, słysząc tylko bicie własnego serca i łomot uderzających o deski stóp.

Przed sypialnią Raven są Ash i Garnet. Garnet nerwowo chodzi z miejsca na miejsce, a Ash ponuro wpatruje się w zamknięte drzwi.

Podrywają głowy, gdy gwałtownie się przed nimi zatrzymuję.

– Co się dzieje? – pytam.

Z sypialni dobiega głośny jęk.

– Raven! – krzyczę i rzucam się do drzwi.

Ash i Garnet błyskawicznie chwytają mnie za ramiona i przytrzymują w miejscu.

– Puśćcie mnie – żądam podniesionym tonem, próbując się wyszarpnąć. Na próżno. Całą siłę zużyłam do walki z korzeniami.

– Lucien tam jest – mówi Ash. – I Sil. Oni... Robią wszystko, co tylko mogą.

– Raven mnie potrzebuje. – Upieram się. – Raven, jestem tutaj!

– Nie możesz tam wejść – oświadcza Garnet. Na jego koszuli widnieją czerwone plamy. – Nie chcesz tam wejść. Uwierz mi.

Łzy napływają mi do oczu i po chwili twarz mam mokrą. Uginają się pode mną nogi.

– Proszę... – szepczę. – Błagam, nie pozwólcie jej umrzeć.

Nie wiem, ile czasu czekamy w korytarzu. Ash i Garnet puszczają mnie wreszcie, choć Ash wciąż obejmuje mnie ramieniem, a Garnet trzyma się blisko. Każdy dobiegający z sypialni dźwięk przeszywa mnie dreszczem. Uspokajające pomruki Luciena. Cichy płacz Raven.

Potem zapada cisza.

Otwierają się drzwi i w progu staje Lucien. Nie patrzę na krew na jego rękach. Nie patrzę na wyraz jego twarzy.

Jedyne co widzę, to leżące w łóżku ciało. Raven.

– Violet – zaczyna Lucien, ale go nie słucham. Przepycham się obok niego i podbiegam do łóżka.

Skóra Raven jest mokra od potu. Ma zamknięte oczy, a na twarzy wyraz spokoju. Siadam ciężko obok

niej.

– Raven? – szepczę. – Obudź się. No już, dawaj. – Potrząsam nią delikatnie i jej głowa opada do tyłu jak u szmacianej lalki. Mrugam zawzięcie, by powstrzymać łzy. – Jesteś Raven Stirling i jesteś silna – mówię głośniej, bo może wcześniej mnie nie słyszała, a teraz usłyszy i na dźwięk mojego głosu otworzy oczy i... – Musisz się obudzić, Raven. Nie możesz... Nie możesz mnie zostawić. – Wtulam twarz w jej szyję. – Proszę, nie zostawiaj mnie.

– Odeszła.

Sil stoi pod oknem.

– Poroniła – wyjaśnia. – Nie mogliśmy... – Wzdycha. – Niczego nie mogliśmy zrobić.

– Ocal ją – żądam, wstając i wycierając nos w rękaw swetra. – Tak jak ocaliłaś siebie.

– Nie umiem – odpowiada Sil. – Nie wiem jak. Tylko ona sama mogła to zrobić.

– Nie. – Wymawiam to słowo z całą siłą, jaka wciąż jeszcze we mnie drzemie. Ktoś musi coś zrobić, bo to nie tak miało wyglądać. Raven miała być bezpieczna, miała być szczęśliwa. Miała dorosnąć, zakochać się i ŻYĆ. Tak wielu ludzi umarło i zniosłam to najlepiej, jak potrafiłam, ale tej śmierci nie wytrzymam. Obracam się w stronę Raven, patrzę na jej kruche, zakrwawione ciało i myślę, nie!, nie myślę, po prostu wiem, że oddałabym życie, by ją ocalić. Zrobiłabym wszystko, byle tylko otworzyła oczy i znów na mnie spojrzała.

Gdyby tylko ktoś był w stanie mnie pokierować, gdyby ktoś wyjaśnił mi, co czynić...

Przyklekam koło łóżka, opieram czoło na ramieniu Raven i biorę ją za rękę.

I nagle to czuję.

Jest jak cichy szmer u podstawy kręgosłupa, jak szept jesiennych liści, pierwszy podmuch wiatru. Wypełnia mnie, narasta, aż wreszcie uderza w pierś jak tornado, niosąc ze sobą kojące ciepło, jakbym w miejscu serca miała maleńkie słońce. Spoglądam w górę i kładę dłonie po obu stronach twarzy Raven. Wyczuwam, że wciąż jeszcze nie odeszła, że głęboko pod okryciem ciała wciąż jeszcze coś pulsuje, słabo i delikatnie, z wyraźnym trudem...

Coś zaczyna się zmieniać. Czuję to w opuszkach palców, a potem wyżej. Mam wrażenie, jakby na moje przedramiona padały krople letniego deszczu. Mrowią mnie wnętrza dłoni i nagle wiem, że słaby puls Raven staje się jeszcze słabszy. Ona odchodzi, umyka mi...

Zamykam oczy.

Biała Róża znika.

Jestem w miejscu, które jest zarówno zupełnie mi obce, jak i dziwnie znajome. Wiem, że nigdy wcześniej tu nie byłam, bo przede mną rozpościera się ocean, a ten widziałam dotąd jedynie na obrazkach. Powietrze jest cierpkie, a w dole rozbijają się fale. Widok jest niesamowity – surowe piękno szarości i błękitów onieśmiela.

Stoję na wysokim klifie. Nie ma ani śladu Wielkiego Muru, który otacza wyspę. Za mną jest tylko las. Pośrodku klifu stoi dziwna statua. Wyciosana z szarobłękitnego kamienia w odcieniu oceanu, spiralą strzela w górę, jak fala starająca się dotknąć nieba. Na gładkiej powierzchni wyryto znaki, symbole, których nie potrafię odczytać.

Robię krok ku posągowi i zaczyna padać. Wielkie, ciężkie krople rozpryskują się na mojej twarzy i ramionach. Zrywa się wiatr, który kołysze gałęziami drzew i sprawia, że las zamienia się w tłum oszalałych tancerzy. Być może powinnam być przerażona, ale nie czuję strachu, tylko głęboką, wszechogarniającą radość. Odchylam głowę i wydaję z siebie ni to śmiech, ni to pierwotne zwierzęce wycie. Wiatr odpowiada mi, jego podmuchy unoszą mój głos i zanoszą go falom, a ziemia pod moimi stopami drży.

Raven stoi po drugiej stronie rzeźby, mam jednak wrażenie, jakbym patrzyła na nią przez tafelę szkła, jej

sylwetka jest lekko rozmyta. Ale to ona, nie mam wątpliwości. To dawna Raven, moja Raven, Raven z czasów zanim Hrabina Kamienia rozbiła ją na kawałeczki i zostawiła na śmierć. Szmer we mnie znów narasta, nieubłagany, oszałamiający. Jego radość jest moją radością i dopiero teraz rozumiem, co miała na myśli Sil, mówiąc, że wszystko jest ze sobą połączone i że prawdziwej mocy nie da się kontrolować ani wykorzystywać, gdyż jest częścią wszystkiego.

Tak, mruży ziemia.

Tak, szepce wiatr.

Tak, ryczy ocean.

Widzę, że Raven wymawia moje imię i wiem, że oddałabym wszystko, byle tylko była ze mną, byle dotknąć jej dłoni i usłyszeć jej śmiech.

Gdy tylko ta myśl pojawia się w mojej głowie, z nieba wystrzela wielka błyskawica i uderza wprost w statwę. Przez sekundę krawędzie kamienia płoną, a później blask znika, zastąpiony lekką wonią spalenizny. Postać Raven migocze jak fatamorgana i rozpływa się w powietrzu.

Otwieram usta do krzyku, ale moje gardło wypełnia szum, deszcz przybiera na sile i wiem, że muszę być cierpliwa, muszę poczekać. Czekam więc, myśląc o Raven, przywołując wszystkie wspólne wspomnienia... Jak śmiałyśmy się razem w Bramie Południowej i jak uratowała Ashowi życie. Pamiętam dotyk jej dłoni, jak pocałowała mnie w policzek. Staram się pokazać światu całą moją miłość do Raven, podzielić się nią ze wszystkim, co mnie otacza.

I świat reaguje. Podmuchy wiatru szarpią moimi włosami, klif drży pod moimi stopami, deszcz chłosta mnie po plecach i przez ułamek sekundy mam wrażenie, jakby moje ciało znikło. Jakbym stała się ziemią, deszczem i wiatrem. Jestem gdzieś indziej, w miejscu, w którym mieszka moja muzyka, w świecie bez bólu, strachu i smutku. Sięgam głębiej i głębiej, myśląc tylko o jednym.

Raven.

I nagle zjawia się tuż przede mną. Jej skóra wygląda zdrowo i połyskuje od wilgoci, na ustach ma ciepły, zawadiacki uśmiech, a kiedy się odzywa, nie potrzebuje słów.

Znalazłaś mnie – szepce w mojej głowie.

Znalazłam cię – mówię.

Wtedy odrywam się od ziemi i ulatuję gdzieś... Nie wiem, dokąd. Zupełnie jakby zassał mnie gigantyczny wir! Klif oddala się w zastraszającym tempie, a wraz z nim statua. Kurczowo trzymam Raven za rękę, chyba niczego w życiu tak mocno nie trzymałam. Wszystko wiruje wokół nas, rozmazane, szarobłękitne. Coś szarpie mnie w przód. Spadam. Wydaje mi się, że w nicość, czuję jednak, jak coś miękkiego dotyka mojego policzka.

Otwieram oczy.

Najpierw dostrzegam kolor. Leżę bezwładnie w poprzek Raven i jedyne, co widzę, to barwna kołdra na jej łóżku. Przez kilka sekund tkwię w bezruchu, świadoma absolutnej ciszy w pokoju i nawet bardziej znaczącej ciszy we mnie. Czegokolwiek doświadczyłam, nie znikło. Mam wrażenie, jakby czekało, przyczajone, aby mnie pochwycić. Biorę głęboki oddech. Powietrze smakuje inaczej.

Siadam.

Pierwsza rzecz, na którą zwracam uwagę, to moje własne ciało. Mam wrażenie, jakby poprzez moje mięśnie i żyły przepływała jakaś nowa siła. Nie fizyczna, nie o to chodzi. Czuję się... odmieniona? Wywyższona?

Rozglądam się wokół. Pokój wygląda, jakby przeszła przez niego trąba powietrzna. Rzeczy pospadały z półek i leżą na podłodze. Ledwie zdaję sobie sprawę z tego, że nie jesteśmy tu z Raven same. Za plecami mam Luciena, Garnet i Ash opierają się o ścianę przy drzwiach, a Sil stoi przy oknie.

Sil. Wyczuwam jej obecność. Ma swój własny zapach, swoją własną wagę. Jakim cudem nie

zauważyłam tego wcześniej?

Odwracam się i koncentruję na jedynej osobie, która jest w tej chwili ważna.

Twarz Raven nie jest tą pełną życia, zdrową twarzą, którą widziałam na klifie. Jest blada i zapadnięta, o spękanych wargach. Czarne włosy, matowe i splątane, kleją się do skóry.

Ale Raven ma otwarte oczy.

Emocje, które we mnie buzuja, są po równo znane i nieznane. Nie tylko ja się cieszę. Jest zupełnie nowa część mnie i wiem, że już zawsze będzie mi ona towarzyszyć.

Mam wrażenie, że w oddali słyszę cichutki śpiew. Śpiewa sadzawka, śpiewa wiatr, śpiewają drzewa i wszędzie wokół jest tyle życia, że aż zapiera mi dech w piersi. Raven otwiera usta.

– Znalazłaś mnie – chrypi.

Czar pryska. Padam na jej pierś i szlocham. Wiem, że wszystko jest w porządku, a jednak płaczę, nieomal przygnieciona własnym szczęściem. Łzy pomogą i mnie, i jej.

– Tak – wyduszam między spazmami. – Znalazłam cię.

Sil prosi, żebym zeszła na dół.

Wymuszam na Lucienie obietnicę, że zostanie z Raven, która zdążyła już zasnąć. Przez długą chwilę przyglądam się, jak jej pierś unosi się i opada. Muszę się upewnić, że ten ruch nie ustanie, że ona naprawdę żyje.

Ash i Garnet również zostają na górze. Patrzą na mnie inaczej niż wcześniej, w ich szeroko rozwartych oczach dostrzegam zdumienie, może również nieufność. Idąc za Sil, mijam ich bez słowa. Zastanawiam się, jak to wszystko wyglądało z ich perspektywy.

Ciekawe, co narobiło takiego bałaganu.

Sil wstawia na kuchnię czajnik, a ja ciężko opadam na jedno ze stojących przy stole krzeseł. Trzęsą mi się dłonie.

– No więc – zaczyna Sil – teraz już wiesz.

Potakuję.

– Jak się czujesz?

Potrząsam głową, bo nie znam odpowiedzi na to pytanie. Mam wrażenie, że czuję wszystko jednocześnie, najróżniejsze emocje oraz coś jeszcze, coś obcego, co sprawia wrażenie, jakby nie do końca było ludzkie.

– Właśnie tak wyglądała Azalea, kiedy poznała prawdę. Choć ona nie musiała zawrócić swojej przyjaciółki z krainy zmarłych. – Sil w zamyśleniu skubie płatek ucha. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Wbijam wzrok w słoje drewna na blacie.

– Zamieniłaś się w cholerną niemowę, dziewczyno?

Na słowo „niemowa” podrywam gwałtownie głowę, a płomień pod czajnikiem strzelają w górę. Sil cofa się o krok. Złość emanuje ze mnie jak fale rozgrzanego powietrza, jest jak ogień, mam wrażenie, że moja skóra płonie.

– Nigdy tak do mnie nie mów – warczę. – Nigdy!

– W porządku – mówi Sil powoli, łagodnym tonem. – Musisz się uspokoić.

Nie potrafię się uspokoić. Ogień wewnątrz mnie staje się coraz dzikszymi i dzikszymi, a im gwałtowniej płonę, tym wyżej strzelają płomienie na palenisku. Wreszcie obejmują cały czajnik. Zrywam się z krzesła i odskakuję w tył.

– Co się dzieje? – pytam, zszokowana. Roślina na parapecie rozsada nagle ceramiczną doniczkę. Jej korzenie rozpełzają się po podłodze, a liście puchną, aż stają się dwa razy większe niż normalnie. Roślina jest niczym wijący się robak w moich trzewiach, tym większy i silniejszy, im bliżej podpełzają korzenie. Wydaję z siebie przerażony okrzyk i ze zlewu tryska fontanna woda. Ogień w moim wnętrzu przygasa nieco, wciąż mam jednak wrażenie, że topi mi się skóra. Jakaś część mnie spodziewa się, że za moment kawałki mojego ciała nabiorą konsystencji budyniu i plasną o podłogę.

– Wyjdź z domu – rozkazuje Sil. – Natychmiast!

Wypadam na zewnątrz, ścigana przez niestrudzone korzenie. Zatrząskuję za sobą drzwi i padam na stopnie ganku, rozpaczliwie walcząc o oddech. Chwytam się rękoma za głowę, bo nie chcę niczego dotykać... Boję się choćby na cokolwiek spojrzeć. Czuję się, jakbym znów ześlizgiwała się rurą we wnętrzu pieca, organy wewnętrzne pozamieniały się miejscami, a żołądek mam w okolicach gardła.

Ostrożnie dotykam dłonią szyi. Uff. Wszystko jest w porządku. Kości i skóra są na swoich miejscach. Nic mi nie odpadło.

Po jakiejś minucie, która równie dobrze mogłaby być godziną, z domu wychodzi Sil. Poklepuje mnie po plecach, zapewne by dodać mi otuchy, ale bardziej mnie to boli niż pokrzepia. Siada obok.

– Nie martw się – mówi – to nie pierwszy raz, kiedy eksplodowała doniczka albo wybuchł pożar. Wierz mi, nie takie rzeczy się tu zdarzały.

– Ja nie... Nie umiem... Przepraszam – dukam. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Och, to jasne jak słońce.

– Może nie powinnaś się do mnie zbliżać. Nie chcę cię skrzywdzić. – Nie wiem, czym dokładnie jest ta nowa moc, ale sprawia wrażenie niebezpiecznej. Ja jestem niebezpieczna.

Sil chichocze pod nosem.

– Nie boję się ciebie. Dobrze wiem, przez co przechodzisz, sama tego doświadczyłam. Jeśli chcesz zachować zdrowie psychiczne, to lepiej naprawdę zacznij mnie słuchać.

Wsuwa mi w dłonie kubek z herbatą. Wonna para pieści moją twarz. Cudowne uczucie dotykać czegoś materialnego, czegoś... normalnego?

– Jak ja to zrobiłam? – pytam cicho. – Jak udało mi się ją ocalić?

Sil wybuchając serdecznym śmiechem i z rozmachem klepie się w udo.

– A skąd mam to wiedzieć? – prychna. – Myślisz, że jesteśmy wszystkie takie same. Popatrz na las, ile jest w nim identycznych drzew? Albo na sadzawkę, myślisz, że krople są naprawdę do siebie podobne? Bujda. Natura uczyniła nas różnymi od siebie. A ty... – Gwiżdże przez zęby. – Nie wiem, może jesteś jakiegoś rodzaju uzdrowicielką? Może miałaś fart? A może tak bardzo kochasz tę biedaczkę, że stało się to, co się stało.

Pociągam łyk herbaty. Chryzantemowa. Taką samą robiła mama.

– Co się stało w pokoju? Jak to wyglądało?

– Huragan – odpowiada Sil. – Jak już wspomniałam, to nie pierwszy raz, kiedy coś w tym domu rozleciało się na kawałeczki. Cztery żywioły, pamiętasz? Powietrze. Ziemia. Woda. Ogień.

Myślę o płomieniach obejmujących czajnik i o tym, jak czułam je wewnątrz siebie. Jakbym stała w ogniu. Wzdrygam się.

– Nie miałam wrażenia, że to ja... – mówię. – Tak jakby...

– Oddałaś im część siebie – wyjaśnia łagodnie Sil. – Ucieleśniasz żywioł. Potrzebujesz czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

– Więc co mam teraz robić?

Sil wstaje.

– Chodź ze mną.

Odstawiam kubek i ruszam za nią przez łąkę. Gwiazdy wyglądają jak drobinki soli na ciemnym aksamicie nieba. Powietrze jest chłodne, ale nie przeszywa mnie tak, jak wtedy, gdy tkwiłam przywiązana do brzozy. Mam wrażenie, jakby gdzieś wewnątrz mnie wciąż tlił się żar.

Sil zatrzymuje się na brzegu stawu i spogląda na mnie. Gwiazdy migoczą, a światło księżyca odbija się od gładkiej powierzchni zbiornika. Jestem niesamowicie świadoma wody, jej bezruchu, niezwykłego spokoju. Chcę jej dotknąć.

– Masz moc łączenie się z każdym źdźbłem trawy na łące, każdą kroplą wody w sadzawce, każdą gałęzią każdego drzewa. Odpowiedzą ci. Ale, pamiętaj, nie masz nad nimi władzy. Jesteś im równa i musisz być ich warta. Poddajesz się żywiołowi, a on poddaje się tobie.

Klękam i dotykam opuszkami palców wysrebrzonej przez księżyc powierzchnii stawu.

– Stań się wodą – mówi Sil.

Natychmiast czuję więź, zupełnie jakby moje palce utraciły sztywność, jakby same stały się wodą, którą muskają. Po chwili to samo spotyka moje przedramię i ramię, a potem również klatkę piersiową. Jakbym się rozpuszczała, przekształcała... To przerażające i upajające zarazem. Od moich palców rozchodzą się niewielkie fale i nagle ja również faluję. Wiatr rozwiewa mi włosy i łaskocze mnie w szyję. Wszystko jest takie spokojne a jednocześnie pełne życia. Gdzieś głęboko drzemie ogromna siła. Czuję czysty zachwyt. Augurie są niczym w porównaniu z tą potęgą.

– Spójrz w dół – mruczy Sil.

Odrywam palce od sadzawki i moje ciało znów jest tylko moim ciałem. Wstaję i w zdumieniu patrzę, jak wokół moich stóp rozkwitają setki malutkich białych kwiatów. Mija kilka sekund, ich krawędzie brązowieją i więdną. Po chwili wszystkie kwiaty umierają i znikają, nie pozostawiając po sobie śladu.

– Azalei były błękitne – oznajmia Sil, patrząc w miejsce, które przed chwilą skrzyło się bielą. – Moje były ciemnoczerwone, niemal czarne. Jak krew.

– Czy to... Co to było? – pytam niemal bezgłośnie. Nie chcę w żaden sposób zakłócić tego, co się stało. Tego, co się dzieje.

Sil kładzie mi dłoń na ramieniu. Jej dotyk drażni mnie, choć nie jest bolesny. Dziwnie się czuję.

– To życie – mówi, po czym wstaje i odchodzi do domu, pozostawiając mnie nad stawem samą.

Siadam na ziemi i przyciskam dłoń do trawy. Jej źdźbła różnią się od siebie, każde jest inne, każde niepowtarzalne. Kolejny kwiatek wyrasta pomiędzy moimi palcami, rozwija płatki, sięgając ku mnie, a potem brązowieje i ginie.

Jakie to piękne, myślę i ta myśl jest niczym westchnienie przepojone tęsknotą. Nagle wokół mojej ręki rozkwitają setki białych kwiatów, ich łodyżki łaskoczą mnie w knykcie i nadgarstki, a główki kołyszą się lekko w słabych podmuchach wiatru.

Długo siedzę nad sadzawką. Słucham gwiazd, wody, trawy i wiatru. Nigdy wcześniej nie czułam się tak mocno związana z otaczającym mnie światem. Jestem ledwie maleńką częścią czegoś nieskończenie wielkiego. Czuję się zarówno nieistotna, jak i absolutnie wyjątkowa.

To dziwne, ale tu czuję się bezpieczniej niż w domu. Na otwartej przestrzeni, tu, gdzie powietrze, woda i ziemia nie są niczym ograniczone, ogarnia mnie spokój.

Wspominam brudne ulice Bagna i ciężkie od wyciewów powietrze w Dymie. Pamiętam, co mówiła Sil: szlachta pocięła tę wyspę na kawałki i zszyla ją na powrót, nadając jej inny kształt. Arystokracja jawi mi się teraz jako wielki pająk, zgarniający wszystko w lepłą sieć i pożerający kolejne zdobycze. Jego ciało jest coraz tłustsze i tłustsze, ale głód nigdy się nie zmniejsza. Ten głód jest wieczny, pająk nigdy nie poczuje się syty. Najwyższa pora coś z tym zrobić.

Po raz pierwszy od chwili, w której to wszystko się zaczęło, mam wrażenie, że naprawdę może nam się udać. Zaczynam wierzyć, że mogę spełnić marzenie Luciena, pomóc mu tak, jak tego pragnie. Jestem częścią świata, jestem pełna mocy żywiołów i, być może, będę w stanie wybić dziury w wysokich murach, obalić dzielące nas ściany i zjednoczyć kręgi. Przesuwam dłonią ponad trawą, a ona rośnie, by dotrzeć do moich palców. Mam wrażenie, że ja również rosnę. Źdźbła muskają moją skórę.

– Violet?

Obracam się gwałtownie. W moją stronę idzie Ash. Wiatr nieco się wzmaga.

– Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku – mówi. Zatrzymuje się i spogląda w dół. – Co... Łał!

Welon białych kwiatów owija stopy Asha i próbuje sięgnąć wyżej, aż do jego kostek. Płatki emanują blaskiem niczym świetliki.

– To ty to robisz? – pyta Ash.

Kiwam głową.

– Co to jest?

– To życie – mruczę. Po chwili kwiaty więdną. – Co z Raven?

– Nadal śpi. – Ash siada obok mnie. – To, co zrobiłaś... To było niesamowite. Przerazające, ale niesamowite.

– Myślę, że może dam radę pomóc – mówię. – Być może... Wydaje mi się, że jestem zdolna rozłupać skałę. Zresztą nie tylko... Wiesz, mogłabym sprawić, że woda w tej sadzawce zamieni się w wysoką falę, mogłabym zamienić łagodny podmuch wiatru w trąbę powietrzną. Tak, mam taką siłę. Więc może Lucien miał rację, może naprawdę będę w stanie wybić dziury w dzielących kręgi murach.

Ash uśmiecha się w sposób, który tak uwielbiam i ujmuje moją dłoń.

– No cóż, gdyby oceniać po tym, co stało się w pokoju, bez wątpienia jesteś potężna. Założyłbym się, że jesteś w stanie zrobić wszystko, czego tylko bardzo mocno pragniesz.

– A co się właściwie stało? – pytam. – Jak to wyglądało?

– Nagle zrobiłaś się upiornie spokojna – zaczyna Ash. – Wołałem do ciebie, Lucien również, ale wyglądałaś, jakbyś była zupełnie gdzie indziej. I zaczęło wiać. Najpierw powoli, potem coraz gwałtowniej, aż w końcu wszystko, co było w sypialni i nie było bardzo ciężkie, zaczęło latać. Myślałem, że okna nie wytrzymają. Sil wrzeszczała, żebyśmy cię nie dotykali, a ty... Sprawiałaś wrażenie absolutnie nieporuszonej, jakbyś niczego nie czuła i nie słyszała. Na twarzy miałaś wyraz niezwykłego spokoju i zdawałaś się taka... taka silna. Nie umiem tego inaczej opisać. – Waha się przez chwilę. – A jak ty to widziałaś?

Przeraża mnie to, że wywołałam coś tak niszczycielskiego, nie mając świadomości tego, co czynię. Nie chcę dzielić się z Ashem wizją klifu, jeszcze nie teraz, to wciąż zbyt osobiste. Nie mogę jednak pozostawić jego pytania bez odpowiedzi.

– Widziałam ocean – szepczę.

Milczenie jest ciężkie. Wyczuwam niewiarę w spojrzeniu Asha. Nie odrywam wzroku od sadzawki.

– I jak wygląda?

– Jest nieskończony – mówię cicho.

Przez minutę siedzimy w ciszy, która tak naprawdę nie jest ciszą. Słyszę jak rośnie trawa, jak szemrze woda i jak oddycha powietrze.

– Jak myślisz... – odzywa się wreszcie Ash z wahaniem – czy to, co zrobiłaś dla Raven... Byłabyś w stanie zrobić to dla kogoś innego?

Obydwoje wiemy, kogo ma na myśli.

– Nie sądzę, żeby to działało w ten sposób – odpowiadam szczerze.

Nie wspominam o tym, że nie bylibyśmy w stanie dotrzeć teraz do Cinder nawet, gdybyśmy bardzo chcieli.

– Nie – mruczy Ash. – Pewnie nie.

Targnięty podmuchem wiatru kosmyk włosów wpada mu do oczu. Ash odtrąca go.

– Chciałbym móc zrobić więcej – mówi. – Chciałbym być bardziej przydatny. Cztery lata w sztubie i jedyne, czego się nauczyłem, to jak uwieść kobietę. Niezbyt wartościowa umiejętność.

– Ty jesteś wartościowy – przypominam mu cicho.

– Doprawdy? Przez całe życie byłem wart dokładnie tyle, ile ktoś zechciał za mnie zapłacić.

– Ja za ciebie nie płaciłam – mówię. – I dla mnie jesteś bezcenny.

Ash obejmuje dłońią moją szyję i przyciąga mnie do siebie. Jego usta cudownie smakują, są ciepłe i pełne życia. Chciałabym więcej, o wiele więcej... Chcę poczuć dotyk jego nagiej skóry. Chcę poznać jego ciało tymi nowymi zmysłami, chcę... Odrywa się ode mnie, gdy kolejna fala kwiatów rozkwita i więdnie wokół nas.

– Nie krwawisz – zauważa, przesuwając palcem wskazującym po grzbiecie mojego nosa. – Nie jak wtedy, w spalarni.

Odruchowo rozmasowuję podstawę czaszki.

– Nie krwawię – powtarzam. – I głowa też mnie nie boli. To, co robię, jest... naturalne. Właściwe. Sil mówiła, że to cztery żywioły i że jestem z nimi w jakiś sposób połączona. Nie mam nad nimi kontroli i nie mogę ich przymusić, by działały wbrew swojej naturze. – Przypomina mi się stojący w płomieniach czajnik. – Czasem mnie przerażają. Są takie silne, takie... pierwotne. I nigdy o nich nie wiedzieliśmy. Ciekawe, czy szlachta wie. Jakoś w to wątpię. – Wzdycham ciężko. – Pewnie powinnam wrócić do domu. Chciałabym posiedzieć przy Raven.

Ash mocniej ściska mnie za rękę.

– Sil gotuje – oświadcza z dziwnym grymasem. – Zasugerowała, żebyś posiedziała na zewnątrz, póki nie skończy. A właściwie, to żebyś została tu do rana. Obawiam się, że mogłabyś zniszczyć to i owo przez sen. Podejrzewam, że Azalea tak zrobiła.

– Och.

– Raven nic nie będzie – dodaje. – Garnet i Lucien są przy niej.

– Jasne.

– Violet... – Ash głaszcze mnie po policzku. – Zostanę tu z tobą.

– Oj, nie, nie wiem, czy to najlepszy pomysł, Ash. Chyba nie powinienes, bo ja... No, nie chcę cię przypadkiem skrzywdzić.

– Wiem, że jesteś z tym wszystkim sama i że nie jestem w stanie zrozumieć, przez co przechodzisz, ale mogę i chcę być przy tobie. I dla ciebie. Przynajmniej tyle jestem w stanie zrobić. Więc oto jestem. – Mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem. – Postaraj się tylko nie podpalić mnie w środku nocy.

– To nie jest zabawne! – burczę.

Ash przewraca oczami.

– Sil wyjaśniła mi, że nie jesteś w stanie niczego stworzyć, możesz tylko wpływać na coś, co już istnieje. Zakładam, że nie planujesz spać z paczką zapalek i puszką nafty pod ręką, prawda? – Całuje mnie w czoło. – Przyniosę kilka poduszek i koców.

Chwytam go za ramię i nie pozwalam odejść.

– Zostań – mówię cicho. – Jeszcze na chwilę.

Ash kiwa głową i na powrót sadowi się u mojego boku. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej, tak, że kładę głowę na jego piersi. Siedzimy, a potem półożymy w milczeniu. Słucham spokojnego, pewnego bicia jego serca, wdycham zapach jego skóry, a nasze życia i życie wszechświata zdają się jednym i tym samym.

Trwamy tak w bezruchu, a białe kwiaty kwitną i więdną wokół nas.

Kiedy budzę się o świcie, nade mną stoi Sil.

Znów ma na sobie ogrodniczki, a szyję owinęła grubym wełnianym szalem. W dłoniach trzyma oprawioną w skórę teczkę, z której wystają kartki pożółkłego ze starości papieru.

Przykłada palec do ust i wskazuje brodą w kierunku drzew.

Ash śpi spokojnie obok mnie. Bardzo ostrożnie wyplątuję się z jego objęć i spod koców, które nad ranem przyniósł. Wzdycha cicho i przewraca się na plecy, ale się nie budzi. Leżeliśmy nieopodal stodoły, do lasu nie jest więc daleko. Sil idzie jego skrajem, nie tracąc domu z pola widzenia, póki nie zostawimy Asha daleko za sobą. Po drugiej stronie polany słońce wspina się powoli na nieboskłon, barwiąc go odcieniami pomarańczy i złota. Błade promienie zdają się całować korony drzew.

– Nie chciałam cię tym męczyć wczoraj wieczorem – mówi Sil, unosząc teczkę. – Wiem, że i bez tego miałaś dość.

Przytakuję. Powietrze jest chłodne i tęsknię za ciepłem ciała Asha. Ale równocześnie czuję, jak wszystko budzi się do życia.

Sil zatrzymuje się pod potężną sykomorą. Z cichym jękiem siada na ziemi i opiera się plecami o szeroki pień.

– Siadaj – poklepuje trawę obok siebie.

Gdy tylko to robię, zyskuję niesamowitą świadomość ziemi pode mną, jej ciężkiej, gęstej struktury oraz korzeni, które wiją się i rosną w jej trzewiach. Gdzieś niżej, o wiele niżej, wyczuwam ruch wody. Czyżby podziemna rzeka?

– Czujesz to wszystko, prawda? – rzuca Sil.

– Tak strasznie dużo... – Kręcę głową. – Jakim cudem ty nie... Jak możesz z tym normalnie żyć.

Parska śmiechem.

– Nie mogę i nie żyję.

Słońce wspina się coraz wyżej, różowiąc niebo. Sil kładzie teczkę między nami.

– Musisz się nauczyć własnej historii – oświadcza. – Kiedy ja zyskałam tę moc, nie miałam niczego, na czym mogłabym się oprzeć. Byłam przerażona. I samotna. Przez lata zastanawiałam się, skąd pochodzi ta potęga, magia, która została wypaczona i przekształcona w Augurie. Czy to był jakiś nieudany eksperyment szlachty? A potem pojawili się u mnie Azalea i Lucien, a wraz z nimi dostęp do najstarszej biblioteki w całym mieście.

– Do biblioteki Diuszesy – szepczę. Pamiętam, jak w trakcie jednej z kolacji Diuszesa perorowała o tym, że jej przodkowie wybudowali Wielki Mur i jej obowiązkiem było zachować jak najwięcej pamiątek z tamtych czasów.

Sil potakuje.

– Lucien wynosił z biblioteki wszystko, co tylko mogłoby mi pomóc. Kawalek po kawałku, ułożyłam wreszcie tę układankę. No, przynajmniej na tyle, na ile mogłam. Ci, którzy mogliby wszystko wyjaśnić, od dawna już nie żyją.

Otwiera teczkę. Podnoszę ją drżącymi dłońmi. Papier jest stary i boję się, że rozpadnie się w proch, gdy tylko go dotknę. Na pierwszej stronie jest mapa wyspy, ale bez miast, za to ze znacznikami, jakich wcześniej nie widziałam. Na brzegu znajduje się kilka czerwonych „X”, a w głębi wyspy zakresłono kilka miejsc i opatrzone je notatkami. Ledwie mogę je odczytać. Jeden z napisów brzmi „złoża topazu”,

inny „żyzna ziemia”.

Przerzucam stronę. Kolejna pokryta jest smukłym, pochylonym lekko pismem. Wygląda to na listę nazwisk, ale żadne nie brzmi znajomo.

Pantha Seagrass

Jucinde Soare

Dwadzieścia osób. Wydaje mi się, że to same kobiety, coś w brzmieniu imion sprawia takie wrażenie. Na samym dole jest zgrabna notka, na której widok robi mi się zimno.

Data egzekucji: 5 marca, rok Założenia.

Na następnej kartce są dość schematyczne rysunki, jeden przedstawia kobietę, która trzyma w dłoni coś, co wygląda jak płomień, inny dziewczynę z rozłożonymi rękoma i łukiem błękitnej fali nad głową.

Kolejne strony nie zachowały się zbyt dobrze, tekst jest rozmyty i prawie nie da się go odczytać. Odcyfrowuję ledwie kilka wyrazów.

... zdławić u źródła...

... nam się należy...

...litość... śmierci...

...bogactwa

...obiecane...

Jedna z ostatnich stron przykuwa moją uwagę, być może dlatego, że wygląda na najstarszą, a jednocześnie jest najlepiej zachowana. Mam silne przeczucie, że Sil musiała sporo się namęczyć, żeby należycie ją zabezpieczyć. Prawie cała jest czytelna. Na górze widnieje data, której nie rozpoznaję. Czyżby dokument pochodził z czasów przed Założeniem?

Zaczynam czytać i już pierwsze zdanie sprawia, że żołądek podskakuje mi do gardła.

Wyspa nazywa się Excelsior, Klejnot Ziemi.

Spoglądam na Sil, która spokojnie mi się przygląda. Jej jasnoszare oczy lśnią srebrem w świetle poranka.

– Tak – mówi łagodnie. – Ta wyspa miała kiedyś imię, i nie brzmiało ono Samotne Miasto. – Ruchem głowy wskazuje teczkę. – Czytaj.

Legendy mówiły o jej bogactwach, o żyznej czarnej ziemi, w której wyrosnie każde ziarno, o zapierających dech w piersiach zielonych lasach śpiewających w oceanicznej bryzie, o rozmaitych dzikich zwierzętach, pręgowanych kotach, wielobarwnych ptakach i pokrytych błyszczącymi łuskami jaszczurkach. Ale najważniejsze było co innego – nieprzebrane złoża drogocennych kamieni. Były tam diamenty, topazy, granaty, rubiny, szmaragdy, szafiry i wiele, wiele więcej.

Kolejnych kilka zdań jest rozmazanych. Jest tu coś o Domu Jeziora i Domu Kamienia, ledwie czytelna wzmianka o przymierzu i kolejna o bogactwach. Następne akapity zachowały się znacznie lepiej.

Jednak wyspa była tylko legendą, pięknym mitem. Ludzie Ballstaru, rządzeni przez Jezioro i Łuski, oraz ludzie z Ellarii, rządzeni przez Kamień i Różę, uważali, że za opowieściami kryje się prawda. Wielu już próbowało znaleźć wyspę, nikomu jednak się to nie udało. Ci, którzy powrócili z wyprawy, mówili o porywistych wiatrach, które spychały statki z kursu oraz wysokich falach zalewających pokłady i porywających ludzi. Ocean dla wielu stał się grobem.

Szlacheckie rody były jednak uparte i nie przyjmowały do wiadomości porażki. Zbudowano setki statków i rozpoczął się wyścig. Który z krajów jako pierwszy znajdzie Klejnot Ziemi i obejmie w posiadanie jego bogactwa?

Dom Łusek zatrudnił mnie jako skrybę. Mój udział w wyprawie nie ucieszył mego ojca, jednak pragnienie ujżenia na własne oczy cudów było silniejsze niż posłuszeństwo.

Nastały mroczne dni...

Reszta akapitu jest nieczytelna. Przewracam stronę.

Okazało się, że wszystkie cztery rodziny muszą się zjednoczyć, bo podbić wyspę, której granice były tak dobrze strzeżone i której magii nie dawało się okiełznać. Miejscowi nie byli w stanie stawić czoła działom i brutalnej sile żołnierzy. Byłem świadkiem ataku na wschodnie wybrzeże i opisałem go. Nie stawia on arystokracji w dobrym świetle, nie spodziewam się więc cieszyć się długo łaską.

Egzekucje odbyły się o świcie. Wszystkie kobiety w wiosce zostały stracone, ponieważ nikt nie był w stanie powiedzieć, które z nich posiadały dziwną i cudowną umiejętność rozmawiania z morzem, wiatrem i ziemią. Nazywały siebie Paladynkami, strażniczkami Excelsioru. Twierdziły, że ich obowiązkiem jest chronić wyspę.

Szlachta jest przekonana, że uda im się wytropić i zniszczyć wszystkie. Nie podzielam tej pewności.

Dolny tekst jest zamazany. Dłonie trzęsą mi się tak bardzo, że zamykam teczkę, gdyż boję się, że mogłabym uszkodzić jej zawartość. Od prób srozumienia tego wszystkiego boli mnie głowa. Historia ma sens. Chce mi się wymiotować.

Arystokracja zawsze twierdziła, że wyspa była niezamieszкана. Taką bajkę opowiadali. Znaleźli ją, zasiedlili, wybudowali Samotne Miasto.

Nikt nie zająknął się ani słowem, że wcześniej mieszkali tu ludzie.

– Tak – mruczy Sil, spoglądając przez drzewa na łąkę. – Prawdziwa banda sukinkotów, prawda?

– Kim one były? – pytam. – Tamte kobiety?

– Naszymi przodkiniami – wyjaśnia. – Pochodzimy od Paladynek, strażniczek tej wyspy. – Jej głos jest spokojny, ciepły i pełen godności. Sil kładzie dłonie na ziemi. – Wierzę, że wyspa daje nam moc. W zamian za nią, my ofiarowujemy jej ochronę. Ale zagubiłyśmy się i zapomnieliśmy naszej drogi. Najeźdźcy myśleli, że się nas pozbyli, ale nasz dobry skryba przeczuwał prawdę.

Dziwnie mi myśleć o sobie jako o potomkini kobiet obdarzonych magiczną mocą.

– Może to było to miejsce – mruczę pod nosem.

– Jakie miejsce?

Opowiadam Sil o klifie i posągu, gdzie znalazłam Raven.

– Widziałaś ocean? – pyta z niedowierzaniem.

Potakuję. Sil nakrywa usta dłonią i przez sekundę myślę, że za chwilę się rozplacze.

– Wiedziałaś, że jesteśmy z nim związane – mamrocze. – Ale nigdy...

– O czym mówisz?

– Kiedy umierałam w kostnicy, słyszałam dziwny dźwięk, jakby fal rozbijających się o skały i czułam w powietrzu woń soli. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z morską wodą, byłam jednak pewna, że to musi być to. Dźwięk i zapach wołały do mnie, uspokajały mnie. – Mruga i odwraca wzrok. – Chciałabym to zobaczyć. Te ściany... Te przeklęte ściany stoją już zbyt długo. – Gdy znów na mnie spogląda, w jej oczach dostrzegam furję. – Widzisz to? To jest nasza wyspa! Odebrali nam ją, wymordowali naszych przodków i twierdzą, że wszystko należy do nich. Nie chodzi tylko o Aukcje. Chodzi o całą rasę, zniewoloną i wybitą niemal do nogi. Niemal! Przetrwaliśmy. Nie zdołali wymordować wszystkich, a teraz przyszedł czas, by zapłacili za swe zbrodnie.

– Naprawdę wierzysz w to, że jestem w stanie zburzyć mury?

– Uważam, że po to się urodziłaś.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu. Potrzebuję chwili, by wszystko sobie poukładać. Wyciągam dłoń nad trawą i czuję, jak zagrzebane w ziemi korzenie budzą się i przeciągają. Ich siła jest moją siłą. Mogłabym poprosić je, by wystrzeliły na powierzchnię, albo zstąpiły głębiej. Odpowiedziałyby mi. Czuję, że otaczające nas drzewa czekały na kogoś takiego jak ja. Powietrze jest rześkie i aż wibruje pragnieniem. Pragnieniem, by chronić. By być chronionym. By pomagać.

– Tak szybko zrozumiałaś – mówi Sil. – To miejsce jest niezwykle. Myślę, że to duchy Paladynek mnie tu sprowadziły, o ile oczywiście wierzysz w duchy. To źródło energii. Podejrzewam, że kiedyś, dawno temu, znajdowało się tu coś bardzo ważnego.

– Jak się tu znalazłaś?

– To długa historia. – Sil odruchowo pociera pokrytą bliznami rękę.

Czekam. Wreszcie z ciężkim westchnieniem Sil wygodniej opiera się o sykomorę.

– Wiesz, w jaki sposób uciekłam z Klejnotu – stwierdza.

– Przez spalarnię.

Kiwa głową.

– Nie wiem, jak długo błądziłam po kanałach. Byłam głodna. Byłam przerażona. Gdy wreszcie udało mi się wyjść, okazało się, że jestem w Banku. Nigdy wcześniej tam nie byłam i nie miałam pojęcia, co robić. Ukryłam się w jednej z bocznych uliczek, za sklepem. – Jej spojrzenie łagodnieje. – To wtedy zobaczyłam moje kwiaty. Nie uznałam ich jednak za piękne, przeraziły mnie, bo nie wiedziałam, co się dzieje. Niczego nie kontrolowałam, czułam się tak poprzedniej nocy, ale ja byłam zupełnie sama. Myślałam, że tracę zmysły. Zaczęło padać. Lało i lało przez kolejne dni, jedna ściana wody. Pewnie to przeze mnie, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Szukałam w śmietnikach resztek jedzenia. Ukradłam jakieś ubrania oraz bandażę, by opatrzyć rękę. Mogłam wychodzić tylko w nocy. Wszędzie podążał za mną wiatr. Drzewa przemieniały się w dziwaczne, pokręcone wersje samych siebie. – Z czułością poklepuje wystający z ziemi korzeń. – Wreszcie zdobyłam się na odwagę, by pójść trochę dalej. Znalazłam stację i schowałam się w pociągu. Nie miałam pojęcia, dokąd jedzie, wiedziałam jednak, że nie mogę zostać dłużej w tym kręgu. Wysiadłam na tej samej stacji co ty.

Wokół nóg Sil wyrastają małe czerwone kwiatki. Muska je palcami nim więdną i znikają.

– Było mi trochę łatwiej, bo nie było ze mną poszukiwanego przez wszystkich towarzysza. – Spogląda na mnie z ukosa. – Nikt mnie nie szukał, wszyscy myśleli, że nie żyję. Ale bycie wśród ludzi mnie przerażało. Było niebezpieczne. Ja byłam niebezpieczna. Nie wiedziałam, jak wyjaśnić to, co się dzieje, ale wszystko wokół mnie psuło się, zmieniało. Niedaleko lasu jest niewielkie miasteczko. Podpaliłam tam sklep. Podmuchy lodowatego wiatru wyrwały z kilku domów okiennice. Odłamki drewna zraniły małego chłopca. Musiałam odejść.

Oczywiście nikt nie wiedział, że to moja wina. Nikt nie zwracał uwagi na nastoletnią dziewczynę w łachmanach. Ale i tak zostawiłam miasto i trafiłam do tego lasu. Przyciągał mnie. Przez dwa dni żywiłam się orzechami oraz korą i piłam wodę ze strumieni. Coś kazało mi iść przed siebie. Im bardziej zagłębiałam się w las, tym silniejsza była potrzeba, by nie ustawać. Wreszcie znalazłam ten stary dom, zniszczały, samotny, opuszczony. Wiedziałam, że właśnie tu miałam trafić.

Sil spogląda przez łąkę na czerwony budynek.

– A dlaczego nazywa się Biała Róża? – pytam.

– Bo tak go nazwałam. Kiedy tu przybyłam, była jesień. Przy ganku był ogród, a w nim nagie badyle i zeschnięte liście. Przez lata nic tam nie rosło. Stałam tam, spoglądając na ruinę i próbowałam przekonać samą siebie, że to miejsce może stać się moim domem, że między kamiennymi ścianami znajdę spokój. I nagle na martwym różanym krzaku przede mną rozkwitła biała róża, bielsza niż śnieg i miękka niczym królicze futro. Tak po prostu. Nagle się pojawiła. Poczułam, że ja też tak potrafię, że jestem w stanie stworzyć coś pięknego z niczego. – Potrząsa głową. – Ależ byłam wtedy idiotką.

– Ale przecież stworzyłaś coś dla siebie – zauważam, wskazując brodą dom.

– Tak, tak – potakuje Sil, jakby to wcale nie było istotne. – Pojęłam, jak szybko mogę wyhodować własne warzywa i owoce. Nie musiałam już kraść. Część upraw mogłam sprzedać albo wymienić na ubrania i inne potrzebne rzeczy. Zajęłam się naprawami. – Potrząsa głową. – Moc drzemiąca w tym

miejscu była silna. I łatwa. Nie przerażała mnie już tak bardzo. Ale mimo wszystko czułam się samotna.

Usiłuję sobie wyobrazić to, że przez czterdzieści lat mieszkam w środku lasu, za towarzystwo mając jedynie dziwną moc, której do końca nie rozumiem. Zwariowałabym. Na pewno.

– I nagle, jakieś trzy lata temu, na moim progu pojawiła się dziewczyna w towarzystwie, a niech to, dwórki. I to męskiej. Oczywiście natychmiast wiedziałam, kim jest nieznajoma, choć nigdy nie była w żadnym Magazynie. Lucien ukrył ją, gdy tylko stała się kobietą, a potem przenosił ją z miejsca na miejsce w obrębie Farmy. Jej rodzina została sownie nagrodzona przez arystokrację, ale nawet zmiana miejsca zamieszkania niewiele tu pomogła. Kto urodził się w Bagnie, zostanie poddany testom, choćby i trafił do majątnej rodziny bankierów, koniec, kropka. – Spojrzenie Sil traci ostrość. Ciekawa jestem, co wspomina. – Azalea nie została wykrzywiona tak jak inne surogatki. Uznałam, że mogę jej pokazać... Nie chciałam być dalej samotna z moją mocą.

– Azalei zrozumienie tego, kim jest, zajęło dużo czasu. Nie mieliśmy pojęcia, jakie wyniki mogłaby osiągnąć w Auguriach, sądzę jednak, że była sporo słabsza ode mnie i od ciebie. Nie była w stanie posługiwać się wszystkimi żywiołami, mogła łączyć się tylko z powietrzem. Miewała koszmary, które rozrywały meble na kawałki. Zaczęła sypiać na zewnątrz. Mówiła, że i tak lepiej czuje się pod gołym niebem. – Sil uśmiecha się i odchyła głowę do tyłu. – Miała ogromne serce i niewyczerpane pokłady optymizmu. Po raz pierwszy od bardzo dawna czułam się szczęśliwa. Nie byłam sama. Kiedy zaczęła mówić o tym, że powinnyśmy wykorzystać nasze dary, by pomóc innym surogatkom i powstrzymać arystokrację, oznajmiłam jej, że powinna być szczęśliwa, że żyje. Lucien zgodził się ze mną. Niesamowite! Chyba tylko o to się nie kłóciliśmy. – Parska śmiechem. – Ale Azalea była młoda, pełna nadziei i nigdy nie widziała Klejnotu. A życie tam sprawia, że człowiek twardnieje. Klejnot unosi lustro i pokazuje ci najgorszą twarz człowieczeństwa. I zmienia cię.

Wzdrygam się.

– Uważała, że możemy to uczynić – ciągnie Sil. – Że możemy wezwać żywioły i użyć ich przeciwko szlachcie tak, jak szlachta używała Augurii przeciwko nam. Że po to właśnie istniejemy. Wtedy właśnie grzebałam w przeszłości, uczyłam się historii. Dla Azalei Lucien gotów był zrobić wszystko, włącznie z wykradaniem dokumentów spod nosa Diuszesy. Ale nie chciał słyszeć o żadnej rebelii. Ja również nie chciałam. Powtarzaliśmy Azalei, że jest bezpieczna i tylko to się liczy. – Pociera czoło. – Zapomniałam, jak to jest być młodą. Jak to jest mieć mnóstwo pomysłów i wierzyć, że można odmienić świat. Byłam samolubna i... – Sil przełyka i patrzy na mnie. – Sądzę, że pozwoliła się schwytać i zbadać. Wiedziała, że innej drogi nie ma. Nie chciała żyć moim życiem, nie chciała aż do śmierci tkwić na tej farmie, mając za towarzyszy tylko wiatr i drzewa. Pragnęła czegoś więcej, nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

– Wtedy zaczęliście współpracować z Lucieniem? – pytam.

Sil parska śmiechem. Nie ma w nim wesołości.

– Nie nazwałabym tego współpracą – mruczy. – Och, oczywiście, współpracujemy, ale wciąż mamy problemy, żeby się ze sobą dogadać. – Przesuwa dłonią po pniu sykomy. – To miejsce cierpiało po jej śmierci. Nie byłam sama w żałobie. – Spogląda na mnie. – A teraz ty tu jesteś i znów mamy nadzieję. Nadzieję, że nasze siostry nie będą więcej zamykane w Magazynach. – Przyklęka, by wstać i zatrzymuje się w pół ruchu. – Jaka ona jest? – pyta.

– Kto?

– Diuszesa. Jestem... Jestem ciekawa.

– Och! – Wiele rzeczy można byłoby powiedzieć o Diuszecie, ale w umyśle wyryło mi się ostatnie wspomnienie. – Zabiła moją przyjaciółkę. Na moich oczach. – Ścisła mi się w gardle.

– Więc stworzyłam morderczynię – konstatuje Sil.

– Nie sądzę, żebyś była odpowiedzialna za to, kim jest. Na pewno nie do końca.

– Och, jestem odpowiedzialna – ucina. – Mówiłam ci już, że jej ojciec był złym człowiekiem. –
Pociera kark. – Wiem, że druga z córek umarła. Ta młodsza. Czytałam o tym w gazecie. Ponoć porzuciła
szlachectwo i Klejnot.

– Może to też twoja zasługa.

Sil krzywi się.

– Violet? – Głos Asha niesie się ponad łąkę. Wstaję i otrzepuję ziemię z kolan. Sil podnosi teczkę
i przyciska ją do piersi.

– Nie powinno go tutaj być – mówi. – Nie jest jednym z nas.

Sztywnieję.

– Powinien być przy mnie.

– Przez niego nie będziesz myśleć jasno.

– Tak, jak ty nie myślałaś jasno przez Azaleę?

W oczach Sil pojawia się błysk.

– Właśnie tak.

– No cóż, nie jestem tobą – oświadczam i, nie czekając na odpowiedź, odwracam się na pięcie
i ruszam w kierunku stodoły, gdzie stoi Ash i nie przestaje mnie nawoływać.

Aha... Jeszcze raz. Twierdzisz, że jesteś potomkinią jakiejś dziwnej rasy magicznych kobiet, które arystokracja chciała wymordować? – mówi powoli Ash.

Idziemy do Białej Róży. Chcę zobaczyć wreszcie Raven, a po drodze opowiadam Ashowi, czego się dowiedziałam.

– Musisz mówić to w ten sposób?

– W jaki sposób?

– Jakbyś mi nie wierzył.

– Ale ja ci wierzę – zapewnia Ash. – Nie wątpię, że arystokracja jest zdolna do zniszczenia każdego, kto stanie jej na drodze, niezależnie od tego, czy chodzi o jednego człowieka, rodzinę, czy populację wyspy. Chciałbym zobaczyć te dokumenty, które pokazała ci Sil.

Szczerze wątpię, by kiedykolwiek do tego doszło, ale tego Ashowi nie mówię.

– Myślałam o czymś innym – oznajmiam. – A właściwie o kimś. O Azalei. Podobno mogła łączyć się tylko z powietrzem. Zastanawiam się... Może wyniki w Auguriach mają jednak jakieś znaczenie. Może talent do wzrostu oznacza tak naprawdę możliwość współpracy ze wszystkimi żywiołami?

– Brzmi dość logicznie. Choć, jak pewnie pamiętasz, nie jestem ekspertem od Augurii.

Przygryzam wargę.

– Czym się martwisz? – pyta Ash. – Skoro kontrolujesz ziemię, nie możesz po prostu poprosić jej, żeby się zatrzęsła albo rozstała? Ściany wtedy padną. Chyba tego chce Lucien.

– Jestem jedna, Ash. Ta moc jest naprawdę niesamowita, ale... Mury są grube. Arystokracja ma broń, działa, armię. Co, jeśli wyrwę dziurę w jednej ze ścian i odkryję, że na nic więcej nie mam już sił? Zabawne... Nie jestem pewna, czy oni w ogóle potrzebują tych murów, by się bronić.

Doszliśmy już do sadzawki. Kucam na jej brzegu i dotykam dłonią chłodnej powierzchni wody. Chcę znów poczuć to, co czułam w nocy.

Jak to ujęła Sil? Że musimy wcielić się w żywioł, by się z nim połączyć?

Staję się wodą.

Łączę się z sadzawką i moja skóra znów staje się śliska i migotliwa. Woda szemrze wewnątrz mnie, jasna i przejrzysta. Zanurzam się w tym doznaniu, a potem rozpycham się na boki i staję się wysoką falą załamującą się nad naszymi głowami. Ash ze zdumienia zachłystuje się powietrzem. Opadamy, ja i fala, zostawiając za sobą ogon wodnej mgły.

Wyciągam dłoń ze stawu i tłumię buzujący we mnie chichot.

– Przepraszam – mówię, gdy Ash przeczesuje wilgotne włosy.

– Coś mi przyszło do głowy – mówi z uśmiechem, pomagając mi wstać. – W sztubie Madame Curio nauczyciele chcieli, żeby studenci ciągle ze sobą konkurowali. Złapiesz świetnego klienta, dostaniesz określoną liczbę punktów. Stań się mistrzem w jakiejś dziedzinie, dostaniesz ich nawet więcej. W głównym holu była tablica, na której skrzątnie wszystko zapisywano. Punktacja każdego z towarzyszy była ogólnie znana, a ten, kto miał ich najwięcej był nagradzany. Nikt nie chciał, żebyśmy trzymali się razem, zjednoczyli, tworzyli grupę. Mieliśmy działać oddzielnie, każdy na własny rachunek.

– Och. – Nie jestem pewna, do czego zmierza.

Ash wyczuwa moje wahanie i posyła mi szeroki uśmiech.

– Tego właśnie potrzebujesz, Violet. Grupy ludzi, na których możesz polegać.

– Tak? Jakich ludzi? – W tej chwili nasza rebeliancka grupa liczy sobie trzy surogatki, jedną dwórkę, towarzysza i arystokratę. Trudno też powiedzieć, żeby wszyscy wszystkich kochali. To urocza gromadka, ale trochę niezgrana.

– Surogatak. – Ash wzrusza ramionami. – Przyszło mi do głowy, że skoro wszystkie władacie Auguriami, to może wszystkie jesteście potomkiniami tych dawnych magicznych kobiet. Może każda z was ma moc.

Opada mi szczęka i nagle kilka elementów układanki wskakuje na swoje miejsca. Sil powiedziała, że Azalea mogła łączyć się tylko z powietrzem, inne żywioły nie były dla niej dostępne. W spalarni nie poradziłam sobie z piecem sama. Pomogła mi Raven. Razem byliśmy silniejsze.

Gdzie jest najwięcej surogatek? W Bagnie, w Magazynach. Cztery placówki w czterech kluczowych miejscach, na północy, południu, wschodzie i zachodzie.

Nie musimy obalać wszystkich ścian. Musimy dostać się do jednego Kręgu – do Klejnotu.

– Lucien! – krzyczę. Mam wrażenie, że stopy wrosły mi w ziemię. Chwytam Asha za ramię. – Jesteś geniuszem! – mówię.

– Co się dzieje? – Lucien wypada z domu, a za nim Garnet i, serce mało nie wyrwie mi się z piersi, Raven. Raven owinięta jest pikowaną kołdrą i wygląda na zmęczoną, ale zdrową. Przede wszystkim jest żywa. Garnet trzyma dłoń na jej plecach, jakby obawiał się, że może w każdej chwili zemdleć.

– Jak się czujesz? – pytam.

Raven obdarza mnie jednym z tych uśmiechów, które tak dobrze znam.

– Jakby wreszcie opadła mgła. Jakby znikł cały ciężar. Czuję się... oczyszczona. Nie jestem taka sama jak przedtem, jestem lepsza. – Rzuca Garnetowi ostre spojrzenie. – Violet, powiedz mu, żeby przestał wokół mnie skakać. Jest gorszy niż moja matka.

– W nocy zemdlłaś – mówi obronnym tonem Garnet. – Przewróciłaś się prosto na mnie. Wolę, żebyś była w moim zasięgu.

Dopiero teraz dociera do mnie, że Raven nie jest już w ciąży. Niebezpieczeństwo minęło.

– Dlaczego mnie wołałaś? – wcina się Lucien. Znow ma na sobie szaty dwórki.

– Wyjeżdżasz? – pytam.

– Muszę wracać do Klejnotu – wyjaśnia. – Garnet jedzie ze mną. To byłaby straszna wpadka, gdyby przegapił własny ślub.

Garnet krzywi się strasznie za plecami Luciena.

– Mam pomysł – zaczynam – Nie sądzę, żebym poradziła sobie sama. Oczekujesz, że zniszczę część murów oddzielających od siebie kręgi, żeby ludzie z Bagna, Farmy i tak dalej mogli ramię w ramię walczyć z arystokracją. Ale dotarcie do kolejnych murów zajmie nam sporo czasu, a poza tym nie wiemy, ile tak naprawdę mam sił. Co, jeśli uda mi się zniszczyć tylko część jednej ze ścian? Co, jeśli w trakcie ataku zostanę ranna? Nie będziesz miał wtedy nikogo.

– Violet, ja nie...

– Nie, posłuchaj. Domyślam się, że masz członków Czarnego Klucza w każdym kręgu, tak? – Lucien kiwa głową. – Więc pozwól im się zająć ich własnymi kręgami. Niech walczą ze sługusami arystokracji, gdzie tylko się da. Niech walczą o siebie i na swoim terenie. – Pamiętam, jak dobrze Złodziej znał wschodni kwartał Dymu. – Po co tak szybko mieszać ze sobą kręgi? Och, zgadzam się, że trzeba to zrobić, ale czy nie lepiej wcześniej wyrwać z nich chwasty? Potem razem obalimy mury.

– A co z Klejnotem? – naciska Lucien. – Kto będzie walczył ze szlachtą w ich własnym domu?

– Surogatki – odpowiadam pewnym głosem.

Lucien unosi brwi.

– Przepraszam?

– Ash opowiedział mi, jak istotna jest zgrana grupa ludzi i właśnie czegoś takiego potrzebujemy. Oddziału uderzeniowego. Szlachta ma armię Gwardzistów. My potrzebujemy armii surogatek.

– Armii surogatek?!

– Pomyśl, jaki potencjał kisi się za drzwiami Magazynów – mówię. – Musimy wyciągnąć stamtąd dziewczyny, pokazać im, co naprawdę potrafią. – I kim są, dodaję w myślach. Wspominam to, co Sil powiedziała mi wcześniej o Paladynkach, strażniczkach tej wyspy. – Uważam, że tak właśnie powinniśmy zrobić.

– A jak zamierzasz dostać się do Magazynów?

Marszczę brwi.

– Jeszcze nie wiem. Ale znam każdy cal Bramy Południowej i wiele z tamtejszych dziewcząt. Myślę, że mi zaufają. Ty, Lucienie... Chciałabym, żebyś sprowadził tu z Klejnotu trzy dziewczyny. Po jednej z każdego Magazynu, te z największym talentem do Wzrostu. Jeśli się nie mylę, to właśnie Wzrost wskazuje, jak bardzo surogatka jest połączona z żywiołami. Potrzebujemy dziewczyn, które są w stanie kontaktować się z jak największą liczbą aspektów natury.

– No dobrze, a kiedy już ocalę kolejne trzy surogatki i wszystkiego je nauczysz, stworzysz oddział i tak dalej, to jak zamierzasz przetransportować swoją tajną broń do Klejnotu?

Mam wrażenie, jakbym już od dawna znała odpowiedź, potrzebowałam tylko pytania.

– Skorzystamy z Aukcji – odpowiadam z uśmiechem.

– Tak – potwierdza Raven, kiwając głową.

– Nie łapię – przyznaje Garnet.

– Aukcja – powtarzam. – A konkretnie pociąg dowożący surogatki. Umieścimy w nim tak wiele dziewcząt, jak tylko się da, a szlachta sama podrzuci nas na miejsce. Nie będziemy musiały obalać muru, arystokratki same otworzą przed nami bramy.

Garnet gwizdże przeciągle.

– Muszę przyznać, że to genialne – mówi powoli.

– Aukcja jest dopiero w październiku – przypomina nam Lucien. – To kupa czasu.

Przygryzam wargę. Ma rację. Czekać to ryzyko... Martwię się o Hazel i o to, że niebawem może trafić do lekarza na testy. Musimy skończyć z Aukcjami, zanim to się stanie.

– Zawsze mamy jakiś punkt wyjścia – wtrąca się Ash. – Jeśli skoordynujemy ataki w kręgach z Aukcją, szlachta nie będzie miała pojęcia, co właściwie się stało i kto skoczył jej do gardła. Sugerowałbym zacząć od baraków Gwardzistów i biur magistratu. Rozważyłbym też banki. Nie będą w stanie walczyć wszędzie i ze wszystkimi naraz, zwłaszcza jeśli zostaną zaatakowani również we własnym kręgu.

Lucien rzuca mu wzgardliwe spojrzenie.

– To jest naprawdę dobry pomysł – nalegam.

Lucien powoli kręci głową.

– Domyślam się, że mam wyciągnąć z Klejnotu jakieś konkretne surogatki, prawda? – pyta z ciężkim westchnieniem.

Potakuję.

– Kolejne przyjaciółki?

– Nie. – Uśmiecham się krzywo. – Wiem jednak, kogo potrzebujemy na początek.

Opowiadam mu o Lwicy.

Jak się ma nasza gwiazda rewolucji? – Dochodzący z wiszących nad ramieniem Raven Arkanów głos Garneta brzmi nieco metalicznie.

Raven pólleży na piramidzie beli siana. Dwa tygodnie w Białej Róży i jest zupełnie inną osobą, zdrowszą, szczęśliwszą.

– Fenomenalnie – odpowiada. – Jakby się do tego urodziła.

Staję się powietrzem.

Wczuwam się w żywioł i rozpadam się na maleńkie molekuly. Podrywam poszczególne źdźbła siana leżące na klepisku i utrzymuję je w bezruchu, zawieszane nad ziemią. Czuję ciężar każdego z nich, maleńki, a jednak wyraźny... Powoli przesuwam je w stronę Raven. Otaczają jej ciało i zaczynają krążyć wokół niego jak dziwne, bezkształtne planety wokół osobliwego słońca.

Raven klaszcze, a Ash parska śmiechem, nie przestając wyczesywać Kalarepki, konia Sil, który do czasu aż Ash zaczął zajmować się zwierzętami, nosił dumne imię Koń. Kalarepką Ash nazywał kiedyś Cinder.

– Powinna spróbować haftu – rzuca Garnet. – Albo robienia na drutach. No wiecie, podnieść sobie poprzeczkę.

– A może powinna zacząć zbierać miniaturowe serwisy do herbaty? – pyta Raven ze złośliwym uśmiechem. – Wtedy mogłyby założyć z twoją żoną kółko hobbystyczne.

– Powinnaś wiedzieć, że Coral ma dokładnie dwieście sześćdziesiąt dwie sztuki porcelany. Wierz mi, liczyła. Przy mnie. Musiałem grzecznie siedzieć i uśmiechać się, gdy prezentowała mi całą imponującą kolekcję. Wiem, że to dziwaczna obsesja, ale nie możesz odmówić Coral zaangażowania i determinacji.

– Uznaj, że czuję się porażona.

– Będę udawać, że nie było w tym sarkazmu.

Raven rozmawia z Garnetem częściej ode mnie. Uwielbiają sobie docinać. Mam wrażenie, że te rozmowy pomagają Raven przypomnieć sobie, jaka była dawniej.

– Myślałam, że kontaktujesz się z jakiegoś konkretnego powodu – mówi. – Jakieś ciekawe wieści w Klejnotu?

Rozluźniam więź z powietrzem i źdźbła siana opadają na klepisko. Wolałabym być w pełni obecna przy tej rozmowie.

– Nie widziałem Luciena od dnia ślubu – stwierdza Garnet – nie wiem więc, co dokładnie zamierza. Wiem, że moja droga matka ma jakieś plany, ale nie udało mi się dowiedzieć, o co konkretnie chodzi. Obawiam się, że moje nagłe zainteresowanie surogatkami obudziłoby jej podejrzenia.

– Więc jej plan ma związek z surogatką – zastanawiam się głośno. – Tylko że przecież żadnej w tej chwili nie ma.

– Racja, ale nikt w Klejnocie poza mną i Lucieniem o tym nie wie. Och, no i przybył jeszcze ten nowy towarzysz, o którym wspominaliście...

– Nazywa się Rye – przypomina mu Raven.

– Co z nim? – Ash odkłada szczotkę.

– Chyba wszystko w porządku. Nie rozmawiałem z nim, nie wie więc niczego o sprzysiężeniu albo rebelii. Ha! Carnelian wciąż nie może o tobie zapomnieć. Jesteś jej ukochanym tematem i biedaczek musi wciąż wysłuchiwać, jakiz byłes wspaniały... Mam wrażenie, że rozprawiając o tobie, liczy na

wzajemność, co jest w sumie dość smutne.

– O co może chodzić Diuszecie z surogatkami? – pytam. Nie mam ochoty tracić czasu na opowieści o Carnelian. – Co ona kombinuje?

– Jak już mówiłem, nie jestem wtajemniczony. Staram się grać idealnego synka, tak jak się umawialiśmy. Wiesz, małżeństwo otworzyło mi oczy, wydorostałem, nie snuję się po tawernach w Banku, nie korzystam z... Dobra, wiadomo. – Milknie na chwilę. – Ale dałbym sobie głowę uciąć, że wpadła na jakiś pomysł. Wczoraj w nocy napisała list do Hierarchy i sama go dostarczyła. Wiesz, kiedy ostatnio matka zdobyła się na coś takiego? Przypuszczam, że nigdy.

– A co ze stowarzyszeniem? – pyta Ash, rozsypując ziarno dla kręcących się wokół kurczaków. – Co planują? Jakież postępy?

– Musisz pytać Luciena – mówi Garnet. – Moje wiadomości nie wykraczają ponad to, co pojawiło się w gazetach, a i to tylko dlatego, że wiem, na co zwracać uwagę.

Sprzysiężenie czynnie zajęło się dewastowaniem własności arystokracji w Dymie i w Farmie. Ich celami stały się, zgodnie z sugestią Asha, głównie budynki magistratu oraz baraki Gwardii. Oczywiście Lucien nie powiedział głośno, że plan był niezły. Czarny Klucz znajdował słabe punkty w miejscach, które były bastionami arystokracji w niższych kręgach i precyzyjnie w nie uderzał. Konsekwentnie nie przyznawali się do ataków, choć raz ktoś wymalował klucz na drzwiach poczty. Lucien nie był tym postępkem zachwycony.

Ash zresztą też nie, przypuszczałam jednak, że głównie dlatego, że wolałby sam brać udział w akcji. Wiem, że ma dość życia w izolacji i że wścieka się, że nie może aktywnie wspierać rewolucji. Poznają to po wyrazie jego twarzy i po tym, jak pręży ramiona.

– Idę na obchód – oznajmia. Ostatni raz drapie jedną z kóz za kosmatym uchem i wychodzi ze stodoły. Przynajmniej dwa razy dziennie patroluje cały teren Białej Róży. Chyba pomaga mu to wyładować część energii.

– Powiedziałem coś nie tak? – pyta Garnet.

– Nie. – Pozwalam sobie na westchnienie. – Po prostu jest sfrustrowany.

– O, jasne, opowiedz mi o tym. Przynajmniej nie musi godzinami słuchać wykładów o różnicach między zwykłą porcelaną a porcelaną kościaną.

– I którą wolisz? – drwi Raven.

– Kościaną! Co to w ogóle za pytanie. Wiesz, że jest najbielsza?

Parskamy z Raven śmiechem.

– Muszę iść – oznajmia nagle Garnet i Arkana milkną. Raven łapie kamerton, nim ten wpadnie w siano, i zeskakuje.

– Jak myślisz, co planuje Diuszesa? – pyta, oddając mi przedmiot.

– Nie mam pojęcia, ale martwi mnie to, że zachowuje się tak, jakby nadal miała surogatkę.

– Taa – mruczy Raven. – Ale chyba nie ukradła dziewczyny jakiejś szlachciance, której nie lubi, nie?

– Coś takiego od razu trafiłoby na pierwsze strony gazet.

– Może... – Raven wydyma wargi. – Idę zrobić herbaty. Też chcesz?

Potakuję.

– Zaraz przyjdę.

Gdy tylko Raven znika na zewnątrz, wzdycham głęboko i rozkładam ramiona na boki.

Staję się powietrzem.

Setki żdźbeł siana unoszą się sponad klepiska, gdy łączę się z żywiołem. Poczucie nieważkości jest upajające. To jak latanie, choć przecież wciąż stoję na ziemi. Wzlatuję aż pod sam sufit, unosząc ze sobą siano.

Kalarepka przestępuje z nogi na nogę.

Arkana zaczyna wibrować mi w dłoni. Wracam na ziemię.

– Jest w drodze do ciebie – oznajmia Lucien. Żdźbła siana opadają wprost na moją głowę i grzywę klaczy. Kalarepka potrząsa łbem i parska cicho.

– Lwica?

– Numer 199.

To straszne, że żadne z nas nie zna jej prawdziwego imienia.

– Co jej powiedziałaś? – chcę wiedzieć.

– Niczego jej nie powiedziałem – odpowiada chłodno. – Nie dam rady nawiązać współpracy z innymi dziewczynami, tak jak zrobiłem to z tobą. Wyciągnę je w najbezpieczniejszy możliwy sposób.

– Czyli?

– Czyli wedle starego planu. – W głosie Luciena pobrzmiewają nuty niecierpliwości. – Zaprawiłem jej wino serum, nie wiem, czy nie w ostatnim możliwym momencie. Mam dziwne wrażenie, że Hrabina Róży planowała, że 199 przytrafi się niedługo jakiś wypadek.

Wzdrygam się, gdy dociera do mnie sens jego słów.

– Czyli... Czyli pojawi się tutaj, nie mając bladego pojęcia, co się dzieje?

– Robię swoją robotę, Violet – stwierdza Lucien. – Ty zrób swoją. Będzie w pociągu. Stacja Bartlett, jutro o drugiej po południu. Szukaj klucza.

– Zawsze to robię.

Następny dzień okazuje się wyjątkowo chłodny. Ciaśniej owijam się szalem i opuszczam nauszники czapki. Sil kazała mi założyć również wyjątkowo dziwaczne gogle z przydymionymi szklami, przez które nikt nie dojrzy koloru moich tęczówek.

– Na wszelki wypadek – oznajmiła. – Gdyby ktoś cię szukał.

– Chcę z wami jechać – mówi Ash, zaprzęgając Kalarepkę do wózka.

– Nie ma mowy – ucina dyskusję siedząca na koźle Sil. Ash obrzuca ją nieprzyjaznym spojrzeniem i obraca się w moją stronę.

– Chcę jechać – powtarza. – Chcę zrobić cokolwiek.

– Wiem – mówię łagodnie. – Ale... To zbyt niebezpieczne. A jeśli ktoś znów cię rozpozna?

– Masz taką śliczną mordkę, że Gwardziści pojawią się, zanim zdążysz powiedzieć „halma” – dorzuca Sil.

– Violet już raz mnie zmieniła. I może zrobić to ponownie.

– Ash... – waham się. – To były Augurie, a ja... Nie chcę ich więcej używać. – To tylko częściowo prawda. Tak naprawdę hamuje mnie głównie obawa o życie Asha. Nie chcę, żeby niepotrzebnie ryzykował.

– Jasne – odpowiada krótko. – Rozumiem.

– Zajmiesz się Raven, kiedy mnie nie będzie?

– Raven świetnie potrafi sama się sobą zająć.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– Niedługo wrócimy. Może... Może następnym razem pojedziesz.

Ash kiwa głową, choć nie sądzę, by mi uwierzył. Poklepuje szyję Kalarepki i odmaszerowuje do obory.

Wzdycham i wspinam się na kozioł obok Sil.

– Ten towarzysz zaczyna działać mi na nerwy – mówi zrzędliwie kobieta.

– Nie jest już towarzyszem – zauważam, gdy wózek rusza. – Byłoby miło, gdybyście z Lucieniem o tym pamiętali. On jest... sfrustrowany. Chciałby pomóc.

– A co niby miałyby robić? Uwieść jakąś kobietę i namówić ją, żeby wpuściła nas do Klejnotu?

– W ogóle go nie rozumiesz.

Sil wybuchła śmiechem.

Droga przez las jest zupełnie inna niż ta, którą odbyliśmy nocą, kiedy Lucien mnie tu przyprowadził. Niebo jest jasnoblękitne i czyste, powietrze zaś chłodne i świeże. Moja irytacja powoli opada i ustępuje miejsca ekscytacji. Wreszcie zobaczę coś poza terenem Białej Róży!

– Musimy zatrzymać się po drodze – mówi Sil.

– Gdzie? – Nie wiem, jakim cudem udawało mi się dotąd zachować jako taki spokój. Teraz, kiedy jesteśmy poza domem, rozpira mnie energia.

– Muszę załatwić coś dla Jego Królewskiej Kluczowości – mruczy.

Kiedy wyjeżdżamy spomiędzy drzew, opada mi szczęka. Przybyłam na Farmę nocą, a poza tym większą część podróży spędziłam zamknięta w beczce, tak więc nie miałam okazji się rozejrzeć. Teraz mam... Jest tu strasznie dużo... otwartej przestrzeni. Przyzwyczyłam się już do polany, na której stoi Biała Róża i znajomego pierścienia drzew otaczającego cały mój świat.

Zdążyłam zapomnieć, że świat jest naprawdę wielki.

Jak okiem sięgnąć, rozciągają się pola. Jesteśmy na szczycie wzgórza, skąd widać położone w zagłębieniu terenu niewielkie miasteczko z domami o pochyłych dachach. Z kominów unoszą się wąskie smużki dymu. Po prawej znajduje się gospodarstwo, bielony budynek stoi między schludnie przyciętymi rzędami pozółkłej teraz trawy. Ciekawe, co wyrosnie tam kolejnego lata. Przejeżdżałam przez Farmę, gdy jechałam na Aukcję i najlepiej zapamiętałam oszałamiające bogactwo kolorów tego kręgu. Róże, pomarańcze, zielenie... Teraz wszystko jest rdzawe, bladożółte albo brązowe.

Ale wciąż piękne.

– W której części jesteśmy? – pytam.

– W południowej.

– W Południowej Kwarcie pracuje mój brat, Ochre – mówię. Miło poczuć, że ktoś z mojej rodziny jest niedaleko, nawet jeśli to niedaleko może być tak naprawdę gdziekolwiek. Południowa Kwarta jest wielka, a Ochre może być na drugim jej końcu.

Wspomnienie Ochre'a sprawia, że zaczynam myśleć o Hazel. Martwi mnie, czy zdążymy z realizacją planu. Musimy powstrzymać Aukcję, nim moja młodsza siostra zostanie zbadana. Wolałabym, żeby rebelia zaczęła się wcześniej. Październik wydaje mi się straszliwie odległy. Mamy dopiero styczeń.

Trudno mi się nie gapić, kiedy przejeżdżamy przez miasteczko. Ludzie, kobiety w długich wełnianych sukniach i ciepłych okryciach, mężczyźni w ogrodniczkach i futrzanych czapach, pomalowane na ciemną czerwień i zgaszoną żółć domy, warzywniak, biuro magistratu, sklep ogrodniczy, wszystko wydaje mi się fascynujące. Dopiero po dłuższej chwili parskam w duchu, rozbawiona samą sobą. Przez trzy miesiące mieszkalam w Klejnocie i oglądałam prawdziwe cuda, a teraz zdumiewa mnie warzywniak.

Zatrzymujemy się przed gospodą. Szyld, pomalowany kawał drewna wyrzeźbiony w kształt drzewa, kołysze się ze skrzypieniem w podmuchach wiatru. Nazwę przybytku wypisano prostymi czarnymi literami: STUDNIA ŻYCZEŃ. Uśmiecham się. Czyżby właściciel był wielbicielem bajek dla dzieci? Na tablicy przy wejściu dostrzegam kawałek papieru. Ledwie mogę odczytać słowa.

POSZUKIWANY. ZBIEG.

Papier jest wyblakły i poplamiony, jednak twarz Asha wciąż da się rozpoznać. Przechodzi mnie dreszcz. Miałam rację, prosząc go, by został w domu. Sil uwiązuje Kalarepkę.

– Siedź cicho, ja będę mówić – mruczy do mnie. – Nie zabawimy tu długo.

Studnia Życzeń ma szeroki drewniany ganek, i, ponad nim, sporej wielkości balkon. Zza okien przesłoniętych białymi koronkowymi firankami dobiegają dźwięki muzyki. Budynek jest pomalowany na

ciepły żółty kolor i w niczym nie przypomina paskudnych spelun, które widziałam w Mordowni, najgorszej dzielnicy Banku.

Wnętrze jest równie przyjemne jak front. Za barem z ciemnego, wypolerowanego do połysku drewna, na przymocowanych do ściany półkach stoją wielobarwne i zachwycające różnorodnością kształtów butelki z alkoholami. Na lustrze ktoś wypisał zamasztysem specjalności dnia. W gospodzie nie ma zbyt wielu ludzi, ponad połowa rozrzuconych po sali stołów jest pusta. Przy samym barze na wysokim stołku zasiadł staruszek, który popija whisky ze szklanki z przydymionego szkła i przegląda gazetę. W odległym rogu mężczyzna w pasiastej koszuli uderza w klawisze pianina.

– Sil! – wykrzykuje barman, wyłaniając się z wahadłowych drzwi prowadzących, jak zgaduję, do kuchni. W dłoniach trzyma tacę z pieczonym kurczakiem i obsypaną siekanymi migdałami zieloną fasolką szparagową. Zaczyna burczeć mi w brzuchu. – Zaraz do ciebie wracam.

Spiesz się dostarczyć zamówienia, a my siadamy przy barze. Sil wybrała stołki stojące jak najdalej od staruszka.

– Wie, że nie powinienem cię tak nazywać – mamrocze pod nosem.

– Ach, czyli ty również masz pseudonim, tak?

Sil wykrzywia usta, a jej policzki ledwie zauważalnie ciemnieją. Ignorując mnie, sięga po egzemplarz „Kuriera Klejnotu” i udaje, że go przegląda.

– Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz cię widziałem – mówi barman, przechodząc obok nas. Po chwili ściąga z półki jedną z butelek i wyjmuje dwie szklanki. – To samo, co zwykle? A kim jest twoja urocza przyjaciółka.

– Nikim – ucina Sil, odkładając gazetę. – I nie pije.

Mężczyzna jest najwyraźniej przyzwyczajony do obcesowości Sil. Kiwa głową, nalewa do szklanek bursztynowej whisky i przysuwa sobie jedną. Sil pije do dna.

– Mam coś tutaj. – Sięga pod płaszczyk i wyciąga owinięty brązowym papierem pakunek. – Coś, żeby pomóc temu małemu od Pasterza.

Twarz barmana smutnieje.

– Ach, tak, oczywiście. Dochodzi do siebie, choć po tym, co się stało...

– A co się stało? – pytam. Sil rzuca mi ostre spojrzenie.

– Jego dziadek chciał go sprzedać na dwórkę – wyjaśnia barman przyciszonym tonem.

– Ale skrewił robotę – dodaje Sil. – Tępy rzeźnik! Mało nie zabił chłopca.

– To okropne – wyduszam z trudem.

– Tak... – Barman przygląda mi się nieco podejrzliwie, opuszczam więc wzrok. Po chwili zwraca się znów do Sil. – Masz jakieś wieści od Czarnego Klucza?

– A zdarzyło się, żebym nie miała? – Zaczyna recytować: – Trzeci z prawej, czwarty z lewej. Zajazd Westinga. Skrzynia z ginem. – Kiwa głową jakby z uznaniem dla samej siebie. – To tyle. Tylko, do licha ciężkiego, nie zapisuj tego jak poprzednio! Cały sens tej szarady szlag wtedy trafia.

Barman pokornie kiwa głową, mamrocząc pod nosem tajemniczą wiadomość.

– Na nas już pora – oznajmia Sil, rzucając na kontuar dwa diamanty. Na błyszczących srebrnych monetach jest podobizna Diamanty Wielkiej, Wybranki, która wymyśliła Aukcje.

– Na koszt firmy – protestuje barman, odsuwając monety, ale Sil nie zwraca na niego uwagi. Wychodzę za nią z gospody, po drodze chwytając gazetę.

– O co chodziło? – pytam, gdy wsiadamy z powrotem na wózek. Chłodne powietrze szczypie mnie w policzki. Jedziemy zatłoczoną główną ulicą.

– Broń – mówi cicho Sil. – Lucien ma w Dymie paru ludzi, którzy robią ją dla nas i przemycają tutaj. To ryzykowne. Mogę przerzucić ledwie kilka sztuk naraz. To dość wolno dla naszych wspaniałych

rebelianckich sił złożonych z farmerów oraz robotników. Ach, i z zapominalskich karczmarzy, oczywiście.

Myślę o Krawcowej, Szewcu i Złodzieju, jedynych członkach stowarzyszenia, których dotąd poznałam i bez których pomocy nie dotarłabym na Farmę. Byli oddani sprawie, całkiem niezli w sztuce podstępny, ale nie umiem wyobrazić ich sobie w roli żołnierzy naszej armii, a już na pewno nie takich, którzy mieliby szansę w zbrojnym starciu z oddziałami Gwardzistów.

Sil wydaje się czytać mi w myślach.

– To nie twój problem – oznajmia i potrząsa lejcami, by skłonić Kalarepkę do kłusa. – Musimy złapać pociąg.

– Co dałaś barmanowi dla tego chłopca?

Wzrusza ramionami.

– Sproszkowaną korę czerwonej wierzby. Powinna pomóc stłumić ból.

– Co się z nim stanie?

– Przeżyje. – Słowa Sil nie brzmią specjalnie radośnie.

Otwieram gazetę i przeglądam artykuły. W pałacu Pani Światła odbyło się przyjęcie, które wymknęło się spod kontroli. Kilku młodych i krewkich szlachciców postanowiło rozwiązać nieporozumienie za pomocą pięści. „To była scena godna Garneta z Pałacu Jeziora, a przynajmniej jego dawnej wersji. Po ożenku, znany jako najbardziej szalony z kawalerów, syn Diuszesa Jeziora znacznie się ustatkował” – czytam.

Przerzucam stronę i zaciskam zęby, widząc informację o narodzinach. „Dom Wierzby z radością powitał córeczkę. Imię zostanie niebawem ogłoszone”. Żadnej wzmianki o surogatce. Kolejna martwa dziewczyna, o której nikt nie pamięta.

Czytam kolejne nagłówki, póki nie docieram do zdjęcia, na którego widok ze świstem wciągam powietrze. Z gazety patrzy na mnie Diuszesa. Na fotografii ma wysoko zaczesane i upięte perłami włosy oraz elegancką suknię z głębokim dekoltem. Mam wrażenie, że czuję na sobie spojrzenie jej przepełnionych okrucieństwem oczu. Przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Nagłówek brzmi: DIUSZESA JEZIORA NA PRYWATNEJ AUDIENCJI U HIERARCHY.

To musi mieć związek z listem, o którym mówił Garnet. O co może jej chodzić?

Stacja Bartlett znajduje się jakieś trzydzieści minut drogi poza miasteczkiem w dolinie tak wąskiej, że bardziej przypomina wąwóz. Pociąg musi być wyładowany towarem, bo w kolejce stoi ponad tuzin wózków i wozów. Niektórzy z mężczyzn obrzucają mnie i Sil zaciekawionymi spojrzeniami. Wielu pali ręcznie zwijane papierosy. Po raz pierwszy cieszę się, że mam na sobie kapelusz i gogle.

Słyszę pociąg na długo przed tym, jak go widzę. Echo gwizdu odbija się od okolicznych wzgórz. Wielka czarna machina plująca gęstym białym dymem zatacza łuk i zatrzymuje się na stacji. Niemal natychmiast z wagonów wyskakują mężczyźni o umorusanych sadzą twarzach i zaczynają wyładowywać na peron skrzynie, worki i owinięte brązowym papierem paczki.

Rozglądam się za znakiem klucza. Jest na wyładowywanej właśnie skrzyni. Mrugam z zaskoczenia, gdy dwóch tragarzy bezceremonialnie zrzuca ładunek na ziemię.

– To nasz – oznajmia Sil.

Skrzynia ma dwa uchwyty, ale do lekkich nie należy. Kiedy męczymy się, by umieścić ją na wózku, nagły podmuch wiatru uderza w nią od spodu i pomaga nam uporać się z problemem. Sil puszcza do mnie oko.

– Przydatne – mruczę.

Chciałabym, żebyśmy mogły otworzyć skrzynię już teraz.

– I pomyśleć – rzuca Sil, poklepując skrzynię – że tak właśnie mogła być wyglądać twoja podróż.

Kilka kropli serum i przejażdżka pociągami.

Wiele wysiłku kosztuje mnie, by nie przewrócić oczyma.

– Brzmiś jak Lucien – burczę.

Sil pogardliwie parska.

Kiedy wracamy do Białej Róży, na ganku witają nas Raven i Ash. Ku mojej ogromnej uldze, Ash zdaje się mieć nieco lepszy nastrój.

– Momencik – mówi, wskakując na tył wózka. Podważa łomem wieko skrzyni. Ze środka bucha zapach siana i nieświeżego potu.

Lwica leży na boku. Ma na sobie brązową wełnianą suknię. Lucien musiał założyć jej ubranie w kostnicy. Jest strasznie chuda, niemal równie zabiedzona co Raven, kiedy tu trafiła; skóra ciasno opina ostre kości. Pod oczyma Lwicy kładą się głębokie cienie, czarne niemal na tle czekoladowej skóry.

Ash delikatnie chwyta jej rękę, a potem przerzuca sobie dziewczynę przez ramię.

– Gdzie mam ją położyć? – pyta.

– W pokoju Raven – decyduję. – Zostanę z nią, póki się nie obudzi.

Lwica śpi przez większą część dnia.

Kiedy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, działanie serum wreszcie słabnie.

Niebo jest pogodne, zabarwione odcieniami rdzawej pomarańczy i stłumionej żółci. Wyglądam akurat przez okno, gdy Lwica jęczy głośno i przewraca się na bok. Łapię wiadro, które przyniosłam tu specjalnie na tę okazję.

– Spokojnie – mówię, przytrzymując je, a drugą dłoń trzymając na plecach dziewczyny. Serum Luciena działa świetnie, ale ma paskudne efekty uboczne.

Lwica zanosi się kaszlem. Podaję jej kawałek materiału, by otarła usta. Jej powieki to unoszą się, to znów opadają, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce otworzyć oczy, czy nie.

Nalewam jej szklanek wody ze stojącego na nocnej szafce dzbanka.

– Wypij.

Teraz, gdy się obudziła, dociera do mnie, że jestem strasznie zdenerwowana. Ta dziewczyna pochodzi z mojego poprzedniego życia – życia, które teraz wydaje mi się bardzo odległe. Nie wiem, jak mam się zachowywać.

Pije w milczeniu, a potem bez podziękowania oddaje mi szklanek.

– To ty – stwierdza, siadając na łóżku.

– Jestem Violet – przedstawiam się. – Jak się nazywasz?

– Gdzie ja jestem? – Jej oczy zamieniają się w szparki. – Jak się tu dostałam? Czego chcesz?

– Jesteś na Farmie – wyjaśniam. No cóż, chyba nie powinnam być zdziwiona jej zachowaniem. – Chcę ci pomóc i... Chcę, żebyś ty pomogła mnie.

Szkoda, że wcześniej nie przemyślałam, co właściwie powiedzieć.

Sarkastyczny uśmiezek Lwicy zupełnie nie licuje z jej chudą, zmęczoną twarzą.

– Jasne. Więc mnie porwałaś, tak? Właściwie, to jak sama się tu dostałaś? Myślałam, że zamknęli cię w Pałacu Jeziora.

Ignoruję jej pytania.

– Mówiłaś mi kiedyś o mocy – mówię. – Na pogrzebie Dahlii stwierdziłaś, że mamy siłę większą niż arystokracja, bo to my dajemy im dzieci.

– Miło mi, że zrobiłam na tobie wrażenie – rzuca złośliwie.

– Nie masz pojęcia, jaką moc naprawdę mamy.

Powietrze jest żywołem, z którym najłatwiej się połączyć, a to dlatego, że zawsze jest obecne. Poddaję się mu, jak zawsze lekko oszołomiona nagłym poczuciem bezcielesności, które towarzyszy

zespoleniu, a potem popycham je, najpierw lekko, a potem mocniej, aż wreszcie mam odczucie, jakbym fruwała wokół pokoju. Lwica przyciąga kołdrę do piersi.

Wracam do siebie. Pokój natychmiast się uspokaja, choć we mnie wciąż buzuje pozytywna energia.

– Czym ty jesteś? – pyta nieufnie Lwica.

– Jestem... – Nie do końca wiem, jak ująć to w słowa. – Jestem taka jak ty. Jesteśmy podobne, niemal takie same.

– Czy ty właśnie mówisz mi, że mogę zrobić coś takiego, jak ty przed chwilą?

– Coś w tym stylu. Mam taką nadzieję.

Lwica parska pogardliwie.

– Nadzieję! Po co mnie tu sprowadziłaś?

– Wolałabyś nadal być w Klejnocie? – pytam.

Milknę i w jej oczach dostrzegam ból. Ciekawe, co właśnie wspomina.

– Nie – oznajmia wreszcie.

– I dobrze.

– No więc powiesz mi, po co tu jestem?

– Tak jak wspomniałam, potrzebuję twojej pomocy. Żeby obalić arystokrację.

Ciemne oczy Lwicy rozszerzają się tak bardzo, że widzę okalające tęczówkę białko.

– Ty mówisz poważnie...

Czuję, że właśnie ta chwila jest kluczowa. Lwica musi mi uwierzyć, choć nie mam na poparcie mych słów niczego poza drobnym pokazem, który dałam wcześniej. Jak mam wyjaśnić, czym naprawdę są Augurie, kim były Paladynki, jak powstało Samotne Miasto i jaka odpowiedzialność spoczywa na naszych barkach? Biorę głęboki oddech.

– Jest tak wiele rzeczy, o których mogę ci opowiedzieć i które mogę ci pokazać, o ile oczywiście, tego chcesz, ale... Najpierw chciałabym wiedzieć, jak masz na imię.

Przez ułamki sekund myślę, że mi nie odpowie. A potem się uśmiecha.

– Sienna – przedstawia się. – Na imię mam Sienna.

Gdy schodzimy na dół, Sil robi akurat obiad.

Raven siedzi na bujanym fotelu i czyta książkę. Na dźwięk naszych kroków obydwie podrywają głowy.

– Pamiętam cię – oświadcza Sienna, robiąc krok do tyłu. – Dom Kamienia, tak?

– Nazywam się Raven Stirling.

– Ciebie również porwała?

– Uratowała mi życie – odpowiada Raven.

– Mówili, że nie żyjesz. Urządzili niezłe przedstawienie, pogrzeb i tak dalej. – Sienna omiata Raven spojrzeniem od stóp do głów. – Byłaś w ciąży, nie?

– Już nie jestem – cedzi Raven przez zaciśnięte zęby.

Sienna uśmiecha się z drwiną.

– Uwielbiam kłamać, prawda? – Spogląda na mnie. – Moja mistrzyni udawała, że przepada za twoją Diuszesa, ale tak naprawdę nie mogła jej znieść. Była zazdrosna. Cały czas obgadywała ją za plecami.

Tylne drzwi otwierają się i do pomieszczenia wchodzi Ash. Na twarzy ma smugi brudu. Otacza go nikła woń siana i obornika.

– Zupa świetnie pachnie, Sil – mówi. Nagle dostrzega Siennę i staje jak wryty.

Sienna ze świstem wciąga powietrze i cofa się.

– Ty... Ty jesteś tym gwałcicielem.

– Uwielbiam kłamać – powtarzam jej własne słowa. – Sama tak mówiłaś. To jest Ash. Jest... moim przyjacielem.

– Miło mi cię poznać – mówi Ash, kiwając uprzejmie głową. Widzę, że bardzo się stara, by nie dać po sobie poznać urazy.

Sienna patrzy to na mnie, to na niego i w jej oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Ooooooch... Rozumiem – stwierdza powoli. – Przyłapali was razem albo coś w tym stylu?

Czuję, jak na policzki wypełza mi rumieniec.

– Tak – odpowiada Ash. – Albo coś w tym stylu.

– A mówią, że zrobiłeś jej coś paskudnego – informuje Sienna. – Diuszesa twierdzi, że to dlatego biedna surogatka nie może pokazać się publicznie. Mnóstwo arystokratek zażyczyło sobie, żeby ich towarzysze zostali przesłuchani przez Gwardzistów. Po to, żeby się upewnić, że nie trafi się drugi taki jak ty.

Przez twarz Asha przemyka cień poczucia winy.

– Hrabina Róży nie miała żadnego towarzysza – ciągnie Sienna. – A tak strasznie chciała... Jaki żal, że nie ma córki. Strasznie zazdrościła Diuszecie, że cię zatrudniła. – Wzrok Sienny przesuwają się na ramiona i pierś Asha. – Bez wątplenia masz imponujące...

– Wybacz, proszę – przerywa jej Ash ostrym tonem, po czym mija nas i znika na schodach. Kilka sekund później z łazienki dochodzi nas odgłos lejącej się wody.

– Naprawdę świetnie wygląda – mruczy Sienna, patrząc na mnie porozumiewawczo.

– Nie tylko wygląd się liczy – ucinam. – On nie jest twoim problemem. – Wskazuję palcem stół. – Usiądź. Trzeba wyjaśnić parę rzeczy.

Sil, która do tej pory, zupełnie dla siebie nietypowo, zachowywała milczenie, przynosi nam miski z parującą zupą z czarnej fasoli i bez słowa stawia je na blacie. Od zapachu warzyw i czosnku ślinka

napływa mi do ust. Sil przechodzi obok Sienny i burczy do mnie:

– Nie lubię jej.

Pokusa jedzenia jest na tyle silna, że Sienna grzecznie siada przy stole. Zaczyna jeść, nim jeszcze siadamy z Raven obok niej. Raven rzuca mi spojrzenie wyrażające mniej więcej to samo, co wcześniej oznajmiła mi Sil. Niezbyt się jej dziwię.

W trakcie gdy Sienna je, najlepiej jak umiem, wyjaśniam, co naprawdę dzieje się z surogatkami po porodzie, jak siły natury zostały wypaczone, by służyć arystokratom i przekształciły się w Augurie oraz jak możemy użyć tych sił przeciwko tym, którzy je przeinaczyli. Mówię jej, że mamy realne szanse, by ocalić wszystkie surogatki w mieście.

– Dlaczego miałby mnie obchodzić los innych dziewczyn? – pyta Sienna. – Jestem tutaj, bezpieczna, nic mi nie grozi. Dlaczego miałabym ryzykować dla ludzi, których nawet nie znam?

– Nie polecam ci obnoszenia się tutaj z takim podejściem – ostrzega stojąca przy kuchni z założonymi na piersi ramionami Sil. – I nie udawaj, że w Klejnocie nie ma absolutnie nikogo, na kim ci zależy.

Przypomina mi się Lukrowany Tort, blondwłosa surogatka, którą kupiła Diusza Łusek. Po minie Sienny poznaję, że i ona o niej myśli.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, ona i tak już nie żyje – stwierdza Sienna, odkładając łyżkę.

Przełykam z trudem. Lukrowany Tort musi być w ciąży.

– Nie chcesz spróbować jej pomóc? – pytam. – A co z tymi wszystkimi dziewczynami z twojego Magazynu, które nie zostały jeszcze zlicytowane, które wciąż jeszcze mają szansę?

Sienna nerwowo poprawia się na krześle.

– Nic nie wiesz o moim Magazynie – oświadcza napiętym głosem.

– Brama Północna, tak?

Spogląda na mnie, zaskoczona.

– Dahlia mi powiedziała – wyjaśniam miękko.

– Kto taki?

– Przyjechała z tobą na Aukcję – mówię i krzywię się lekko. – Miała numer 200.

– Och. – Sienna wzrusza ramionami. – Nie znałam jej imienia. W Bramie Północnej jest mnóstwo surogatek, a ona była tylko kolejnym dzieciakiem.

– To kłamstwo. – Oczy Raven znów mają ten na pół przytomny wyraz. Szepty, jak je nazywa, stały się cichsze, od kiedy nie jest już w ciąży, jednak Raven wciąż słyszy różne rzeczy. – Była świetna w Auguriach, choć młodsza od ciebie. Twoim zdaniem to nie było w porządku. To ty miałaś być najlepsza. Ty miałaś być numerem 200.

Sienna podrywa się od stołu, a Raven wraca do rzeczywistości.

– Nie kłam przy mnie – mówi do Sienny. – I nie trać czasu na zamartwianie się. To uratowało ci życie.

– Co takiego? – chcę wiedzieć.

– To, że nie możesz mieć dzieci.

– Skąd ty to... – Sienna kładzie sobie dłoń na brzuchu.

Raven robi obojętną minę.

– To nie czyni cię gorszym człowiekiem – zwracam się do Sienny.

– A surogatką? – warczy.

– Sienno... Już nie jesteś surogatką.

Sienna siada ciężko na swoim krześle i ponuro zagapia się w zupę.

– Całe moje życie kręciło się wokół jednego i tylko jednego. A skoro nigdy nie mogłam, to... To wszystko nie ma sensu, nie? Nie tak powinno być.

Dotykam jej ręki i czuję drobne kości nadgarstka niemal przebijające delikatną skórę.

– Możesz o wiele więcej. Jesteś częścią czegoś o wiele większego niż możesz sobie wyobrazić.

– Chodźcie! – woła nas Sil, otwierając tylne drzwi. – Dość gadania, pora na pokaz.

Ściągam z oparcia sofy koc na wypadek, gdyby Sil miała zamiar zrobić to, co podejrzewam.

– Zaraz wracam – wołam do Raven, która wygląda na ukontentowaną pozbyciem się nowej koleżanki.

Sienna niechętnie wlecze się jakiś kawałek za mną i Sil. Idziemy w stronę lasu.

– Dokąd mnie zabieracie?! – woła do nas.

Sil udaje, że nie słyszy.

– Masz zamiar zrobić jej to samo, co mnie? – mruczę pod nosem. – Przywiązać ją do drzewa?

– Na Azaleę podziałało.

– No tak, racja, ale... Zajęło to sporo czasu, nie? A my go nie mamy. Poza tym chcemy, żeby opowiedziała się po naszej stronie, a nie uznała nas za śmiertelnych wrogów.

– Cóż, jeśli nie jesteś gotowa zaciukać swojej przyjaciółki i posłać tej nowej, żeby ją wskrzesiła, to brakuje mi pomysłów.

Ma trochę racji. Połączyłam się z mocą poprzez emocje tak silne, że przyniosły mi natychmiastowe zrozumienie potęgi żywiołów. Pojęłam wszystko w czasie nie dłuższym niż pstryknięcie palcami.

Ale nie mam pojęcia, jak doświadczyć tego po raz drugi. Jak odnaleźć ten stan.

Gdy przechodzimy pod pierwszymi nagimi gałęziami, Sienna nagle przystaje.

– Dokąd idziemy? – pyta nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Sil ujmuje się rękoma pod boki i odwraca na pięcie.

– Musisz się nauczyć, jak robić to, co możesz robić. Mam zamiar cię nauczyć.

Jej definicja słowa „nauczyć” jest naprawdę szeroka.

– Nie chcemy cię skrzywdzić – zapewniam Siennę, bo Sil wygląda, jakby najchętniej przywaliła jej w potylicę czymś ciężkim. – Nie masz czego się obawiać.

Łączę się z Ziemią i gałęzie pod stopami Sienny ożywają i zaczynają pełznąć w górę. Po chwili owijają się ciasno wokół łydek dziewczyny i sięgają wyżej, aż do połowy ud.

– Zabierz je ode mnie! – wrzeszczy Sienna, ale więzy są zbyt silne. Wiem o tym. Czuję je. Nawet gdy wyplątuję się z objęć Ziemi, korzenie wciąż przytrzymują Siennę w miejscu.

– Dlaczego wybrałaś akurat tę surogatkę? – sarka Sil, przyglądając się walce Sienny z pozbawionym bodaj cienia litości wyrazem twarzy.

– Miała numer 199 – wyjaśniam. – Jest silna.

– I uparta jak osioł.

– Jakbym ja nie była...

– Nie... Ty jesteś inna. Jesteś... – Sil marszczy nos, jakby powąchała coś paskudnego. – Jesteś miła – kończy z nieszczęśliwą miną.

Parskam śmiechem.

Sienna przestała się miotać i teraz ze skupionym wyrazem twarzy trzyma jeden z korzeni. Dociera do mnie, co miała na myśli Sil, gdy pierwszego dnia smagnęła mnie po rękach, gdy używałam Augurii. Poznając ten wyraz oczu i całą sobą odczuwam niewłaściwość tego, co robi Sienna.

– Momencik, dlaczego chcesz im zmienić kolor? – pyta Sil, prychnąwszy z rozbawieniem. – Możesz sprawić, że staną się fioletowe, zielone albo w uroczym odcieniu fuksji, ale nic ci to nie pomoże. Chwilowo utknęłaś.

Spojrzenie Sienny mogłoby podpalić drwa w kominku.

– Jesteście stuknięte!

– Ha! Słyszałam już gorsze wyzwiska – oświadcza Sil.

– Proszę, weź to – mówię, podając Siennie koc. – Będiesz go potrzebować.

Sienna wygląda, jakby wolała raczej odgryźć moją rękę niż przyjąć dar, ale na dworze jest zimno i rozsądek wygrywa z emocjami. Gwałtownie wrywa mi okrycie z dłoni i ciasno się owija.

– To co niby mam tutaj robić? – pyta gniewnym tonem.

– Słuchaj. Ucz się. – Sil krzywi się lekko. – Każdy musi kiedyś zacząć.

– Zajrzę do ciebie później – mówię łagodnie.

– Co?! Nie mogę uwierzyć, że mnie tutaj zostawiacie!

– Wolałabyś raczej wrócić do tamtego urokliwego pałacu? – ironizuje Sil. – Pamiętaj, skoro nie możesz mieć dzieci, i tak by cię zabili. Co jest lepsze, spędzić noc na dworze i złapać przeziębienie, czy skończyć z nożem w plecach albo żołądkiem pełnym trucizny? Chodź – mówi Sil, łapiąc mnie za rękaw.

Sienna jeszcze mocniej otula się kocem i patrzy za nami z wściekłą miną, a jej oczy błyszczą w ciemnościach jak onyksy.

Tej nocy nie mogę spać.

Czuję ból u podstawy czaszki podobny do tego, jaki towarzyszył Auguriom, jednak tym razem ma on związek z Sienną.

Sypiamy wraz z Ashem na stryszku w stodole. Sil miała rację, że mogę coś zniszczyć przez sen. Po pierwszej spędzonej ze mną na zewnątrz nocy, Ash powiedział mi, że czuł, jak coś porusza się pod ziemią. Oznajmiłam mu, że nie musi sypiać ze mną pod gołym niebem, ale wzruszył ramionami i stwierdził, że dodatkowe atrakcje mu nie przeszkadzają.

Teraz nie zagrażam już otoczeniu, ale duszę się w domu. Wolę stodołę – jest duża, przewiewna, wygodna. Żywioty czują się tu lepiej, a ja i Ash mamy wreszcie trochę prywatności.

Patrząc na poprzeczne sufitowe belki i nie mogę przestać myśleć, że mój plan nie zadziała.

Musi istnieć jakiś sposób, by połączyć Sienną z żywiołami bez złamania jej. Niepokój udziela się całemu mojemu ciału, wiercę się i przekręcam z boku na bok.

– Wszystko w porządku? – mamrocze sennie Ash. Przewracam się na plecy, a wtedy obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do piersi.

– Chodzi o Sienną. Boję się, że nie mamy dość czasu. Co zrobimy, jeśli metody Sil nie zadziałają? Co, jeśli ona nas znienawidzi? Potrzebujemy jej pomocy, tak samo jak potrzebujemy jeszcze dwóch dziewczyn, jednej z Bramy Wschodniej, a drugiej z Zachodniej. A przecież one też przybędą nieświadome i trzeba je będzie uczyć. – Strącam z koca jakieś źdźbło siana. – Nie wiem nawet, jak dostać się do Magazynów.

– Violet, kilka tygodni temu siedziałem w lochu i czekałem na egzekucję, a ty miałaś umrzeć przy porodzie, prawda? Wydaje mi się, że, jeśli wziąć pod uwagę tamtą sytuację, to całkiem nieźle nam idzie.

– Ależ z ciebie optymista...

Oddech Asha łaskocze mnie w ucho.

– Próbuję.

W jego głosie pobrzmiwa dobrze mi już znana frustracja.

– Przykro mi – mówię cicho. – Wiem, że chcesz pomóc.

Obejmuje mnie mocniej.

– Tak, chcę. – Kładzie mi policzek na ramieniu. – Posłuchaj, Violet... To nie tak, że mam ci coś za złe albo ci zazdroszczę, ja tylko... Wszyscy wokół mają jakieś nadprzyrodzone moce. A jeśli nawet nie nadprzyrodzone, to... sama wiesz. I wszyscy robią niezwykle rzeczy. Wszyscy prócz mnie. – Przerzywa na chwilę, a gdy znów się odzywa, w jego głosie pobrzmiwa zakłopotanie. – Nie chcę, żeby to dziwnie zabrzmiało, ale przez całe życie w ten czy inny sposób służyłem kobietom. Chciałbym zrobić coś dla siebie. Chciałbym zdecydować o własnym losie.

Przypatruję mu się. Ma rację. Przecież nigdy nie chodziło o to, by trafił z jednego więzienia do drugiego.

– Wiem o różnych rzeczach – ciągnie. – Mnóstwo czasu spędziłem z arystokratami. Wiem, jak myślą, wiem, co ukrywają, wiem, do których miejsc najłatwiej będzie przeniknąć... Wiem również, kto kogo nie cierpi i którzy towarzysze chętnie przysłużą się naszej sprawie.

– Powinieneś porozmawiać z Lucieniem – sugeruję.

Ash parska drwiąco.

– Lucien nigdy nie przyjmie ode mnie pomocy. Ba! Nawet nie dopuści do siebie myśli, że mógłby jej potrzebować.

– Ale jeśli posiadasz informacje cenne dla sprzysiężenia, będzie musiał cię wysłuchać – naciskam.

– Jak na razie udało mi się tylko zostać najbardziej poszukiwanym przestępcą w Samotnym Mieście. Niezbyt to pomocne, nieprawdaż?

– Nie mamy bladego pojęcia, co któregoś dnia może okazać się pomocne, a co nie – mówię. – Popatrz tylko na Raven. Hrabina pocięła jej mózg i niechcący obdarowała ją dodatkowym zmysłem, dzięki któremu udało nam się wyjść z kanałów. Ocaliła cię na targu. Pomogła mi... – Siadam tak gwałtownie, aż wiruje mi w głowie. – Pomogła mi zrozumieć żywioły! – wyrzucam na bezdechu.

– Violet? – pyta z niepokojem Ash. Gapię się przed siebie, znieruchomiła, z dłonią przyciśniętą do ust.

A jeśli udałoby mi się wrócić w tamto miejsce? Tam, gdzie ją ocaliłam? Nie wiem, gdzie to dokładnie było... Nie wiem nawet, czym było, ale było stare, pełne magii i sprawiło, że w jednej chwili potrafiłam się zjednoczyć z żywiołami. Czy to właśnie tam żyły niegdyś Paladynki? Czyżby kamienna statua została stworzona przez nie?

Gdybym mogła zabrać tam Siennę, nie musiałaby spędzać nocy przywiązana do drzewa. Zrozumiałaby w mgnieniu oka. Jestem tego pewna.

– Muszę porozmawiać z Raven – mówię i zrzucam z siebie okrycie. Byłyśmy tam razem. Może zatem wspólnie uda nam się tam wrócić.

Schodzę po drabinie i wymykam się ze stodoły w noc.

Kiedy zbliżam się do Białej Róży, dostrzegam, że na tylnym ganku ktoś siedzi.

– Nie śpisz – stwierdza Raven, gdy do niej podchodzę. Unosi połę kołdry, którą jest owinięta, by zrobić mi miejsce. Siadam blisko niej i szczelnie opatulam się okryciem.

– Ty też nie śpisz – zauważam.

– Hrabina uwielbiała trzymać mnie w ciemnościach. Czasem boję się zamknąć oczy. Czasem dręcą mnie koszmary. – Drży, więc ją przytulam. – Ach... A więc Sienna. Jest... interesująca.

– Miała świetne wyniki – przypominam. – I wydawała mi się nieustraszona, jak wojowniczką. Myślałam, że tego właśnie potrzebujemy. Może... Może tak naprawdę wcale jej nie znam.

– W końcu do nas dołączy – oznajmia sucho Raven.

– Mam nadzieję.

– Kiedy zrozumie, kim jest, nie będzie miała wyboru.

Raven jest zafascynowana historią Paladynek. Niemal codziennie przegląda zebrane przez Sil dokumenty.

– Ale ty wciąż nie łączysz się z żywiołami – zwracam jej uwagę.

Kąciki ust Raven unoszą się nieznacznie.

– Nie wiem, czy w ogóle mogę. Jestem zbyt przerażona, żeby próbować. Mój umysł jest... kruchy. Wciąż nie jestem tą samą osobą, którą byłam kiedyś. A co, jeśli okaże się, że nie jestem w stanie kontrolować tej mocy? Jeśli kogoś skrzywdzę? Jeśli żywioł pochłonie mnie bez reszty, przejmie nade mną kontrolę i jeszcze bardziej mnie zmieni? To zbyt ryzykowne. – Przymyka oczy. – Czasem jednak... Czasem tam wracam. Tam, gdzie mnie znalazłaś.

Nadstawiam uszu.

– Naprawdę?

– To miejsce ma... jakby puls, tętno. Przyzywa mnie. – Raven otwiera oczy. – To chyba one, wiesz? Paladynki. Albo ich echo. Czasem słyszę tam szepty, ale nigdy nie udało mi się zrozumieć, co do mnie mówią. Wydaje mi się, że mi współczują, że wiedzą, że zostałam skrzywdzona. – Pociera czoło. –

Kocham patrzeć na ocean. Pamiętasz te czerwone znaki X na mapie Sil? Myślę, że tam właśnie żyły Paladynki. Myślę, że to one zbudowały tę statwę.

– Mnie również tak się wydaje. Raven, sądzisz, że... Byłabyś w stanie mnie tam zabrać? – pytam.

Raven uśmiecha się i wyciąga do mnie dłoń. Chcę ją ująć, ale się powstrzymuję.

– A dałabyś radę zabrać też Siennę?

Przez twarz Raven przemyka cień.

– Pewnie tak – mruczy. – Mogę spróbować.

Nasze oddechy zamieniają się w kłęby pary w mroźnym powietrzu. Mijamy sadzawkę i idziemy w kierunku linii drzew. Sienna siedzi skulona pod wielkim starym świerkiem. Cieszę się, że pomyślałam wtedy o kocu.

– Kto to? – woła.

– To ja, Violet – odpowiadam. Przeciera oczy i unosi wzrok.

– Masz zamiar wreszcie mnie uwolnić? – pyta. – Jest koszmarnie zimno.

– Mam zamiar czegoś spróbować – mówię i siadam obok niej. Raven idzie za moim przykładem.

– Ta stara wiedźma jest stuknięta – burczy Sienna.

– To nie stara wiedźma cię tu uwięziła, tylko ja – oznajmiam i wyciągam do niej dłoń.

– Naprawdę spodziewasz się, że z własnej woli wezmę cię za rękę?

– Aż tak bardzo podoba ci się pod tym drzewem, że jesteś gotowa tkwić tu nawet i kilka miesięcy? –

Unoszę brew. – Myślę, że Raven może ci coś pokazać, ale do tego musimy być połączone. – Spoglądam na Raven. – Tak?

Raven wzdycha ciężko i wyciąga do nas dłoń. Jej skóra jest ciepła a skóra Sienny lodowata.

Zamykam oczy. Przez kilka długich sekund nic się nie dzieje, a potem uścisk Raven staje się silniejszy i nieoczekiwanie moje ciało wywija kozła. Spadam. Serce podjeżdża mi do gardła i nagle tam jestem. Na klifie. Ryk rozbijającego się o skały oceanu brzmi jak powitanie.

Miejsce wygląda inaczej niż wtedy, gdy je po raz pierwszy ujrzałam. Drzewa są nagie, a ich gałęzie czarnieją na tle białego nieba. Pada gęsty śnieg. Wielkie płatki okrywają ziemię miękkim pledem i skrzą się delikatnie na spiralnym monumencie z błękitno-szarego kamienia. Spienione fale mają barwę ołowiu.

Raven stoi obok mnie i jest tą dziewczyną, którą znałam kiedyś. Teraz, gdy wydobrzała już po przejściach w Pałacu Kamienia, różnice są subtelne. Ma nieco więcej ciała. I krótką fryzurę, taką, jaką nosiła w Magazynie. Najwięcej widać w jej oczach – to oczy tej dawnej Raven, ciemne, głębokie i błyszczące ironicznym rozbawieniem.

Sienna jest po drugiej stronie statuy. Ona również wygląda inaczej. Jej włosy, uwolnione z warkoczyków, gęstymi lokami spływają aż do pasa. Twarz ma zaokrągloną i zdrową, a w oczach ciepło, którego wcześniej nie widziałam. Ciekawe, czy to miejsce pokazuje nam, kim byliśmy, zanim zdiagnozowano nas jako surogatki. Zanim Augurie na zawsze nas spaczyły.

Sienna patrzy na ocean, wyraźnie urzeczona. Nagle wystawia język i chwytą nań płatek śniegu. Śmieje się cicho, gdy migotliwe drobiny wirują i tańczą wokół niej. Po chwili rusza wokół monumentu śmiesznymi, wielkimi krokami, jakby chciała zobaczyć, jak głębokie mogą być jej ślady. Chichocze, niczym rozbawione dziecko. Pod tą twardą skorupą wciąż mieszka mała dziewczynka, która chętnie ulepiłaby bałwana. Sienna zawsze lubiła śnieg.

Pora iść – myśli Raven. Słyszę ją tak, jakby wypowiedziała te słowa na głos.

Wiatr wzmaga się i mam wrażenie, jakbym została wessana przez niebo i leciała, wciąż leciała w górę, aż zawroty głowy stają się prawie nie do zniesienia... I oto znów jestem w prawdziwym świecie.

Sienna siedzi na ziemi pochylona do przodu. Jej plecy drżą. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę

z tego, że płacze.

Korzenie wypuszczają ją z uścisku, ale ona nie rusza się z miejsca.

Unosi twarz. W jej oczach kipi ocean emocji.

– Co to było za miejsce?

– Dom – odpowiada Raven.

– Czułam... – Sienna chwyta się za pierś. – Czułam... wszystko.

Rozgląda się wokół siebie, jakby widziała otaczający ją las po raz pierwszy, a po jej policzkach spływają łzy.

– Spójrz na ziemię – mówię z uśmiechem.

U jej stóp rozkwitają setki małych, jaskrawopomarańczowych kwiatów, by po chwili zwiędnąć i zniknąć. Zaczyna padać drobny śnieg.

Wciąż trzymam Siennę za rękę. Teraz jej dłoń jest równie ciepła jak dłoń Raven. Ściskam ją pokrępiąco. Wyczuwam wewnętrzną walkę Sienny, jej rozpaczliwe starania, by zrozumieć, skąd pochodzą te wszystkie emocje. Kolejne kwiaty zakwitają i umierają u jej stóp.

– Co to jest? – pyta, łapczywie chwytając oddech.

– To życie – szepczę.

Siedzimy w milczeniu w ciasnym kręgu, a z nieba powoli sypie śnieg.

Sienna jest w stanie łączyć się tylko z Ogniem i Ziemią.

Następnego wieczoru siedzimy na zewnątrz, przy wielkim ogniu gorejącym w obłożonym ciężkimi szarymi kamieniami palenisku. Sienna uwielbia wzniecać płomień w taki sposób, by buchały coraz wyżej i wyżej. Sil nie pozwala jej robić tego w domu.

– Ogień jest najbardziej nieprzewidywalny – powiedziała. – A poza tym nie lubię wyrazu twarzy Sienny, kiedy się z nim łączy – wyjaśniła mi na stronie.

Patrzę na Siennę pochylającą się ku płomieniom. Siedzi bliżej, niż uważam to za bezpieczne, jej twarz wyraża spokój, lecz oczy błyszczą. W szkicowniku próbuję nakreślić plan Bramy Południowej. Staram się przypomnieć sobie każdy mur, każde drzwi, wszystkie potencjalne wejścia. Lobby z tyłu, przy kuchni? Okno salonu muzycznego?

Płomień skwierczą i na kamienie sypią się rozżarzone węgle.

– Sienna – rzucam ostro.

Mruga, a ogień przygasa.

– To jest zabawne – mówi.

– To jest niebezpieczne – zwracam jej uwagę. – Nie zapominaj o tym.

– Czuję się tak, jakbym mogła spalić ich pałace do gołej ziemi. – Twarz Sienny przybiera wygłodniały wyraz. – Sądzę, że potrafiłabym...

Przerywa jej dochodzący z domu krzyk.

– Zostań – rzucam i spieszę do tylnych drzwi.

Sil i Ash stoją naprzeciw siebie w salonie.

– Nie możesz mnie zatrzymać – oznajmia Ash.

– To nie twoja sprawa! – krzyczy Sil. – To głupie i niebezpieczne, a do tego może wszystko zniszczyć.

– O co chodzi? – pytam.

– Słyszałem jej rozmowę z Lucieniem – odpowiada Ash. – Tej nocy jest spotkanie sprzysiężenia. Mam zamiar iść. – Zwraca się ku mnie. – Chcę pomóc.

– Spotkanie? – spoglądam w stronę Sil. – Gdzie?

– O nie, ty też? – irytuje się Sil. – Nigdzie nie idziesz.

– Przecież już wcześniej wychodziłam.

– Ale to było co innego.

– Mam już dość siedzenia, podczas gdy inni coś robią – wyjaśnia Ash. – Chcę się do czegoś przydać. Pozwól mi przynajmniej spróbować.

– A co takiego chciałbyś robić dla sprzysiężenia? – pyta Sil. – Zabawiać członkinie?

Na twarzy Asha wykwita ciemny rumieniec.

– Jeżeli sądzisz, że to się przyda... – odpowiada.

– Ash! – wtrącam ostro.

– Nie mogę tak tu siedzieć, Violet – mówi. – Wszyscy zapominają o towarzyszach. Nie mamy żadnych specjalnych mocy ani szczególnych umiejętności. Wciąż jednak jesteśmy ludźmi, mamy więc prawo walczyć o naszą wolność, tak jak surogatki, dwórki, farmerzy czy robotnicy.

Myślę o tym, jak ciężko było mu zachować cierpliwość, z jakim spokojem przyjął to, co się działo wokół niego – nową surogatkę, żywioly, prawdziwe dzieje wyspy. Dla niego samego nie pozostawało

zbyt wiele przestrzeni.

Zasługuje na zaufanie.

– Masz rację – oznajmiam. – Powinieneś iść. Ja również pójdę.

– Żadne z was nie idzie i koniec – sprzeciwia się Sil.

Splatam ramiona na piersi i obrzucam ją stanowczym spojrzeniem.

– Trzymanie nas w ukryciu nie zapewni nam bezpieczeństwa. Mamy prawo wziąć w tym udział. –

Waham się przez chwilę, a potem dodaję: – Nie popełniaj tego samego błędu, który zrobiłaś z Azaleą.

Od drobnej sylwetki Sil bije podmuch wiatru tak silny, że mam wrażenie jakbym zderzyła się ze ścianą. Cofam się o krok, gwałtownie łapiąc powietrze. Ash chwyta mnie za ramię, nie pozwalając mi upaść.

– Violet! – wykrzykuje.

– Wszystko w porządku – wyduszam z siebie, patrząc jak Sil odwraca się na pięcie i kieruje się do frontowych drzwi. Wiatr zatraskuje je za nią. Prostuję plecy. – Idziemy na to spotkanie.

Noc jest wyjątkowo zimna. Ash i ja zakładamy na siebie najcieplejsze ubrania.

Sil pozwoliła Siennie wejść do środka. Dziewczyna siedzi na sofie, podczas gdy Raven okupuje bujany fotel przy kominku. Sienna podjudza płomienie, by tańczyły coraz wyżej, na twarzy Raven stopniowo narasta irytacja.

– Uważaj – ostrzegam. – Sil cię zabije, jeżeli spalisz dom.

Ogień nieco przygasa.

– Lepiej wszystko nam potem opowiedz – mruczy Sienna.

– Oczywiście.

Raven wyciąga do mnie rękę. Ściskam ją mocno.

– Uważajcie na siebie – szepce.

Kiwam głową.

Gdy wychodzimy z domu, Sil wdrapuje się na miejsce woźnicy.

– Chodźcie – rzuca niechętnie. – Przed nami długa droga. Nie chcę się spóźnić. Wskakuję na wóz, Ash podąża w moje ślady.

Sil potrząsa wodzami i wóz powoli rusza naprzód.

– Gdzie jest spotkanie? – pyta Ash.

Sil waha się, wciąż wyraźnie zirytowana, że postawiliśmy na swoim.

– W miasteczku Fairview. Jakąś godzinę drogi stąd – oznajmia wreszcie.

Wtulam się w bok Asha, chcąc zyskać jeszcze odrobinę ciepła. Ponad nami splatają się konary przydrożnych drzew, przez które przebija migotliwe światło gwiazd. Mam ochotę połączyć się z Ziemią i całą sobą poczuć, jak gałęzie sięgają ku niebu.

Kiedy wyjeżdżamy z lasu, Ash prostuje ramiona. Przed nami rozciągają się pola pszenicy, zeschnię, martwe łodygi sterczą z rżyska, czekając na wiosnę.

– A więc to jest właśnie Farma – stwierdza zaskoczony Ash. – Jest... ogromna.

Zapomniałam, że Ash nigdy wcześniej nie widział Farmy, a tylko ciemny las, którym nocą podróżowaliśmy do Białej Róży.

– Rye pochodzi z Farmy – ciągnie z namysłem. – Ale nie z tych stron.

Odkąd dołączyła do nas Sienna, nie poświęcałam Rye'owi zbyt wiele czasu. Ale to zrozumiałe, że Ash martwi się o przyjaciela.

– Jestem pewna, że dobrze się bawi z Carnelian – rzucam ironicznie. – Garnet coś o tym wspominał.

– Carnelian jest bardzo samotna – odpowiada Ash. – Potrzebuje kogoś, kto będzie o nią dbał i okazywał jej sympatię. Pamiętaj, że jej własna matka woląла umrzeć niż z nią zostać. Tego rodzaju rany

łatwo się nie goją.

Nienawidzę, kiedy mówi o niej tym tonem. Nie chcę jej współczuć.

– Doniosła na ciebie – przypominam.

– Tak właściwie to na ciebie – stwierdza.

– I to ją usprawiedliwia?

– Oczywiście, że nie, ale nie patrzysz na nią tak jak ja. Darzysz ją zbyt wielką niechęcią.

– Bo jest okropna.

– Co nie zmienia tego, że ona również wiele wycierpiała z rąk arystokracji – mówi Ash. – Widziałas, jak traktowała ją Diusza. Drwiono z niej, nikt nie chciał jej poślubić. Nieczysta krew, tak o niej mówiły inne arystokratki. Śmieć z Banku. Nie sądzisz, że ona również jest ofiarą?

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dokuczano Carnelian, choć w sumie nie jestem tym specjalnie zaskoczona.

– Nie możemy sobie wybrać, kogo uwolnimy, Violet. Wszyscy albo nikt. Sądzisz, że Lucien z własnej woli pomógłby towarzyszowi?

– No dobrze, rozumiem – zgadzam się. – Ale nie prosz mnie, żebym ją polubiła.

Ash uśmiecha się i całuje mnie w czoło.

– Sądzisz, że nam się uda? – pytam.

– Obalić arystokrację?

Kiwam głową.

– Mam nadzieję. Ne pewno warto spróbować, prawda? – Spogląda przed siebie, na pola oblane księżycową poświatą. – Tak czy owak, skończymy martwi – podsumowuje. – Pytanie, w jaki sposób umrzemy.

– To czarnowidztwo – odpowiadam.

Wzrusza ramionami.

– Staram się być szczerzy. Wolę zginąć, walcząc z arystokracją, niż wrócić do nich na służbę.

– Dobrze powiedziane – rzuca Sil z kozła. Wymieniamy z Ashem uśmiechy.

Stopniowo okolica zaczyna się zmieniać. Prosta dotąd linię horyzontu zastępują urwiste szczyty wzgórz wyższych niż te otaczające Stację Bartlett. Mijamy kilka miasteczek oraz ogrodzone pastwiska, na których pasą się owce. Wreszcie skręcamy na wąską ścieżkę wiodącą ku niewielkiemu zagajnikowi.

– Stąd już pójdziemy – mówi Sil, kiedy Ash zeskakuje z wozu, by spętać Kalarepkę.

Miasteczko Fairview jest znacznie większe, niż to okalające Stację Bartlett. Im dalej idziemy, tym budynki stają się większe. Na obrzeżach stoją jednopiętrowe domy kryte strzechą. Bliżej centrum budynki stają się podobne do siebie, z drewnianymi gontami tworzącymi spiczaste dachy. Stoją blisko siebie wzdłuż bitej drogi, nie łączą się jednak jak domy szeregowy w Dymie. Niektóre mają drewniane płoty, inne ganki, na których stoją bujane fotele. Tu i ówdzie na schodach wylegają się koty. Jest noc i na ulicy panuje cisza. Mijamy zakład fryzjerski, piekarnię i sklep z używanymi ubraniami. Nie ma tu lamp gazowych jak w Banku, nic więc nie rozjaśnia ciemności. Sil przystaje przed niszczącą witryną. Przeszklone drzwi zasłania zakurzona fioletowa kurtyna. Sil puka raz, czeka chwilę, puka trzy razy i po krótkiej przerwie jeszcze raz.

Zasłona uchyla się i ktoś otwiera drzwi.

Lufa pistoletu celuje wprost w twarz Sil. Cofam się odruchowo. Sil nie wydaje się poruszona.

– Odłóż to, Świstak, zanim kogoś zranisz – prycha.

– Kim oni są? – pyta mężczyzna w drzwiach. Kryje się w cieniu, nie pozwalając mi dostrzec swej twarzy.

– Przyjaciółmi – odpowiada Sil. – Sądzisz, że sprowadzam tu przypadkowo zagadniętych

nieznajomych? Dla twojej wiedzy, nie chciałam ich tutaj sprowadzać, ale oboje są uparci jak... – Zawiesza głos i odchrząkuje. – Czarny Klucz ich zna – kończy.

– Zostali naznaczeni?

Sil uśmiecha krzywo.

– Jeszcze nie. Ale ona jest ze mną. – Wskazuje mnie ruchem głowy. – On zaś...

Mężczyzna wychodzi z cienia.

– Ty jesteś Ash Lockwood – oznajmia.

Nieznajomy jest wielki i muskularny, jego ciało od czubka ogolonej głowy aż po przeguby dłoni pokrywają tatuaże. Górną wargę ocienia mu gęsty wąs. Ma na sobie czarny sweter i spodnie. Przyglądając się Ashowi, opuszcza pistolet.

– Tak, to ja – kwituje Ash. Spoglądam na Sil. Czy ten człowiek zamierza donieść na Asha? Taki był jej plan?

– Uciekłeś arystokratom – mówi nieznajomy. W jego tonie daje się wyczuć graniczący z czcią szacunek. – Spod samego nosa Diuszesy z Jeziora. Jak... – Potrząsa głową i wyciąga rękę. – Miło cię tu widzieć.

Ash wygląda na niemal tak zaskoczonego jak ja. Chyba spodziewałam się, że każdy mieszkaniec miasta będzie chciał ujrzeć jego głowę na palu, tymczasem ten mężczyzna spogląda nań z szacunkiem.

Ash potrząsa jego dłonią.

– Wołają mnie Świstak – przedstawia się nieznajomy.

Ash odpowiada krzywym uśmiechem.

– Dla mnie już chyba za późno na pseudonim – stwierdza.

– Wpuścisz nas wreszcie, czy mamy zaczekać tutaj na patrol Gwardzistów? – pyta zgryźliwie Sil.

Świstak cofa się do pomieszczenia.

– No jasne, wchodźcie. Czekamy na jeszcze jedną osobę.

W środku pali się tylko jedna olejna lampka. Na ścianach rozmaite szkice. Oddana z najdrobniejszymi szczegółami, wzbijająca się do lotu jaskółka. Namalowane grubymi pociągnięciami pędzla, bajecznie kolorowe pawie pióro. Splecione ze sobą księżyc i słońce. Ozdobna klatka dla ptaków. Rumienię się, widząc obrazek przedstawiający nagą kobietę.

W pobliżu drzwi wejściowych jest niewielkie biurko, zaś w tyle pomieszczenia stoi fotel budzący nieprzyjemne skojarzenia z kozetką w Pałacu Jeziora.

– Czarny Klucz nie mówił ci, o co chodzi, prawda? – pyta Sil.

– Ani pół słowa – odpowiada Świstak. – Kazał tylko zwołać nadzwyczajne zebranie, tam gdzie zawsze. – Szerokim ruchem dłoni wskazuje pomieszczenie. – Pierwszy przyleciał Drukarz i oznajmił, że ma ważne informacje, ale nie powie niczego, zanim się nie pojawisz. Idź na dół. Muszę poczekać na nowego. Spóźnia się. Niezbyt dobry początek.

– Chodźmy – mówi Sil do mnie i Asha. Obydwoje wciąż stoimy w wejściu. – W końcu po to tu jesteście, prawda?

Idziemy za nią na tyły pomieszczenia. Zza pomalowanych na zielono drzwi dobiega nas szmer rozmów.

– Kim on jest? – pytam, rzucając spojrzenie w stronę Świstaka, tkwiącego przy drzwiach z pistoletem w dłoni.

– Miejscowy tatuator – wyjaśnia Sil. – Zadawał się z półświatkiem. Czarny Klucz pomógł mu, kiedy wpadł w tarapaty. Zna każdego przestępcę w południowej części Farmy. Czarny Klucz słusznie postąpił, przyjmując go do sprzysiężenia. Tacy jak oni, ludzie z marginesu, mogą być nadzwyczaj pomocni. No i uwielbiają buntować się przeciwko władzy. – Patrzy na Asha. – Miejmy nadzieję, że i pozostali przyjmą cię tak, jak on.

A potem otwiera drzwi.

Spoglądam w dół, na długie drewniane schody prowadzące do piwnicy.

Hałas stał się głośniejszy, a z podziemnego pomieszczenia emanuje ciepłe żółte światło. Sil daje nam znak, byśmy schodzili. Kiedy tylko stajemy na dole, zapada cisza.

Stoimy w magazynie pod salonem tatuazu. Ściany wykonane są z tłuczonego szarego kamienia, a w rogu pomieszczenia piętrzy się stos skrzynek, płócien i płacht papieru. Pośrodku stoi pięć krzeseł ustawionych w okrąg, a wokół nich tłoczą się ludzie. Dwa krzesła są puste.

Zebrał się tu spory tłum, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni. Dostrzegam chłopaka ze strzechą jasnych włosów i twarzą chochlika, może mieć około czternastu – piętnastu lat. Na jednym z krzeseł siedzi staruszka robiąca na drutach coś, co wygląda na dziecięcą skarpetkę. Jest tu również cała grupa indywiduów, które Sil określiłaby mianem „marginesu społecznego”. Ludzie ci mają wymizerowane twarze, bystre oczy i niespokojne palce. Wielu z nich jest mocno wytatuowanych.

Łysy mężczyzna o ciemnej cerze i jeszcze ciemniejszych oczach na nasz widok podnosi się z krzesła. Spogląda na Sil.

– Róża! – oznajmia, a potem zwraca się do tłumu. – Róża przyszła!

Uśmiecham się, słysząc jej pseudonim.

Wyczuwalne w pomieszczeniu napięcie wyraźnie opada, zebrani wracają do przerwanych konwersacji. Ludzie podchodzą do Sil, by się przywitać. Odpowiada im skinieniem głowy bądź niechętnym uściskiem dłoni.

– A kim są twoi goście? – zagaduje łysy.

Przez tłum przepycha się jasnowłosy chłopak.

– To... to Ash Lockwood!

– Och, nie bądź głupi – strofuje go rówieśniczka, blondynka z dwoma kucykami. Wyglądają na rodzeństwo – Ash Lockwood ukrywa się albo nie żyje.

– Ash Lockwood walczył z setką Gwardzistów, by wydostać się z Klejnotu – naciska chłopak. – Może być gdziekolwiek. Na przykład tu.

– Gdyby Ash Lockwood serio nawiał od szlachty – odgryza się dziewczyna – trzymałby się od nas z daleka.

– To jakaś paranoja – szepce Ash wprost do mojego ucha. Potakuję.

Dwudziestokilkuletnia dziewczyna uciska pokrzykującą dwójkę. Ma włosy w odcieniu miedzi i wiotką sylwetkę. Przypomina mi Annabelle. Ściska mnie w gardle.

– Nie ma co powtarzać plotek i kłamstw – stwierdza. – Lepiej go zapytać, kim jest.

Kolejni ludzie cichną, by móc słyszeć dalszy ciąg tej rozmowy. Czternastolatek spogląda na Asha poprzez grzywę gęstych blond włosów.

– No więc? – pyta – Jesteś Ashem Lockwoodem, czy nie?

– To nieuprzejme – zwraca mu uwagę dziewczyna o wyglądzie Annabelle. – Poza tym wiecie, jakie są reguły dotyczące imion.

Chłopiec krzywi się, niezadowolony, a jego siostra owija sobie jeden z kucyków wokół palca.

– Drogi panie – zagaduje, trzepocąc rzęsami – czy to pan jest fałszywie oskarżonym towarzyszem, który uciekł z Klejnotu?

Fałszywie oskarżony? Ulga, którą czuję, jest tak wielka, że niemal osuwam się na podłogę. Oni

wiedzą. Wiedzą, że Ash jest niewinny. Tylko... jakim cudem? Wszystkie gazety rozpisywały się o gwałcie.

– Tak, to ja – oświadcza Ash. – Choć nie mogę powiedzieć, bym walczył z setką Gwardzistów. – Podaje jej rękę. – Jestem Ash Lockwood..

Dziewczyna czerwienieje i ściska wyciągniętą dłoń. Na twarzy jej starszej koleżanki również pojawia się rumieniec.

– A nie mówiłem? – podsumowuje chłopiec.

– Nie wolno nam używać imion – oznajmia dziewczyna, kompletnie ignorując ostatnią uwagę.

Ash potakuje.

– Rozumiem. Musimy chronić Sprzysiężenie Czarnego Klucza.

Oczy jego rozmówczynie rozszerzają się.

– Znasz Czarnego Klucza?

Do tej pory wokół Asha zdążyła się już zebrać całkiem spora grupka słuchaczy. Jedna z kobiet, dziarska czterdziestolatka, przepycha się przed innymi.

– Znasz może młodzieńca imieniem Birch? – pyta, chwytając jego dłoń obydwoma rękoma. – Zabrali go, zrobili z niego towarzysza i wysłali gdzieś, nie wiem dokąd. To przystojny chłopiec, wysoki, zielonooki blondyn... – Do oczu napływają jej łzy. – Znasz go? – powtarza.

– Mojego syna też wzięli – wtrąca mężczyzna w kraciastych spodniach. – Wcielili go do Gwardii, służy w Domu Światła. Byłeś tam może?

Drobna kobieta o rozwichrzonych brązowych włosach występuje naprzód.

– Zabrali mi córkę – mówi. – Tak po prostu zabrali ją z ulicy. W biały dzień! Gdzie ona może być? Miała tylko czternaście lat. – Pociąga nosem. – Dlaczego zabrali moją Callę?

Ash wygląda na zdruzgotanego. Napotykam spojrzenie Sil. To niesprawiedliwe, nie wolno im zrzucać na barki Asha wszystkich występków szlachty, nie mogą oczekiwać, że zna historię każdego porwanego dziecka.

– Wystarczy – oznajmia Sil. – Zostawcie chłopaka w spokoju. W tej chwili mamy pilniejsze sprawy do omówienia. – Zajmuje jedno z pustych krzeseł. Tłum cofa się i na powrót tworzy krąg. Jasnowłosego chłopak nie odstępował Asha i spogląda na niego raz po raz.

– Zaczniemy bez Świstaka – mówi Sil – później mu wszystko streścimy. – Spogląda na kobietę niestrudzenie dzierżącą skarpetkę. – Jak wygląda nasze zaopatrzenie?

– Sto dwadzieścia pistoletów, osiemdziesiąt trzy rusznice – odpowiada staruszka. – Ponadto całe mnóstwo improwizowanych mieczy.

– Za mało – podsumowuje Sil. – Wciąż za mało.

– Co się dzieje? – pyta mężczyzna w zielonej kurtce. – Przecież plan był taki, żeby zgrać ataki z Aukcją, mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Nie mamy. – Łysy mężczyzna dźwiga się z krzesła. – Dlatego zwołaliśmy to spotkanie. Po południu przyszła dostawa jutrzejszej prasy. – Gazeta leży złożona na jego krześle. Mężczyzna podnosi ją i rozkłada tak, by wszyscy mogli zobaczyć.

Nagłówek krzyczy wielkimi literami: **NOWY TERMIN AUKCJI!** Pod spodem, nieco mniejszymi znakami napisano: **HIERARCHIA PRZESUWA AUKCJĘ NA KWIECIEŃ.**

Ze świstem wciągam powietrze. To za niewiele ponad trzy miesiące!

– Jak to możliwe? – szepcze do Asha.

– Robią, co tylko zechcą – odpowiada.

– Sądzisz, że...

– To może być zbieg okoliczności – oznajmia łysy – chyba że zaczęli coś podejrzywać. Ostatnio było

parę awantur oraz aktów wandalizmu i nie o wszystkich Czarny Klucz wiedział. – Spogląda znacząco w stronę wytatuowanego chudzielca.

– To jak mamy przygotować się na czas? – rzuca burkliwy mężczyzna o krzaczastych brwiach i mocno naciągniętej na czoło szarej czapce. – Nie wiemy, ilu nas jest, nie wiemy, kto potrafi posługiwać się bronią palną... Posługiwać się! Nawet nie mamy wystarczającej ilości broni palnej. Jak w tej sytuacji mamy walczyć z Gwardią?

– Surogatki – odpowiada Sil. – Przecież o tym wiesz. One nam pomogą.

– Nie wiem, jak grupka małych dziewczynek może nam pomóc zwyciężyć regularną armię – odgryza się mężczyzna z nieskrywaną drwiną w głosie.

Najeżam się. Sil również.

– Oczywiście, że nie wiesz – odparowuje. – To wymagałoby posiadania mózgu. Może i dobrze strzelasz, ale lepiej nie zajmuj się planowaniem i strategią, bo to ci nie wychodzi. – Miło jest patrzeć jak Sil wyżywa się na kimś innym. Rozgląda się po pomieszczeniu. Niektórzy z obecnych wydają się równie sceptyczni, co burkliwy mężczyzna, inni sprawiają wrażenie zaciekawionych. Jest również grupka zrezygnowanych, którzy wyglądają, jakby mieli wyżej uszu słuchania o planach tak tajemniczych, że nikt nie zna ich szczegółów. Och, jak dobrze to znam!

– Zgromadziliśmy się tutaj nie bez przyczyny – oświadcza Sil. – Każdy w tym pomieszczeniu na własnej skórze doświadczył, do czego zdolna jest arystokracja. Jeżeli chcemy ich powstrzymać, sami musimy wziąć się do roboty. Musimy zaufać Czarnemu Kluczowi, ale, co ważniejsze, musimy zaufać sami sobie.

– Sprawia wrażenie, jakby jej naprawdę zależało – mruczę do Asha.

– Sądzę, że zależy jej bardziej niż daje po sobie poznać – odpowiada.

– Jak sądzisz, skąd wiedzieli? – pytam. – To znaczy o tym, że fałszywie cię oskarżono.

Zza Asha wychyla się jasnowłosa chochlik.

– Czarny Klucz przesłał ostrzeżenie, żeby pod żadnym pozorem was nie wydawać, gdyby ktokolwiek was zauważył – wyjaśnia radośnie. – Powiedział nam, że jesteście po naszej stronie.

– No i widzisz – mówię do Asha, obejmując go mocno. – Wygląda na to, że nie nienawidzi cię aż tak bardzo.

– Chroni bardziej ciebie niż mnie.

– Zawsze to jakiś początek.

– A ty, kim właściwie jesteś? – zwraca się do mnie chłopak.

– Jestem Violet – odpowiadam.

Wytrzeszcza oczy.

– Nie powinniśmy używać prawdziwych imion.

– Cóż, nie zamierzam wymyślać niczego innego – kwituję. – Nigdy więcej. Czarny Klucz będzie musiał jakoś to przeżyć.

Ash z trudem tłumi uśmiech.

– Spróbujemy poradzić sobie z tym, co mamy w tej chwili – stwierdza łysy mężczyzna. – Ale już teraz musimy zacząć szkolić ludzi.

– Niedaleko stąd, około godzinę drogi, jest odpowiednie miejsce – mówi Sil. – To polana w środku lasu, cicha, z dala od drogi. Możecie zacząć ćwiczyć tam.

Brzmi zupełnie, jakby mówiła o naszym lesie, nie sądzę jednak, by chodziło jej o polanę z Białą Różą, najpewniej niedaleko jest podobna. Knieja jest wielka, a drzewa gęste, powinny zapewnić znakomitą osłonę.

– To za daleko – protestuje burkliwy mężczyzna.

– Trudno – krótko ucina Sil.

– Będziecie mnie potrzebować – naciska. – Kto jeszcze ma doświadczenie bojowe?

– Parę utarczek z Gwardią nie czyni z ciebie specjalisty – prycha Sil.

– Może, ale i tak nie macie nikogo innego.

– Ależ owszem – wtrąca się Ash – mają. – Przez chwilę zdaje się być zaskoczony, kiedy spojrzenia zebranych koncentrują się na nim, jakby nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to głośno.

Krzaczaste brwi mężczyzny unoszą się i niemal znikają w szpakowatych włosach.

– A cóż ty, chłopcze, możesz wiedzieć o walce? Wysłali cię przecież do Klejnotu, żebyś obtańcowywał młode arystokratki.

Kilku innych mężczyzn chichocze. Piorunuję ich wzrokiem. Ash nie zwraca na nich uwagi.

– Nauczyli nas znacznie więcej – odpowiada spokojnie. – Potrafię strzelać, znam się na szermierce. Mogę wam pomóc.

Moje serce wzbiera dumą. Dokładnie to powinien robić! W ten sposób może nas wesprzeć.

– Udowodnij to – nalega mężczyzna..

– Ależ oczywiście, masz może pod ręką miecz? – pyta Ash ze zwodniczą uprzejmością.

Mężczyzna burczy pod nosem coś niezrozumiałego.

– Znam Klejnot – ciągnie Ash. – Wiem, jak ćwiczą Gwardzistów. Jeśli nie uważacie tego za przydatne informacje, to chyba nie muszę się nimi dzielić...

– A co z dziewczuchą? – pyta ktoś z tłumu. Wszystkie twarze zwracają się w moim kierunku, wszystkie spojrzenia skupiają się na mnie.

– Jak to, co z nią? – odpowiada pytaniem Sil.

– Kim ona jest?

– Skąd jest? Na oczy jej wcześniej nie widziałem!

– Ma znak Klucza?

– Skąd wiadomo, że można jej ufać?

Pytania nikną w ogólnym zgiełku. Ash przesuwa się przede mnie, jakby chciał mnie chronić, jednak odsuwam go na bok. Sama dam sobie radę z zebranymi. Nim to wszystko się skończy, będę musiała poradzić sobie w znacznie trudniejszych sytuacjach.

– Jestem Violet – oświadczam. – Byłam surogatką.

Na to słowo po sali niesie się pomruk, w którym wyczuwam lęk. Ludzie odstepują ode mnie. Mężczyzna w zielonej kurtce szepce coś do stojącej obok niego kobiety. Ta odpowiada mu skinieniem i krzywi się, spoglądając na mnie kątem oka.

– Na własne oczy widziałam, do czego zdolna jest arystokracja – ciągnę – i zamierzam ją powstrzymać.

Dociera do mnie, że większość z zebranych nigdy nie widziała surogatki. Nie mają pojęcia, że Sil również nią była. Nigdy nie zastanawiałam się, jak postrzegają nas ludzie z innych kręgów. Nawet uczipiony boku Asha chłopak odsuwa się ode mnie.

– Słyszałem, że surogatki umieją zabijać myślami – mówi.

– A ja słyszałam, że mogą jednym dotykem dodać urody – dodaje jego siostra, mierząc mnie pełnym nadziei spojrzeniem.

– Co za bzdury – kwituje burkliwy mężczyzna. – One rodzą dzieci arystokratom. To wszystko.

Mam dość tego gościa i jego nastawienia.

– Nie – oznajmiam chłodno. – To nie wszystko.

Łączę się z Ziemią i natychmiast przepełnia mnie jej siła. Czuję się wielka, potężna, zakorzeniona głęboko w trzewiach świata. Gdzieś daleko pode mną płynie woda.

– Violet – szepce ostrzegawczo Sil.

Podłoga pomieszczenia zaczyna drgać, a ja wpadam w jej rytm. Tłum wzdycha i odsuwa się ode mnie. Nawet ci siedzący dotąd na krzesłach wstają i odchodzą dalej. Ash nie opuszcza mego boku, spokojny i zdecydowany. Wyczuwam jego obecność jak bicie serca.

– To nie jest najlepszy pomysł – zauważa Sil.

Ja jednak jestem Ziemią i ci ludzie muszą to zobaczyć.

Czuję potworny ból w klatce piersiowej i cementowa podłoga pęka nagle. Kilka osób krzyczy. Dziewczyna o wyglądzie Annabelle chwytą jasnowłosą dwójkę i odciąga ją dalej.

Woda ma wyraźny ziemisty posmak.

Stają się wodą.

Moje palce robią się giętkie, a ciało nabiera lekkości i gibkości. Z powstałej przed chwilą rozpadliny tryska strumień. Woda tworzy przezroczystą wstęgę, rozbryzguje się i zbiera na powrót. Radość buzuje we mnie jak tajemne źródło, kryształowo czysta i figlarna zarazem. Patrzę, jak kolejne wstęgi splątują się ze sobą, aż wreszcie uwalniam żywioł i fontanna znika tam, skąd wytrysnęła – w podziemnej rzece. Na twarzach zgromadzonych strach ustępuje miejsca zachwytowi.

Ponownie łączę się z Ziemią i zasklepiam rozpadlinę w podłodze.

Cisza jest ogłuszająca, przytłacza mnie ciężarem niewiary i strachu.

– Violet?

Odwracam się i widzę u stóp schodów Świstaka. Trzymając dłoń na ramieniu ciemnowłosego chłopaka gapi się z otwartymi ustami na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą tańczyły wodne wstęgi.

Ale to nie on przyciąga moją uwagę, tylko nowo przybyły.

Patrzę w rozwarte szeroko oczy brata.

Ochre! – rzucam się bratu na szyję. – Co tu robisz?

– Co ty tu robisz? Nie powinnaś być w Klejnocie?

Puszczam go.

– To długa opowieść.

Ochre spogląda ponad moim ramieniem.

– Czy to nie jest towarzysz, którego wszyscy szukają?

– To właśnie część tej opowieści – mówię.

– Skąd znasz tego chłopaka? – pyta Świstak.

– To mój brat – wyjaśniam. – Ochre, co z Hazel i z mamą? Wszystko z nimi w porządku?

– Hazel niedługo będzie miała testy – informuje Ochre krótko. Serce podchodzi mi do gardła. –

Mama... Mama nie czuje się z tym dobrze – dodaje.

Wzdragam się. Gdyby tylko znała całą prawdę o surogatkach...

Może nowy termin Aukcji to dar losu... Może Hazel nie zdąży zostać zbadana.

Jeżeli uda mi się powstrzymać najbliższą Aukcję, zanim Hazel trafi do lekarza, moja siostra nie będzie musiała przechodzić przez to, przez co ja przesłam.

– Czy ktoś może wyjaśnić, co tu się w ogóle dzieje? – wcina się burkliwy mężczyzna. – Czy ona jest jakąś wiedźmą, czy co?

Zdażyłam zapomnieć, że byłam właśnie w trakcie pokazywania tym ludziom, kim naprawdę jestem.

– Nie, nie jestem wiedźmą – odpowiadam. – Jestem jakby... – Zastanawiam się, jak właściwie mam to wyjaśnić – jakby przewodnikiem, tunelem. Mogę łączyć się z żywiołami. Ta wyspa została rozdarta na strzępy przez arystokrację i potrzebuje naszej pomocy. Nie czujecie tego? To jest większe i ważniejsze niż my wszyscy. – Nie wiem, jak wiele mogę im wyjaśnić, czy mogę powiedzieć o Paladynkach i pierwszym podboju.

Wielu spośród zebranych patrzy na mnie jak na wariatkę, kilka osób sprawia jednak wrażenie zaintrygowanych.

– Co jeszcze potrafisz? – dopytuje blondyn.

– Też chciałbym wiedzieć – mruczy Ochre. – Uczą was tego w Bramie Południowej?

– Nie – odpowiadam szybko. – Tego właśnie w Magazynach nie uczą, ale dzięki temu, wspólnie z innymi surogatkami będziemy mogły pokonać ich armię. Możemy dostać się do Klejnotu i zniszczyć go od środka.

– Ani słowa o tym, co tu się wydarzyło, rozumiecie? – rzuca Sil. – Albo Czarny Klucz się wami zajmie.

– Czy on o tym wie? – pyta ktoś z tłumu.

– Oczywiście, że wie – irytuje się Sil.

– To czemu nam nie powiedział?

– Bo nie ma zwyczaju strzępić sobie języka po próżnicy – odwarkuje Sil. – Zresztą, spójrzcie na siebie! Nawet gdyby wam powiedział, i tak byście nie uwierzyli. Musieliście to zobaczyć na własne oczy.

– Późno już – zauważa mężczyzna, który przyniósł gazetę. – Ustaliliśmy, co było do ustalenia. Jutrzejszej nocy zaczynamy ćwiczenia z bronią. – Obrzuca mnie nieufnym spojrzeniem. – Skoro Czarny

Klucz ufa tej surogatce, to i my musimy.

Ludzie opuszczają pomieszczenie parami i trójkami, w różnych odstępach czasu, by nikt nie zwrócił uwagi na odbywające się w środku nocy zgromadzenie. Tłum wylewający się z salonu tatuazu mógłby wzbudzić podejrzenia.

Dziewczyna o wyglądzie Annabelle wychodzi wraz z jasnowłosym rodzeństwem. Przechodząc koło mnie, chłopak szepce:

– Jestem Millet.

Uśmiecham się. Przynajmniej jedna osoba jest po mojej stronie.

Tłum rzędzie, aż zostajemy z Ochre'em, Sil, Ashem i Świstakiem.

Nie chcę rozstawać się z bratem, lecz wiem, że to konieczne.

– Nie mów matce ani Hazel, że mnie widziałeś – proszę. – To zbyt niebezpieczne.

– Wiem. – Ochre kiwa głową.

– Właściwie, to jak się w to wplątałeś?

– Sable Tersing – mówi. – Wielu chłopaków w moim wieku jest nielekkko wkurzonych. Pracodawcy traktują nas gorzej niż bydło. Zaczęli obcinać nam płace, zupełnie bez powodu. Biją nas przy każdej możliwej okazji, nawet za minutę spóźnienia. Chcieliśmy coś zrobić, jakoś się odegrać, a Sable powiedział, że słyszał coś o podziemnej organizacji działającej przeciwko arystokracji. Mówił, że słyszał coś o czarnym kluczu, więc zaczęliśmy rysować ten znak gdzie popadło. I wtedy pojawił się Świstak. Powiedział, żebyśmy się uspokoili i zaczęli robić coś bardziej sensownego.

– Nie oczekujesz chyba, że pozwolę ci walczyć, Ochre – protestuję – Masz tylko czternaście lat!

– A ty masz tylko szesnaście – kontruje. – A wygląda, że jesteś całkiem niezła w te klocki, czymkolwiek by nie były.

– To niebezpieczne – naciskam.

– Jesteś moją siostrą, a nie matką – zauważa.

– Ona by się ze mną zgodziła.

– No cóż, dobrze zatem, że jej tu nie ma.

Otwieram usta, by zaprotestować, ale Sil mnie ubiega:

– Miło popatrzeć na to uroczne rodzinne pojednanie, ale musimy już wracać do domu – mówi.

– Zaczekaj – wtrąca się Ash – Muszę jeszcze coś załatwić.

– Co takiego? – pytam.

Ash spogląda na Świstaka.

– Przydałby mi się tatuaż.

– Boli?

Ash ostrożnie dotyka ramienia, w miejscu, które Świstak opatrzył po tym, jak tylko wypalił na skórze Asha symbol Luciena. Kiedy wóz podskakuje na wyboju, Ash wzdryga się i krzywi.

– Trochę piecze.

Kiedy docieramy do Białej Róży, jestem zmarznięta, zmęczona i rozpaczliwie tęsknię za bratem. Ta krótka chwila, którą spędziliśmy razem, tylko wzmogła tęsknotę za domem. Choć jest już trzecia nad ranem, w oknie salonu widać światło.

Sienna poszła już spać, ale Raven czuwa, kołysząc się w bujanym fotelu.

– Jak poszło? – pyta, odkładając książkę, którą czytała.

– Widziałam Ochre'a – odpowiadam.

– Co? A co on tam robił? – Raven aż wstaje z wrażenia.

– Dołączył do konspiracji.

– Co z nim? I z twoją matką, i z Hazel?

Arkany zaczynają brzęczeć. Wyciągam je z upiętego na karku koka.

– Coś się wydarzyło. – W zmęczonym głosie Luciena słyszę napięcie.

– Mówisz o Aukcji? – pytam. – Pojechałam na spotkanie z Sil. Mówią, że data Aukcji została zmieniona, wiesz coś o tym?

– Ktoś mnie zdradził.

– Co? – Wydaję z siebie zduszony jęk. – Kto?!

– Załatwię to – odpowiada spokojnie. – Zdrajca zna tylko drobny fragment układanki, wie, że październik nie będzie odpowiednio bezpiecznym terminem. Ale to świetna wymówka dla Wybranki.

– Wymówka?

– Chce, żeby tron odziedziczyła jej córka – mówi Lucien. – Oboje wiemy, że Diusza pokrzyżowała jej plany związane z ostatnią surogatką. Teraz Wybranka ma następną szansę. To oznacza, że mamy o wiele mniej czasu niż zakładaliśmy.

– Ale wciąż nie ściągnęliśmy dziewcząt z Bram Wschodniej i Południowej!

– Przyjadą jutrzejszym pociągiem. Nie miałem czasu dokładnie ich sprawdzić, mam nadzieję, że sprawią się dobrze.

– Jestem pewna, że tak właśnie będzie. – Przygryzam wargę. – Lucienie, ludzie podczas tego spotkania... oni się mnie bali.

– Pokazałaś im swoją moc? – pyta.

– Tak.

Milknę na długo chwilę.

– Oni po prostu cię nie rozumieją – stwierdza.

– Ale pokochali Asha – mówię, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. Ash krzywi się. Niemal słyszę, jak Lucien przewraca oczyma.

– Tak, nie wątpię – sarka.

– Ash będzie ich trenował. No wiesz, w szermierce.

Raven unosi brew i spogląda na Asha, który obojętnie wzrusza ramionami.

– To... znakomicie – stwierdza zgryźliwie Lucien.

– Chcę iść również na następne spotkania – mówię. – Chcę poznać ludzi, wśród których przyjdzie mi walczyć.

– Pogadaj o tym z Sil – rzuca Lucien. – Ale nie zapominaj o swoim podstawowym zadaniu. Masz wyszkolić pozostałe surogatki.

Arkana milkną i opadają na moją wyciągniętą dłoń.

– A zatem – Raven zwraca się do Asha – zamierzasz być nowym naczelnym wodzem armii Czarnej Klucza?

Ash parska śmiechem.

– Wreszcie mogę cokolwiek zdziałać – mówi.

– Umiesz władać bronią?

– Tak.

– Możesz uczyć również mnie?

– Ja... – Ash marszczy brwi i patrzy na mnie pytająco.

– Raven... – Jakby to ująć... – Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Jej spojrzenie niemal wbija mnie w ziemię.

– Chcę być silna – oświadcza. – Chcę znów mieć sprawne ciało.

To jej decyzja. Po wszystkim, co przeszła, zasłużyła sobie na to.

– W porządku – odpowiadam, a potem rozdzierająco ziewam.

– Lepiej chodźmy spać – stwierdza Ash. – zwłaszcza że jutro będzie nas tu więcej.

Kiedy Raven udaje się do sypialni, a my z Ashem wychodzimy do stodoły, zastanawiam się nad surogatkami, które mają przybyć jutro. Ciekawe, czy będą odważne jak Sienna, uprzejme jak Lily i bystre jak Raven.

Już niebawem miasto zobaczy naszą siłę.

Surogatki nie są tylko głupiutkimi dziewczętami, którymi można handlować i które można traktować jak domowe zwierzątka. Jesteśmy potęgą, z którą należy się liczyć.

Następnego popołudnia przywozimy z Sil skrzynie ze Stacji Bartlett.

Dwie nowe dziewczyny różnią się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Gapię się na nie, gdy Ash siłuje się z pokrywami.

Pierwsza jest wysoka, ma jasną cerę i długie blond włosy. Ledwie mieści się w małej przestrzeni. Kolana podciągnęła pod brodę. Druga jest niska, ciemnoskóra, z wiechą kręconych brązowych loków.

Niesiemy je do pokoju Raven i układamy obok siebie w bliźniaczych łóżkach.

– Pamiętam ją – oznajmia Sienna, wskazując drobniejszą dziewczynę. – Widziałam ją podczas balu Najdłuższej Nocy.

– Była miła? – pytam.

– Nie rozmawiałam z nią.

Zaciskam zęby i nic już nie mówię.

Sienna i Raven czekają na dole – uznałam, że dziewczętom przynajmniej na początku łatwiej będzie rozmawiać z jedną osobą. Poza tym Sienna zupełnie nie nadaje się do komitetu powitalnego.

Pierwsza budzi się blondynka. Kiedy mijają paskudne efekty uboczne serum Luciena, podaję jej szklanek wody. Dziewczyna wychyla ją duszkiem i spogląda na mnie.

– To ty! – wykrzykuje. – Pamiętam cię, grałaś na wiolonczeli podczas Balu Hierarchy. – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Nie jestem już w Klejnocie, prawda?

– Nie – odpowiadam.

Dziewczyna zalewa się łzami.

– Dziękuję – wyrzuca z siebie, szlochając. – Dziękuję, dziękuję...

Na imię ma Indi. Zabieram ją na dół, do Raven, Sienny i Sil. Szybko okazuje się, że Indi jest jedną z najpogodniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam. Jest nawet bardziej uprzejma niż Lily. Bardzo mi ją zresztą przypomina, ma takie same blond włosy i wielkie niebieskie oczy. Główna różnica to wzrost, Indi jest sporo wyższa nawet od Raven, poza tym ma wychudłą twarz, a pod oczyma kładą się jej głębokie cienie.

– To było potworne – mówi, gdy Sil stawia przed nią kubek parującej herbaty. – Moja pani zamykała mnie w szafie, gdy miała towarzystwo. Och, przepyszne – stwierdza, upijając łyk naparu. – Zapominała o mnie i nierzadko cały dzień siedziałam skulona w ciemności. Była młoda, świeżo po ślubie i bardzo zajęta zabawianiem swego męża. Kiedyś wspomniała, że zakupiła surogatkę tylko po to, by zobaczyć, jak wygląda Aukcja. Zaczęłam się martwić. No wiecie... Surogatka Wybranki zmarła, a potem ta dziewczyna, z którą byłam w Bramie Zachodniej i widziałam ją kilka razy, najpierw na balu Najdłuższej Nocy, a potem na kilku innych, aż wreszcie znikła... – Indi rozgląda się po pokoju, zwracając uwagę na ręcznie tkane dywany, meble własnej roboty, żeliwny piecyk. – Podoba mi się tutaj – oświadcza. – Miłe miejsce, prawda?

– Bardzo miłe – odpowiadam. – Lepiej pójdę na górę, nim obudzi się twoja koleżanka. – Spoglądam na Raven – Wprowadzisz ją?

– Jasne – potwierdza.

Wspinając się po schodach, słyszę szczebiot Indi.

Drobna brunetka drzemie jeszcze przez pół godziny. Kiedy wreszcie otwiera oczy, reaguje tak samo jak jej poprzedniczka: wymiotuje po serum, łapczywie pije wodę i wybucha płaczem.

Tyle że w jej łzach, inaczej niż we łzach Indi, nie ma krzty radości.

Udaje mi się poznać jej imię, Olive, a potem dziewczyna zaczyna wrzeszczeć.

– Gdzie jestem?! Gdzie jest moja pani?! Zabierzcie mnie stąd! Chcę z powrotem do Klejnotu. – Jej zielone, skryte częściowo pod grzywą włosów oczy szklą się od łez. – Jak mogliście mi to zrobić?

Nim zdążę cokolwiek powiedzieć, podrywa się z łóżka i ucieka z pokoju. Pędzę za nią po schodach. Na widok czterech kobiet zasiadających przy stole w jadalni Olive zatrzymuje się jak wryta.

– Pamiętam cię. – Wskazuje Siennę. – Złamałaś zasady. Piłaś szampana, chociaż nie wolno nam tego robić. Widziałam cię na Balu Hierarchy. – Odwraca się ku mnie, jakbym nagle stała się jej jedyną sojuszniczką w tym miejscu. – Powiedziałam o tym mojej pani, a ona była zadowolona, o tak, bardzo zadowolona. Wiedziała, że ja nigdy bym tak nie zrobiła. Bądź posłuszna, a otrzymasz nagrodę, tak mi powtarzała. – Olive krzyżuje ręce na piersiach. – Och, moja biedna pani, co ona beze mnie zrobi?

– Da sobie radę – ucina Sienna. – Ty również.

Indi spogląda w jej stronę, po czym wstaje i obejmuje ramieniem Olive.

– Wszystko będzie dobrze. – mówi. – Sądzę, że one chcą nam pomóc.

– A ja chcę pomóc mojej pani – jęczy Olive, pociągając nosem.

– Już nie masz pani – przypominam jej łagodnie.

– A właśnie, że mam, to Pani Promienia. Ona mnie potrzebuje.

Łkając i pociągając nosem, Olive osuwa się w objęcia Indi.

– Musimy jej pokazać – oznajmia Sienna. – Miejmy to już za sobą. Może kiedy zobaczy klif, zrozumie.

– Nigdy wcześniej nie byłam na klifie – zauważa Indi głaszcząc włosy Olive. Wodzi wzrokiem po pomieszczeniu jakbyśmy ukryły kawał skały pod sofą albo za krosnem.

– Chcę wrócić do Klejnotu – łka Olive.

Nadal jestem zaskoczona jej reakcją, a jej narzekanie jest niepokojące. Nigdy nie sądziłam, że spotkam surogatkę, która spędziła trochę czasu w Klejnocie i wciąż broni arystokracji.

– Masz rację – zwracam się do Sienny. – Musimy im pokazać. – Raven?

Raven siedzi przygarbiona, obejmując głowę dłońmi.

– O co chodzi? – pytam, stając obok niej.

– Przekabacili ją – mówi patrząc na własne stopy. – Nie tak jak mnie, ale... Ona wierzy w ich kłamstwa, kocha ich. To boli.

Kładę dłoń na jej kolanie.

– Jeżeli to problem, możemy poczekać. Nie musisz nas tam zabierać w tej chwili. Wszystko będzie w porządku.

Raven potrząsa głową.

– Oczywiście, że was tam zabiorę. Tak będzie lepiej. – Pociera skronie. – Niech ona przestanie płakać.

Zabieramy Olive i Indi na zewnątrz, do stawu. Nocny chłód minął, słońce lśni na bezchmurnym niebie. Jest niemal ciepło.

Ash biega wokół polany. Nie ma na sobie koszuli, a mięśnie jego pleców drgają pod napiętą skórą.

– Kto to? – pyta Olive, po raz pierwszy od przebudzenia powstrzymując łzy.

– Ktoś, z kim porozmawiasz później – odpowiadam. Indi wodzi za Ashem wzrokiem.

– Stańmy nad stawem – proponuje Sienna.

– Dokąd idziemy? – chce wiedzieć Olive. Mocno ściskam jej dłoń i cieszę się, że Indi robi to samo.

– Uroczy dom – mówi Indi, spoglądając za siebie, na Białą Różę. – A powietrze tutaj jest takie czyste, takie świeże. – Bierze głęboki oddech.

Stajemy w kręgu na skraju stawu. Raven ujmuje drugą dłoń Indi, a ja Sienny. Olive próbuje mi się

wyrwać.

– Co ona chce zrobić? – marudzi.

– Zamierzamy pokazać ci, kim naprawdę jesteś – odpowiadam.

– Przestań więc opierać się, to i tak nic nie da – dorzuca Raven, po czym przymyka oczy. Sienna i ja podążamy w jej ślady. Słyszę cichy pisk Olive, kiedy klif przyciąga nas do siebie.

Tym razem drzewami na klifie targa wichry, gałęzie kołyszą się i skrzypią miotane gwałtownymi porywami. Wokół nas wirują zeschnięte brązowe liście. Wcześniej nie wyczuwałam tutaj takiego napięcia. Patrzę na Olive i Indi stojące po drugiej stronie spiralnego posągu. Na ich twarzach maluje się ten sam wyraz, jak na twarzy Sienny, gdy tu trafiła, mieszanka zachwyty i czci.

Przez kilka minut stoimy w milczeniu, nasiąkając mocą tego miejsca. Kiedy powracamy, Olive i Indi spoglądają w dół i widzą kwiaty u swych stóp, ciemnozielone i cytrynowożółte kwiaty.

– Co to było za miejsce? – pyta Indi, pochylając się, by pogłodzić aksamitne płatki. Kiedy kwiaty wędną pod jej dłonią, z ziemi wyrastają kolejne.

– Coście mi zrobiły? – pyta Olive, występując z kręgu. – Czuję się... – Kurczowo przyciska ręce do piersi. Zielone kwiaty podążają za nią. – Ja nie...

Nagle odzywają się ukryte w moich włosach Arkana.

– Zaraz będę z powrotem – rzucam do Raven i Sienny. – Zostańcie z nimi.

Biegnę do domu, wyplątując z włosów kamerton.

– Lucien?

– To ja – oznajmia Garnet. – Muszę z tobą porozmawiać. – W jego głosie pobrzmiwa nagły ton, dokładnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz kontaktował się ze mną poprzez Arkana. – Jest coś, o czym koniecznie powinnaś wiedzieć. Matka otrzymała wczorajszej nocy przesyłkę.

– Co to było?

– Surogatka.

Serce podjeżdża mi do gardła.

– Jakim cudem znalazła inną surogatkę? Przecież jeszcze nie było Aukcji.

– Nie wiem. Widziałem, kiedy ją przywieźli, związaną i zakneblowaną, Rano do pałacu przybył doktor Blythe.

– Czy Lucien o tym wie?

– Próbowałem się z nim skontaktować, ale mi się nie udało. Spodziewam się, że ma kupę roboty, zwłaszcza teraz, kiedy termin Aukcji został przyspieszony.

– Czyli już o tym wiesz.

– Tak. Niezła rzeźnia. Dosłownie. Mało która z surogatek z poprzedniej Aukcji pozostała przy życiu. Wszyscy wiedzą, że Wybranka chce, żeby to jej córka objęła tron. Aukcja będzie wcześniej właśnie po to, żeby Wybranka sprawiła sobie dziedziczkę. Każda surogatka nosząca dziewczynkę jest teraz zupełnie bezużyteczna.

– Zabijają własne surogatki?!

– Tak – odpowiada Garnet ponuro. – Nawet surogatki noszące chłopców nie są bezpieczne, zawsze znajdzie się konkurencja ze strony rodów szlacheckich, które mogą chcieć się pozbyć rywali.

Wzdrygam się.

– A więc będzie trudniej, niż nam się zdawało.

– Zawsze jest trudno – mówi. – Nigdy wcześniej... To jest... – Wydaje się z siebie pomruk frustracji. – Dopiero teraz je dostrzegam. Mam na myśli surogatki. Wcześniej nie zwracałem na nie uwagi. Teraz w każdej z nich dostrzegam właśnie ją. – Wiem, że mówi o Raven. – I ciebie. Ciebie również. – dodaje szybko. – Stały się dla mnie ludźmi. Biedne dziewczyny prowadzane na smyczach i zamykane

w izolatkach. To odrażające.

Zakrywam dłonią usta, ale nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu. Niewiarygodne, jak bardzo zmienił się Garnet od dnia, w którym ujrzałam go po raz pierwszy, pijanego, w jadalni Diuszesy.

– Jak tam u was, w Białej Róży? – pyta. – Ostatnio kiedy rozmawiałem z Lucieniem, wspomniał, że posłał wam rekrutki.

– Sądzę, że jedna z nich może sprawiać kłopoty i...

– Muszę iść – przerywa mi nagle Garnet. – Dam znać, jeżeli dowiem się czegoś o tej nowej surogatce. Matka trzyma ją pod kluczem. I przekaz Raven, że ją pozdrawiam. Przykro mi, że dzisiaj nie udało mi się z nią porozmawiać.

– Przekażę. – odpowiadam. – I pilnuj się.

– Jak zawsze.

Kamerton opada w moją dłoń.

Tej nocy Ash ma pierwszy trening.

Raven jedzie razem z nim.

Pomyśl, że Raven będzie walczyć, podoba mi się jeszcze mniej niż wizja wymachującego żelazem Ochre'a, ale argumenty Asha są nie do zbicia.

– Ona chce być w stanie sama się obronić – mówi. – Zasługuje na to po tym, co przeszła. – Całuje mnie delikatnie. – Naprawdę sądzisz, że pozwoliłbym na to, by cokolwiek się jej stało?

Po kolacji wychodzimy z Indi i Olive na zewnątrz. Mam nadzieję, że Olive poczuje niebawem większą więź z żywiołami. Potrafi łączyć się z Powietrzem i Wodą, ale nie wydaje się być tą mocą zainteresowana.

– Chciałabym posiedzieć chwilę przy stawie – prosi Indi, gdy przechodzimy obok sadzawki. Okazało się, że czuje więź tylko z Wodą.

Kiwam głową i prowadzę Olive do lasu. Pamiętam tę noc, gdy tu przybyłam. Pamiętam, jak Lucien powiedział mi, bym zawierzyła instynktom i czułam się jak głupia. Już tak się nie czuję.

Idziemy w milczeniu, póki nie odzywa się Olive.

– Chcę wrócić do Klejnotu – mówi.

– Nie możesz – protestuję. Musi istnieć jakiś sposób, by przeciągnąć ją na naszą stronę. – Urodziłam się w południowej kwarcie Bagna. Ty jesteś ze wschodniej, prawda?

– Tak.

– Mam młodsze rodzeństwo, siostrę i brata – ciągnę. – A ty? Masz jakichś bliskich?

– Sześciu starszych braci i jedną młodszą siostrę.

– Chciałabyś, żeby twoja siostra została zdiagnozowana jako surogatka? Żeby zabrano ją z domu i sprzedano?

Olive wzrusza ramionami.

– Przynajmniej rodzina dostałaby jakieś pieniądze.

– Za martwe surogatki nie płacą – zauważam.

– Moja mistrzyni by mnie nie zabiła – oświadczam. – Potrzebuje mnie. A teraz myśli, że nie żyję.

– Kupi sobie kolejną surogatkę – mówię. – Uważasz, że to w porządku?

Olive waha się i dostrzegam, jak mogłabym do niej dotrzeć. Nie chce zostać zastąpiona przez inną dziewczynę.

– Kolejna Aukcja odbędzie się wcześniej, zmienili termin. Twoja pani będzie mogła kupić surogatkę już za kilka miesięcy. – Olive wykrzywia usta, a jej ściągnięte brwi tworzą ciemną pionową linię na jej czole.

– Nie. Moja mistrzyni...

– Twoja mistrzyni chce dziecka i zrobi wszystko, by je mieć – naciskam. – Musimy powstrzymać Aukcję.

Widzę, jak Olive zastanawia się nad tym, co powiedziałam. Zmarszczka pomiędzy jej brwiami jeszcze się pogłębia.

– Powstrzymać Aukcję – powtarza.

Nie w ten sposób chciałabym ją przekonać, ale mam ograniczony zasób możliwości. Kończy nam się czas.

– A potem wrócę do mojej mistrzyni – mówi.

Nie odpowiadam jej. Serce ciąży mi jak głaz. Nie podoba mi się, że posuwam się do manipulacji, ale co innego mogę zrobić?

Idziemy jeszcze kawałek, po czym zawracamy i kierujemy się w stronę domu. Mijamy siedzącą przy stawie Indi. Na jej twarzy widzę wyraz absolutnego spokoju, a pod jej dłonią tańczą niewielkie białogrzywe fale.

Mam zamiar usiąść koło niej, gdy odzywają się Arkana.

– Wybaczcie na chwilę – mówię i spieszę do Białej Róży.

Sienna zmywa naczynia w kuchni, a Sil popija whisky, siedząc w bujanym fotelu. Wyciągam kamerton z koka.

– Słucham – mówię.

– Coś się wydarzyło – zaczyna Lucien.

Sil prostuje się na fotelu i odstawia szklanekę.

– Zawarto... porozumienie. Niedługo zostaną ogłoszone zaręczyny.

– A co to ma wspólnego z nami? – pytam. – Kogo obchodzą królewskie zrękowiny?

– Chodzi o córkę Diuszesy z Jeziora i syna Hierarchy.

Gapię się na Arkana.

– Ale przecież Diuszesa nie ma córki – przypominam.

– Nie wiem, jakim cudem jej się to udało. – Mam wrażenie, że Lucien mówi sam o sobie. – Jak go przekonała, albo... Bo ja wiem? Może posłużyła się szantażem. Nikt nie wie, co doprowadziło do tych zaręczyn, ale... Wierzcie mi, Wybranka bardzo, ale to bardzo chciałaby wiedzieć. Wydaje się, że Diuszesa musi mieć na Hierarchę jakiegoś haka. I to nie byle jakiego. Na pewno chodzi o coś wielkiego. Wybranka jest wściekła.

– Ale Lucienie – powtarzam. – Cały czas nie rozumiem. Diuszesa nie ma córki.

– Garnet powiedział ci o surogatce?

– Tej uprowadzonej? Tak, powiedział.

– Nikt nie wie, że znikłaś. Diuszesa utrzymuje, że przebywasz w odosobnieniu po tym, jak zostałaś zgwałcona. Podmieniła cię po cichu. Nie doszły mnie żadne wieści, by z jakiegokolwiek Magazynu ktoś znikł. Wszystkie surogatki w Klejnocie, te, które jeszcze żyją, mają swoje mistrzynie.

– To skąd ona ją wzięła?

– Nie mam pojęcia. Ale Diuszesa doprowadziła do czegoś bez precedensu w całej historii Aukcji. Do zaręczyn przed narodzinami dziecka.

– Więc... Ta surogatka jest w ciąży?

– Na to by wychodziło.

– Na litość... Przecież dopiero wczoraj przyjechała!

– Klejnot aż dyszy nienawiścią – mówi Lucien. – Wielu arystokratów uważa, że to nieuczciwe, wielu nienawidzi Diuszesy. Teraz, kiedy przeniesiono Aukcję, Domy zaczęły walczyć między sobą i wzięły na cel surogatki rywali. Stare układy przestają się liczyć. Nawet dwórki czują napięcie, a co dopiero mają powiedzieć zwykli służący, pokojówki i lokaje?

– Ale nam to na rękę, nieprawdaż? – zauważam. – Potrzebujemy ich po naszej stronie.

– Żywych, Violet. Martwi na nic nam się nie przydadzą.

– Oczywiście! Nie o to mi chodziło.

Nagle do domu wpada Ash. Raven jest tuż za nim.

– Violet! – wykrzykuje Ash, ciężko dysząc.

Odwracam się od wiszących w powietrzu Arkanów. Czyżby Raven została ranna? To pierwsze, co

przychodzi mi do głowy. Dopiero, kiedy moja przyjaciółka odsuwa się nieco, dostrzegam, że ktoś za nią stoi.

– Ochre? – Podbiegam do niego i niemal zgniatam go w uścisku. – Co ty tutaj robisz? – Patrzę na Asha.

– Nie powinieneś być go tutaj ściągać. Lepiej, żeby nie wiedział o tym miejscu.

– Violet... – W świetle księżycy Ochre jest blady jak ściana. Pod jego wielkimi brązowymi oczyma widać głębokie cienie. – Zabrali ją. Ona... Ona znikła. Próbowałem skontaktować się z kimś z Sprzysiężenia, ale przeniesiono mnie do innej mleczarni i nikogo tam nie znam. Z trudem udało mi dotrzeć na dzisiejszy trening. Myślałem, że może przyjdiesz... Oni ją zabrali, rozumiesz? Zabrali ją!

– Spokojnie – mówię, prowadząc go do stojącego przy stole krzesła. – Kogo zabrali?

Opada ciężko na siedzenie.

– Hazel – szepce żałośnie.

Kamienieję. Powietrze wokół mnie zdaje się zamarzać.

– Co takiego? – wyduszam.

– Do domu przyszli Gwardziści. Matka mówi, że był z nimi lekarz. Mieli na kurtkach znak, błękitny okrąg i dwie srebrne bronie, jak włócznie albo coś w tym stylu. I po prostu ją zabrali.

Ukrywa twarz w dłoniach. Serce wali mi jak młotem.

Błękitne koło i dwa skrzyżowane ze sobą srebrne trójzęby.

Symbol Domu Jeziora.

Ja również siadam na krześle.

– Lucien – chrypię do wciąż unoszącego się w powietrzu kamertonu. – Słyszałeś?

– Tak – odpowiada grobowym tonem.

Inni chyba rozmawiają, ale ich głosy docierają do mnie jakby z daleka. Nie mogę skoncentrować się na ich słowach. Moja głowa pulsuje. Myślę tylko o jednym.

Zabrali Hazel.

To Hazel jest uprowadzoną surogatką.

Diuszesa Jeziora ma moją siostrę.